

Maryse Condé

**Ja, Tituba, czarownica
z Salem**

Tytuł oryginału: Moi, Tituba sorciere... Noire de Salem

*Tituba i ja byłyśmy ze sobą przez rok w serdecznej
zażyłości. W czasie niekończących się rozmów
opowiedziała mi o rzeczach, z których się nikomu
przedtem nie zwierzała.*

Maryse Condé

Death is a porte whereby we pass to loye; Life is a lake that drowneth all in payne¹

John Harrington (poeta purytański z XVI wieku)

1

Pewnego dnia 16** roku Abenę, moją matkę, zgwałcił angielski marynarz na pokładzie „Christ the King”, podczas gdy żaglowiec płynął na Barbados. Z tej przemocy, z tego aktu nienawiści i pogardy urodziłam się ja.

Kiedy wiele tygodni później zawinęliśmy do portu w Bridgetown, nikt nie zauważył, że moja matka jest brzemienna. Ponieważ miała z pewnością nie więcej niż szesnaście lat, ponieważ była piękna ze swą czarną jak heban skórą i delikatnym rysunkiem plemiennych nacięć na wydatnych kościach policzkowych, kupił ją za wysoką cenę bogaty plantator Darnell Davis. Razem z nią nabył dwóch mężczyzn, również z plemienia Aszantów, ofiary wojny między ich szczepem a Fantami. Moją matkę przeznaczył dla żony, wciąż tęskniącej za Anglią i wymagającej nieustannej opieki ze względu na swój stan fizyczny oraz umysłowy. Myślał, że matka będzie umiała śpiewać, żeby ją rozweselać, albo też tańczyć i pokazywać owe sztuczki, w których, jak sądził, Murzyni się lubują. Natomiast obu mężczyzn przeznaczył do pracy na plantacji trzciny cukrowej, która rosła tu bujnie, i na polach tytoniu.

Jennifer, małżonka Darnella Davisa, nie była wcale starsza od mojej matki. Wydano ją za tego gburowatego człowieka, którego nie znosiła, który zostawiał ją samą wieczorami, aby pójść sobie wypić, i który miał już czeredę bękartów. Jennifer zaprzyjaźniła się z moją matką. W gruncie rzeczy były to dwie małe dziewczynki przerażone rykiem wielkich zwierząt nocą i teatrem cieni rzucanych przez drzewa płomienne, kalebasowe i puchowce na plantacji. Spały razem, a moja matka, bawiąc się długimi warkoczami swojej towarzyski, opowiadała jej historie zasłyszane od własnej matki w Akwapim, swojej rodzinnej wiosce. Gromadziła przy ich łóżku wszystkie siły przyrody, aby noc była im obu przychylna i by wampiry nie wyssały z nich całej krwi, zanim wstanie dzień.

Kiedy Darnell Davis spostrzegł, że moja matka jest w ciąży, wpadł we wściekłość na myśl o ciężkich funtach szterlingach wydanych na jej zakup. A teraz spadnie na jego barki kwękająca kobieta, która nie przyniesie żadnego pożytku! Nie uległ prośbom Jennifer i chcąc ukarać matkę, oddał ją Yao, jednemu z Aszantów, nabytych jednocześnie z nią. Ponadto zabronił jej pokazywać się we dworze.

¹ „Śmierć jest bramą, za którą czeka na nas radość; Życie - jeziorem, które wszystko topi w bólu”.
(Przeł. Andrzej Arustowicz).

Yao był młodym wojownikiem, który nie mógł ścierpieć, że musi teraz sadzić trzcinę, ścinać ją i zawozić do młyna. Toteż dwukrotnie próbował popełnić samobójstwo, żując trujące rośliny. Ledwo go odratowano i przywrócono do życia, którego nienawidził. Darnell miał nadzieję, że obdarowując go towarzyszką, doda mu animuszu i odzyska w ten sposób poniesione koszty. Co za lichy podkusiło go, by tego czerwcowego ranka 16** roku udać się na targ niewolników w Bridgetown! Jeden z mężczyzn zmarł. Drugi miał skłonności samobójcze, Abena zaś była brzemienna! Moja matka weszła do chaty Yao tuż przed wieczornym posiłkiem. Leżał na swoim pościu, zbyt zgnębiony, aby myśleć o jedzeniu, niezbyt ciekawy tej kobiety, o której przybyciu go uprzedzono. Gdy Abena się zjawiła, uniósł się na łokciu i mruknął:

- Akwdba!²

Po czym rozpoznając ją, zawołał:

-To ty!

Abena zalała się łzami. Zbyt wiele burz przetoczyło się nad jej krótkim życiem: podpalono jej wioskę, rozpruto brzuch rodzicom, usiłującym się bronić, następnie została zgwałcona, a teraz brutalnie rozłączona z istotą równie łagodną i zropanzoną, jak ona sama.

Yao wstał, a jego głowa dotknęła stropu chaty, bo ten Murzyn był wysoki jak sapota.

- Nie płacz. Nie tknę cię. Nie zrobię ci krzywdy. Przecież mówimy tym samym językiem! Czcimy tego samego boga!

Opuścił wzrok na brzuch mojej matki.

- To dziecko jaśnie pana, prawda?

Z oczu Abeny wytrysnęły jeszcze gorętsze łzy wstydu i bólu.

- Nie, skąd! Ale to dziecko białego. Ponieważ stała przed Yao z pochyloną głową, jego serce wypełniło się ogromną, rozrzewniającą litością. Wydawało mu się, że upokorzenie tego dziecka uosabia hańbę całego jego ludu - pobitego, rozproszonego, wystawionego na licytację. Otarł jej mokre od łez policzki.

- Nie płacz. Od dzisiaj twoje dziecko jest też moje. Słyszysz? I biada temu, kto zaprzeczy.

Nie przestawała płakać. Wtedy uniósł jej głowę i spytał:

- Czy znasz historię ptaka, który kpił sobie z liści palmowych?

Moja matka leciutko się uśmiechnęła.

- Jakże mogłabym nie znać? Kiedy byłam małą, najbardziej lubiłam właśnie tę historię. Matka mojej matki opowiadała mi ją co wieczór.

- Moja też... A historię małpy, która chciała być królem zwierząt? I wdrapała się na wierzchołek drzewa iroko, żeby wszyscy bili przed nią pokłony. Ale złamała się gałąź i małpa spadła na ziemię, tyłkiem w kurz...

² Witaj (przyp. aut.).

Abena roześmiała się. Nie robiła tego od długich miesięcy. Yao wziął tobolek, który trzymała w ręku, i położył go w kącie chaty. Usprawiedliwił się:

- Brudno tutaj, bo życie mi obrzydło. Przypominało błotnistą kałużę, którą chciałoby się ominąć. Ale teraz, gdy ty tu jesteś, wszystko się zmieni.

Spędzili noc, obejmując się czule i niewinnie jak brat i siostra, a raczej jak ojciec i córka. Upłynął tydzień, zanim zostali kochankami.

Kiedy się urodziłam cztery miesiące później, Yao i moja matka zaznawali szczęścia. Smutnego niewolniczego szczęścia, niepewnego i zawodnego, złożonego z krótkich, ulotnych chwil. O szóstej rano Yao wyruszał na pola z maczetą na ramieniu i zajmował miejsce w długim szeregu wlokących się po ścieżkach mężczyzn odzianych w łachmany. Przez ten czas moja matka sadziła na swoim skrawku ziemi pomidory, piżmiany lub inne warzywa, gotowała strawę, karmiła mizerny drób. O szóstej wieczorem mężczyźni wracali, a kobiety zaczynały się przy nich krzątać.

Matka ubolewała, że nie jestem chłopcem. Wydawało jej się, że los kobiet jest jeszcze okrutniejszy od losu mężczyzn. Czyż chcąc przezwyciężyć swą kondycję, nie musiały spełniać zachcianek tych, co je trzymali w niewoli i z nimi sypiali? Natomiast Yao był zadowolony. Chwycił mnie w swoje wielkie, kościste ręce i posmarował mi czoło świeżą krwią kurczęcia, zakopawszy łożysko mojej matki pod drzewem kapokowym. Następnie, trzymając mnie za nóżki, wystawił moje ciało na cztery strony świata. To on nadał mi imię: Tituba. Ti-Tu-Ba.

Aszantowie nie znają takiego imienia. Niewątpliwie Yao, wymyślając je, chciał udowodnić, że jestem córką zrodzoną z jego woli i wyobraźni. Córką zrodzoną z jego miłości.

Pierwsze lata mojego życia nie obfitowały w wydarzenia. Byłam ślicznym, pyzatyńskim dzieckiem, ponieważ służyło mi mleko matki. Potem nauczyłam się mówić, chodzić. Odkryłam smutny, chociaż wspaniały świat, który mnie otaczał. Chaty z wyschniętego mułu, ciemne na tle nieogarnionego nieba, bezwiedną strojność roślin i drzew. Ocean i jego szorstką pieśń o wolności. Yao obracał moją buzię ku pełnemu morzu i szeptał mi do ucha:

- Kiedyś będziemy wolni i polecimy jak na skrzydłach do naszego rodzinnego kraju.

Potem nacierał mnie wiechciem wysuszonych wodorostów, żebym nie dostała jagodzicy.

W rzeczywistości Yao miał dwoje dzieci: moją matkę i mnie. Bo dla matki był kimś znacznie więcej niż kochankiem. Był ojcem, wybawicielem, podporą. Kiedy odkryłam, że matka mnie nie kocha?

Może wtedy, gdy skończyłam pięć lub sześć lat. Aczkolwiek byłam „niewydarzona”, to znaczy miałam tylko odrobinę czerwonej cerę, a włosy mocno kędzierzawe, wciąż przywodziłam jej na myśl białego, który posiadał ją na pokładzie „Christ the King” w kręgu marynarzy, sprośnych podglądaczy. Przez mnie przypominała sobie co chwilę o swoim bólu i upokorzeniu. Toteż, gdy przytulałam się do niej czule, jak lubię to robić dzieci, nieodmiennie mnie odpychała. Kiedy zarzucałam jej rączki na szyję, pospiesznie się wyswobadzała. Spełniała tylko polecenia Yao.

- Weź ją na kolana. Pocałuj ją. Pogłaszcz... Mimo to nie cierpiałam na brak uczucia, bo Yao kochał

mnie za nich dwoje. Moja rączka ginęła w jego dłoni, twardej i chropawej. Moja nóżka pozostawiała maleńkie ślady między jego ogromnymi. Moje czołko mieściło się w zagłębieniu jego szyi.

Zycie miało jakąś słodycz. Pomimo zakazu Parnella mężczyźni siadali co wieczór okrakiem na wysokich tam-tamach, a kobiety podkasywały swoje łachmany, odstawiając lśniące nogi. I tańczyły!

A przecież wielokrotnie oglądałam sceny przemocy i tortur. Mężczyźni wracali zakrwawieni, ze szkarłatnymi pręgami na piersiach i plecach. Jeden z nich umarł na moich oczach, wymiotując fioletową śliną, i pochowano go pod puchowcem. Potem wszyscy się radowali, gdyż przynajmniej w ten sposób odzyskał wolność. I mógł wyruszyć w drogę powrotną.

Macierzyństwo, a jeszcze bardziej miłość Yao odmieniły moją matkę. Teraz była to młoda kobieta, giętka i różowofioletkowa jak kwiat trzciny cukrowej. Przewiązywała czoło białą chustką, pod którą błyszcząły jej oczy. Któregoś dnia wzięła mnie za rękę i poszliśmy poszukać pochryznu w jamach na parceli, którą pan przydzielił niewolnikom. Lekki wiaterek przepędzał chmury nad morze, więc niebo, oczyszczone, miało barwę ciepłego błękitu. Barbados, mój kraj, jest płaską wyspą. Ledwo tu i ówdzie rysują się pagórki.

Wędrowaliśmy ścieżką, która wiła się wśród traw, gdy nagle usłyszałyśmy jakieś poirytowane głosy. To Darnell beształ nadzorcę. Widząc moją matkę, od razu przybrał zupełnie inną minę. Na jego twarzy zdziwienie walczyło z zachwytem. Wykrzyknął:

- Czy to ty, Abeno? No cóż, nie mógłbym dla ciebie znaleźć lepszego męża. Podejdz bliżej!

Moja matka cofnęła się tak gwałtownie, że spadł jej z głowy koszyk, w którym niosła maczetę oraz tykwę z wodą. Tykwa pękła na trzy części, a jej zawartość wylała się na trawę. Maczeta utkwiała w ziemi, lodowata i zabójcza, a koszyk potoczył się po ścieżce, jak gdyby uciekał ze sceny dramatu, który miał się rozegrać. Przerażona, rzuciłam się w pogoń za nim i w końcu go złapałam.

Gdy wróciłam do matki, opierała się plecami o drzewo kalebasowe, ciężko dysząc. Darnell stał tuż koło niej. Zrzucił koszulę, rozpiął spodnie, odstawiając bieliznę, i lewą ręką gmerał koło swego członka. Matka wrzasnęła, odwracając ku mnie głowę.

- Maczeta! Podaj mi maczetę!

Uwinęłam się tak szybko, jak mogłam, trzymając ogromne ostrze w wątych rączkach. Matka uderzyła dwukrotnie. Powoli koszula z białego lnu stawała się szkarłatna.

Moją matkę powieszono.

Widziałam jej ciało dyndające wśród niskich gałęzi drzewa kapokowego.

Popełniła niewybaczalną zbrodnię. Uderzyła białego. Nie zabiła go jednak. W furii udało jej się tylko niezdarnie zranić go w ramię.

Moją matkę powieszono.

Na egzekucję zwołano wszystkich niewolników. Kiedy, z przetrąconym karkiem, wyzionęła ducha, ze wszystkich piersi popłynął buntowniczy i gniewny śpiew, który nadzorczy uciszeli, siekąc na prawo i lewo bykowcem. Schowałam się w spódnicach jakiejś kobiety. Tężało we mnie niczym lawa uczucie,

którego się nigdy nie pozbędę: strachu połączonego z żalem.

Moją matkę powieszono.

Kiedy jej ciało kołysało się w powietrzu, znalazłam w sobie jeszcze dość siły, by odejść wolnym krokiem, kucnąc i obficie zwymiotować w trawę.

Aby ukarać Yao za zbrodnię jego towarzyszkę, Darnell sprzedał go Johnowi Inglewoodowi, plantatorowi mieszkającemu po drugiej stronie gór Hillaby. Yao nigdy tam nie dotarł. Po drodze zdołał odebrać sobie życie, połykając swój język.

Mnie zaś, dziewczynkę zaledwie siedmioletnią, Darnell wygnał z plantacji. Pewnie bym umarła, gdyby nie solidarność niewolników, która rzadko zawodzi.

Przygarnęła mnie starsza kobieta. Wydawała się stuknięta, widziała bowiem, jak umierali na torturach jej towarzysz i dwaj synowie, oskarżeni o wzniecenie buntu. W istocie prawie straciła kontakt z rzeczywistością i nieustannie przebywała z nimi, rozwinąwszy w sobie w najwyższym stopniu dar porozumiewania się z duchami. Nie pochodziła z Aszantów, jak moja matka i Yao, lecz z plemienia Nago z wybrzeża, a jej imieniu Yetunde nadano kreolską formę Man Yaya. Budziła lęk. Ale ludzie przychodzili do niej z daleka z powodu jej magicznej mocy.

Na początek przygotowała mi kąpiel i polewała moje członki wodą, w której pływały jakieś cuchnące korzenie. Następnie kazała mi wypić napar przyrządzony według własnej receptury i zawiązała mi na szyi sznur czerwonych paciorków.

- Będiesz w życiu cierpieła. Wiele, bardzo wiele.

Te słowa, które napełniły mnie przerażeniem, wymawiała ze spokojem, niemal się uśmiechając.

- Ale przeżyjesz!

Wcale mnie to nie podniosło na duchu! Niemniej jednak zgarbiona postać i pomarszczone oblicze Man Yai tchnęły taką powagą, że nie śmiałam protestować.

Man Yaya uczyła mnie o roślinach.

Tych, co sprowadzają sen. Tych, co leczą rany i wrzody.

Tych, pod których wpływem złodzieje przyznają się do winy.

Tych, co uspokajają epileptyków i zapewniają im zbawienny odpoczynek. Tych, co w usta szaleńców, desperatów i samobójców wkładają słowa nadziei.

Man Yaya nauczyła mnie słuchać wiatru, gdy się zrywa i zbiera w sobie siły nad chatami, które zamierza roztrzaskać.

Man Yaya uczyła mnie o morzu. O górach i pagórkach.

Nauczyła mnie, że wszystko żyje, wszystko ma duszę, oddech. Że wszystko trzeba szanować. Że człowiek nie jest panem, przemierzającym konno swoje królestwo.

Kiedyś zasnęłam wczesnym popołudniem. Było to w czasie wielkiego postu. Panował straszny upał i pracujący motyką i maczetą niewolnicy monotonicznie śpiewali smętną pieśń. Ujrzałam moją matkę, lecz nie żalowaną, zwiotczałą kukłę, dyndającą wśród listowia, tylko kobietę przeistoczoną pod

wpływem miłości Yao. Zawołałam:

- Mamo!

Chwyła mnie w ramiona. Boże! Jakie jej wargi były miękkie!

- Przebacz mi! Wydawało mi się, że cię nie Kocham! Ale teraz przejrzałam na oczy i już nigdy cię nie opuszczę!

Wykrzyknęłam, nieprzytomna ze szczęścia:

- Yao! Gdzie jest Yao? Odwróciła się.

- On też tu jest!

I Yao mi się ukazał.

Pobiegłam opowiedzieć ten sen Man Yai, która oskrobywała korzenie do wieczornego posiłku. Uśmiechnęła się chytrze.

- Więc uważasz, że śniłaś? Zaskoczyła mnie.

Odtąd Man Yaya zaczęła mnie wtajemniczać w arkana wyższej wiedzy.

Zmarli umierają tylko wtedy, gdy umierają w naszych sercach. Żyją, jeśli ich bardzo Kochamy, jeśli czcimy ich pamięć, jeśli kładziemy na ich grobach potrawy, które za życia najbardziej lubili, jeśli regularnie oddajemy się rozmyślaniom, aby przywołać ich wspomnienie. Są tu wszędzie wokół nas, spragnieni uwagi, spragnieni uczucia. Wystarczy kilka słów, aby się zbiegli i przygnęli do nas swymi niewidzialnymi ciałami, niecierpliwie czekając na okazję, żeby się nam przysłużyć.

Ale biada temu, kto ich rozdrażni, ponieważ nigdy nie wybaczą i swą bezlitosną nienawiścią ścigają tych, co ich obrazili, nawet nieświadomie. Man Yaya nauczyła mnie modlitw, litanii, przebłagalnych gestów. Nauczyła mnie zamieniać się w ptaka na gałęzi, owada w suchej trawie, w żabę rechoczącą w mule rzeki Ormonde, ilekroć chciałam odpocząć od kształtu, jaki otrzymałam przy narodzeniu. Przede wszystkim jednak nauczyła mnie składać ofiary z krwi i z mleka - podstawowych płynów. Niestety, w kilka dni po moich czternastych urodzinach jej ciało uległo prawom naszego gatunku. Nie płakałam, składając jej kości w ziemi. Wiedziałam, że nie jestem sama i że teraz trzy cienie czuwają nade mną.

W tym samym czasie Darnell sprzedał plantację. Kilka lat wcześniej jego żona Jennifer zmarła, dając mu syna, chlerawego noworodka o sonej skórze, raz po raz trzęsącego się z gorączki. Mimo że poila go mlekiem niewolnica, zmuszona porzucić dlań własnego synka, wydawało się, że jest mu pisany grób. Dla tego jedyne go potomka białej rasy w Darnellu obudził się instynkt ojcowski; postanowił wrócić do Anglii, żeby tam wyleczono chłopca.

Nowy właściciel, zgodnie z rzadko stosowanym zwyczajem, kupił ziemię bez niewolników. Tak więc ze skutymi nogami i sznurem na szyi zostali oni doprowadzeni do Bridgetown, aby znaleźć nabywcę, a następnie rozproszeni po całej wyspie: ojca rozdzielono z synem, matkę z córką. Ponieważ ja nie należałam już do Darnella i przeszkadzałam na plantacji, nie dołączyłam do smutnego orszaku, który powędrował na licytację. Znałam zakątek na brzegu rzeki Ormonde, gdzie nikt nigdy nie zaglądał,

grunt był bowiem w tym miejscu bagnisty i nie bardzo nadawał się do uprawy trzciny. Zbudowałam tam sama, siłą własnych rąk, chatę, którą udało mi się ustawić na palach. Cierpliwie wypełniając namułami rowki między pasami ziemi, wytyczyłam ogródek, gdzie wkrótce pojawiły się wszelkiego rodzaju rośliny, które sadziłam w sposób rytualny, szanując wolę słońca i powietrza.

Dzisiaj dochodzę do wniosku, że był to najszczęśliwszy okres mojego życia. Nigdy nie byłam sama, gdyż moje duchy kręciły się w pobliżu, ale nie krępowały mnie swoją obecnością.

Man Yaya uzupełniała moją wiedzę w jeszcze jednej dziedzinie swego nauczania: tej dotyczącej roślin. Pod jej kierunkiem uprawiałam się w śmiałych krzyżówkach, łącząc passiflorindę³ ze śliwcem byczym, śliwiec trujący ze szczawiem i różanecznik z siarczynem. Przygotowywałam różne mikstury, napary, których działanie wzmacniałam zaklęciami.

Wieczorem fioletowe niebo rozpościerało się nad moją głową jak wielka chusta, na której pojawiały się, jedna po drugiej, migoczące gwiazdy. Rankiem słońce trąbiło na pobudkę i zapraszało do wspólnej wędrówki.

Mieszkałam z dala od ludzi, a zwłaszcza od białych ludzi. Byłam szczęśliwa! Niestety! Wszystko to miało się zmienić!

Pewnego dnia porywisty wiatr wyrzucił kurnik, w którym hodowałam drób, i musiałam wyruszyć na poszukiwanie moich kur i pięknego koguta o szkarłatnej szyi, znacznie przekraczając granice, które sobie wyznaczyłam.

Na rozdrożu spotkałam niewolników, ciągnących do młyna dwukołowy wózek z trzcina. Przygnębiający widok! Wymizerowane twarze, brudnoszare łachmany, wychudzone członki, włosy zrudziałe od złego odżywiania. Mniej więcej dziesięcioletni chłopiec, ponury, zamknięty w sobie jak dorosły, który w nic nie wierzy, pomagał ojcu prowadzić zaprzęg.

Spostrzegłszy, że nadchodzę, całe bractwo smyrgnęło w trawę, uklękło i wzniosło w moją stronę pół tuzina przerażonych oczu, w których jednak malował się szacunek. Stałam osłupiała. Jakie legendy narosły wokół mnie?

Wydawało się, że budzę lęk. Dlaczego? Córka powieszanej, żyjąca samotnie na moczarach. Czy nie należało raczej uzalić się nade mną? Zrozumiałam, że ludzie myśleli przede wszystkim o mojej więzi z Man Yayą i że to jej się obawiano. Dlaczego? Czy Man Yaya nie wykorzystywała swego daru, aby czynić dobro? Wciąż dobro, i tylko dobro? Ten paniczny strach wydawał mi się niesprawiedliwy. Ach, powinni byli mnie powitać okrzykami radości! Gdyby mi opowiedzieli o swoich chorobach, starałabym się za wszelką cenę im pomóc. Byłam stworzona po to, by leczyć, opatrywać rany, a nie budzić przerażenie. Ze smutkiem wróciłam do zagrody, nie myśląc już nawet o kurach ani o kogucie, które o tej porze pewnie harcowały gdzieś w trawie przy gościńcu.

³ Passiflorinda podobnie jak siarczyniec to rośliny nieistniejące, wymyślone przez autorkę (przyp. tłum.).

To spotkanie z moimi pobratymcami miało poważne następstwa. Poczynając od tego dnia, podchodziłam coraz bliżej do plantacji, aby poznano moje prawdziwe oblicze. Titubę należało kochać!

Pomyśleć, że budziłam lęk, ja, którą wprost rozpieęły czułość i współczucie! Ach tak? Chętnie bym rozpętała wiatr, aby szalał jak pies spuszczonego z łańcucha i wymiół poza horyzont białe dwory panów, rozkazała ogniovi, aby strzelił płomieniem i rozżarzył się do czerwoności, oczyszczając, trawiąc całą wyspę! Ale nie miałam takiej mocy! Umiałam tylko nieść pociechę!

Stopniowo niewolnicy przywykli do mojego widoku i zaczęli się do mnie zbliżać, najpierw nieśmiało, a potem z coraz większą ufnością. Zachodziłam do chat, przynosząc ulgę chorym i potrzebującym.

2

- Hej! To ty, Titubo? Nic dziwnego, że ludzie się ciebie boją. Zobacz, jak ty wyglądasz!

Ten, kto tak do mnie przemawiał, był młodym mężczyzną, znacznie ode mnie starszym - miał bowiem z pewnością co najmniej dwadzieścia lat - wysokim, niezgrabnym, o jasnej cerze i osobiwie gładkich włosach. Gdy chciałam mu odpowiedzieć, słowa jak na złość gdzieś uleciały i nie potrafiłam skleić najprostszego zdania. Ogromnie spłoszona, wydałam z siebie coś w rodzaju chrząknięcia, które wywołało u mojego rozmówcy atak śmiechu. Powtórzył:

- Nie, nic dziwnego, że ludzie się ciebie boją. Nie umiesz mówić i masz rozczochrane włosy, a przecież mogłabyś być piękna.

Podszedł do mnie śmiało. Gdybym była bardziej przyzwyczajona do kontaktu z ludźmi, wyczytałabym strach w jego oczach, ruchliwych jak u królika i tak samo brązowozłoty. Ale nie byłam do tego zdolna. I tylko jego zuchwały głos i uśmiech wywarły na mnie wrażenie. W końcu udało mi się wykrztusić:

- Tak, jestem Tituba. A ty kim jesteś?

- Nazywają mnie John Indien.

Nie było to pospolite nazwisko, więc zmarszczyłam brwi:

- Indien?

Zrobił ważną minę:

- Podobno mój ojciec był jednym z nielicznych Arawaków, których Anglicy nie zmusili do ucieczki. Olbrzymem, wysokim na osiem stóp. Wśród gro mady bękartów, których rozsiał po wyspie, miał dziecko z kobietą z plemienia Nago. Odwiedzał ją wieczorami, i właśnie tym dzieckiem jestem ja!

Obrócił się na pięcie, śmiejąc się głośno. Ta wesołość mnie zdumiewała. Więc jednak istnieli szczęśliwi ludzie na tym padole płaczu... Wybełkotałam:

- Czy jesteś niewolnikiem? Pokiwał twierdząco głową.

- Tak, należę do pani Susanny Endicott, która mieszka tam w dole, w Carlisle Bay.

Wskazywał morze, połyskujące na horyzoncie.

- Posłała mnie do Samuela Watermansa po jajka od leghornów.

- Kto to jest Samuel Watermans? - spytałam. Zaśmiał się. Znów ten śmiech istoty ludzkiej zadowolonej z siebie!

- Nie wiesz, że to on kupił plantację Darnella Davisa?

W tym momencie schylił się i podniósł okrągły koszyk, który przedtem postawił obok.

- No, teraz muszę już iść. Inaczej się spóźnię i pani Endicott znów będzie zrzędziła. Wiesz, jak kobiety lubią zrzędzić? Zwłaszcza gdy zaczynają się starzeć i nie mają mężów.

Och, ta cała gadanina! Kręciło mi się w głowie. Gdy się oddał, pomachawszy mi ręką, nie wiem, co się ze mną stało. Przybrałam ton, który był mi zupełnie nieznanym:

- Czy znów cię zobaczę?

Spojrzał na mnie. Zastanawiam się, co wyczytał z mojej twarzy, w każdym razie się napuszył.

- W niedzielę po południu są tańce w Carlisle Bay. Chcesz przyjść? Ja tam będę.

Przytaknęłam skwapliwie.

Wróciłam bez pośpiechu do mojej chaty. Po raz pierwszy to miejsce, które było moim schronieniem, wydało mi się ponure. Deski, z grubą ociosaną siekierą, poczerniały od deszczu i wiatru. Nawet ogromna bugenwilla, oparta o lewy bok lepianki, nie mogła jej rozweselić pomimo swych purpurowych kwiatów. Rozejrzałam się dookoła: sękaty drzewo kalebasowe, trzciny. Zadrżałam. Skierowałam swoje kroki do kurnika i chwyciłam jedną z nielicznych kur, które pozostały mi wierne. Wprawna ręką rozciąłam jej brzuch, tak by perlista krew zwilżyła ziemię. Potem zawołałam łagodnie:

- Man Yayo! Man Yayo!

Zjawiła się szybko. Nie pod swoją doczesną postacią zgrzybiałej kobiety, lecz pod taką, jaką przybrała na wieczność. Uperfumowana, przystrojona wiankiem z pączków kwiatu pomarańczy. Powiedziałam, dysząc:

- Man Yaya, chcę, żeby ten mężczyzna mnie pokochał.

Pokiwała głową.

- Mężczyźni nie kochają. Oni posiadają. Zniewalają.

Zaprzeczyłam:

- Przecież Yao kochał Abenę.

- To był jeden z nielicznych wyjątków.

- Może i tym razem tak się zdarzy! Odrzuciła głowę do tyłu, aby łatwiej wydobyć z siebie coś w rodzaju niedowierzającego rżenia.

- Mówią, że to kogut, który pokrył połowę kur w Carlisle Bay.

- Chcę, żeby z tym skończył.

- Dość że na niego spojrzę, a już wiem, że to bezmyślny Murzyn, pędziwiatr i zuchwalec.

Man Yaya spoważniała, wyczuwając zniecierpliwienie w moim spojrzeniu.

- Dobrze, idź na te tańce w Carlisle Bay, skoro cię zaprosił, i zręcznie utocz trochę jego krwi na

szmatkę. Przynieś mi ją razem z czymś, co dotykało jego skóry.

Oddaliła się, ale zdążyłam dostrzec w jej rysach wyraz smutku. Niewątpliwie przeczuwała, jak potoczy się dalej moje życie. Moje życie - rzeka, której biegu nie można całkowicie odwrócić.

Do tej pory nigdy nie myślałam o moim ciele. Byłam ładna? Czy brzydka? Nie wiedziałam. Co on mi powiedział?

„Wiesz, że mogłabyś być piękna”.

Ale on wciąż sobie kpił. Może się ze mnie naigrawał. Zdjęłam ubranie, położyłam się i ręką wodziłam po moim ciele. Miałam wrażenie, że jego wypukłości i zagłębienia są harmonijne. Kiedy zbliżyłam dłoń do sromu, nagle wydało mi się, że to nie ja, tylko John Indien tak mnie głaszcze. Z głębi mojego ciała wypłynęła wonna fala i zalała uda. Usłyszałam swoje rżenie w ciemnościach nocy.

Czy tak samo, wbrew woli, rzeziła moja matka, gdy gwałcił ją marynarz? Wtedy zrozumiałam, że chciała oszczędzić swemu ciału drugiego upokorzenia: aktu płciowego bez miłości, i próbowała zabić Darnella. Co jeszcze powiedział John Indien?

„Masz rozczochrane włosy”.

Nazajutrz po przebudzeniu udałam się nad rzekę Ormonde i obciąłam lepiej lub gorzej moją czuprynę. Gdy ostatnie wełniste kosmyki spadały do wody, usłyszałam westchnienie. To była matka. Nie wzywałam jej i pojęłam, że grozi mi niebezpieczeństwo, skoro zdecydowała się opuścić świat niewidzialny.

- Dlaczego kobiety nie mogą się obejść bez mężczyzn? Zobaczysz, zawloką cię na drugą stronę wody...

Zdziwiłam się i przerwałam jej:

- Na drugą stronę wody?

Ale nie udzieliła mi więcej wyjaśnień, powtarzała tylko posępnie:

- Dlaczego kobiety nie mogą się obejść bez mężczyzn?

Wszystko to: opory Man Yai, lamentsy mojej matki, powinno było mnie skłonić do zachowania ostrożności. Ale gdzie tam! W niedzielę podążyłam do Carlisle Bay. W kufrze wyszperałam sukienkę z różowofioletkowej bawełny indyjskiej i spódnicę z perkalu, które chyba należały do matki. Gdy je wkładałam, na ziemię potoczyły się dwa przedmioty. Dwa kolczyki w stylu kreolskim. Puściłam oko do świata niewidzialnego.

Poprzednim razem do Bridgetown wybrałam się jeszcze za życia matki. Przez prawie dziesięć lat miasto bardzo się rozwinęło i stało się ważnym portem. Zatokę zasłaniał las masztów i ujrzałam łopoczące na nich flagi wszelkich narodów. Drewniane domy wydały mi się urocze ze swymi werandami i ogromnymi dachami, w których okna otwierały się szeroko jak oczy dziecka.

Bez trudu odnalazłam miejsce tańców, bo z daleka dobiegała muzyka. Gdybym miała jakieś pojęcie o czasie, wiedziałabym, że jest to okres karnawału, jedyny moment w roku, gdy niewolnicy mają prawo zabawiać się, jak im się żywnie podoba. Ściągali więc ze wszystkich zakątków wyspy, starając

się zapomnieć, że nie są już istotami ludzkimi. Przyglądano mi się i słyszałam szepty:

- Skąd ona się wzięła?

Najwyraźniej nikomu nie przyszło do głowy, że ta elegancka młoda osoba ma coś wspólnego z niemal mityczną Titubą, o której wyczynach przekazywano sobie wieści z jednej plantacji na drugą.

John Indien tańczył z wysoką Mulatką w madraskim zawoju. Natychmiast zostawił partnerkę pośrodku estrady i podszedł do mnie z roziskrzonymi oczami, które odziedziczył po przodku Arawaku. Roześmiał się:

- Czy to ty? To naprawdę ty? Po czym pociągnął mnie.

- Chodź, chodź! Opierałam się.

- Nie umiem tańczyć.

Znów parsknął śmiechem. Mój Boże, jak ten człowiek potrafił się śmiać! A przy każdym dźwięku, który wyrwał się z jego gardła, pękała jedna tama w moim sercu.

- Murzynka, i nie umie tańczyć? Kto to widział?

Wkrótce wokół nas utworzono krąg. Przy piętach, przy kostkach wyrosły mi skrzydła. Moje biodra, moja talia były takie giętkie! Jakiś tajemniczy wąż wśliznął się we mnie. Czy był to pierwotny wąż, o którym tylekroć mówiła mi Man Yaya, uosobienie boga stwórcy wszystkich rzeczy na powierzchni ziemi? Czy to przez niego drżałam z emocji?

Wysoka Mulatka w madraskim zawoju próbowała się wcisnąć między Johna Indiena i mnie. Nie zwracaliśmy na nią w ogóle uwagi. W pewnej chwili, gdy John Indien wycierał sobie twarz dużą chustką z płótna z Pondichery, przypomniały mi się słowa Man Yai: „Trochę jego krwi. Coś, co dotykało jego skóry”.

Przez moment czułam upojenie. Czy to rzeczywiście było potrzebne, skoro wydawał się „naturalnie” oczarowany? Potem intuicja mi podpowiedziała, że ważne jest nie tyle zdobyć mężczyznę, ile go zatrzymać, a John Indien z pewnością należy do takich, których łatwo oczarować, lecz którzy kpią

sobie z wszelkich długofalowych zobowiązań. Posłuchałam zatem Mam Yai.

Gdy sprytnie podwędzając chustkę, zadrapałam go w mały palec, wykrzyknął:

- Aj! Co ty wyprawiasz, czarownico? Mówił tak dla zabawy. A jednak zmartwiłam się.

Co to znaczy czarownica?

Zauważyłam, że w jego ustach słowo to jest napiętnowane hańbą. Czemuż? Ach, czemuż? Umiejętność kontaktowania się z duchami, utrzymywanie stałej więzi ze zmarłymi, pielęgnowanie, leczenie, czyż nie jest to najwyższy dar, zasługujący na szacunek, podziw i wdzięczność? Przecież czarownica, jeśli chcemy tak nazwać tę, która ma ten dar, powinna być hołubiona i respektowana, a nie budzić lęk.

Przygnębiły mnie te rozważania, więc opuściłam salę po ostatnim tańcu, którym była polka. John Indien, zbyt zajęty, nie zauważył mojego odejścia.

Na dworze czarny postronek nocy zaciskał się na szyi wyspy, tak że mało jej nie udusił. Najmniejszego powiewu. Drzewa stały nieruchomo, podobne do pali. Przypomniałam sobie skargę mojej matki.

„Dlaczego kobiety nie mogą się obejść bez mężczyzn?”

No właśnie, dlaczego?

- Nie jestem Murzynem z lasu, maronem! Nigdy nie zamieszkam w tej klatce na króliki, którą masz tam w zaroślach. Jeśli chcesz mieszkać ze mną, musisz przyjść do mnie do Bridgetown!

- Do ciebie?

Zaśmiałam się szyderczo, dodając:

- Niewolnik nigdy nie jest „u siebie”! Czy nie należysz do Susanny Endicott?

Chyba go rozdrażniłam.

- Tak, należę do pani Susanny Endicott, ale pani jest dobra...

Przerwałam mu:

- Jak pani może być dobra? Czy niewolnik może wychwalać swego pana?

Udał, że nie słyszy moich słów, i ciągnął:

- Mam własną chatę za domem i robię tam, co zechcę.

Chwył mnie za rękę.

- Titubo, wiesz, co o tobie mówią: że jesteś czarownicą...

Znów to słowo!

- ...a ja chcę udowodnić, że to nieprawda, i wziąć cię za towarzyszkę w obecności wszystkich.

Pójdziemy razem do kościoła, nauczę cię pacierza...

Powinnam była uciekać, prawda? Ale ja stałam tam bez ruchu, pełna uwielbienia.

- Znasz modlitwy? Potrząsnęłam głową.

- Wiesz, że świat został stworzony siódmego dnia? Że nasz ojciec Adam został wygnany z raju z winy naszej matki Ewy...

Co on mi bajdurzył? Mimo to nie umiałam zaprotestować. Cofnęłam rękę i odwróciłam się plecami. Poczułam jego oddech na karku.

- Titubo, nie chcesz mnie?

To właśnie było nieszczęście. Pożądałam tego mężczyzny tak, jak nie pożądałam niczego przedtem. Pragnęłam jego miłości tak, jak nigdy nie pragnęłam niczyjego uczucia. Nawet mojej matki. Chciałam, żeby mnie dotykał. Chciałam, żeby mnie pieścił. Czekałam tylko na chwilę, gdy mnie weźmie w ramiona i gdy otworzą się śluzy mojego ciała, wyrzucając wody rozkoszy.

Szeptał, niemal muskając wargami moją skórę.

- Nie chcesz być ze mną od chwili, gdy głupie koguty zaczynają stroszyć pióra na podwórkach, aż do chwili, gdy słońce zanurzy się w morzu i zaczną się najbardziej upalne godziny?

Jakoś zdołałam wstać.

- To, o co mnie prosisz, to poważna sprawa. Daj mi tydzień do namysłu, przyniosę ci odpowiedź tutaj.

Z wściekłością podniósł swój słomiany kapelusz. Co on w sobie miał ten John Indien, że z jego powodu dosłownie się rozchorowałam? Niezbyt wysoki, średniego wzrostu - pięć stóp i siedem cali - niezbyt barczysty, niebrzydki, ale i nie przystojny! Wspaniałe zęby, oczy pełne ognia! Muszę przyznać, że stawiając sobie to pytanie, byłam wręcz obłudna. Dobrze wiedziałam, co stanowiło jego największą zaletę, i nie śmiałam spojrzeć na monumentalną wypukłość jego przyrodzenia, poniżej jutowego sznurka, który przytrzymał *konoko*⁴ z białego płótna.

Powiedziałam:

- A więc do niedzieli.

Ledwo wróciłam do mojej chaty, wezwałam Man Yayę, która nie kwapiła się mnie wysłuchać i ukazała mi się nadaşana:

- Czego ty jeszcze chcesz? Nie jesteś w pełni szczęśliwa? Przecież ci zaproponował, żebyś z nim zamieszkała.

- Dobrze wiesz, że nie chcę wracać do świata białych - odparłam cichutko.

- Będziesz musiała przez to przejść.

- Dlaczego? Niemal wrzasnęłam:

- Dlaczego?! Nie możesz mi go tutaj sprowadzić? Czy to znaczy, że twoja moc ma swoje granice?

Nie rozgniewała się, tylko popatrzyła na mnie z tklwym współczuciem.

- Zawsze ci to mówiłam. Wszechświat ma swoje prawa, a ja nie mogę ich wszystkich podeptać, w przeciwnym razie bym go zburzyła i zbudowała inny, taki, w którym nasi byliby wolni. Wtedy im z kolei byłoby dane podporządkowywać sobie białych. Niestety, nie mogę tego zrobić!

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, i Man Yaya znikła, podobnie jak przyszła, zostawiając po sobie zapach eukaliptusa, który zapowiada pojawienie się ducha.

Gdy zostałam sama, rozpałiłam ogień między czterema kamieniami, nastawiłam mój *canari*⁵ i wrzuciłam do wody strąk pieprzu tureckiego oraz kawałek solonej wieprzowiny, aby przyrządzić sobie potrawkę. Jednakże wcale nie miałam ochoty na jedzenie.

Moją matkę zgwałcił biały. Powieszono ją z powodu innego białego. Widziałam, jak jej język wysuwa się z ust niczym nabrzmiały, fioletowy penis. Mój przybrany ojciec popełnił samobójstwo przez białego. A ja mimo wszystko zamierzałam znów żyć wśród nich, pod ich jarzmem. I to dlatego, że zapalałam gwałtownym uczuciem do zwykłego śmiertelnika. Czy to nie szaleństwo? Szaleństwo i zdrada?

Walczyłam ze sobą tej nocy i jeszcze przez siedem następnych dni i nocy. Pod koniec dałam za

⁴ Krótkie i obcisłe spodnie niewolnika (przyp. aut.).

⁵ Gliniany garnek (przyp. aut.).

wygraną. Nikomu nie życzę takiej udręki. Wyrzutów sumienia. Wstydu, panicznego strachu.

Następnej niedzieli wrzuciłam do karaibskiego koszyka parę sukienek i trzy spódnice. Zabarykadowałam żerdzią drzwi chaty. Wypuściłam na wolność moje zwierzęta. Kury i perliczki, które żywiły mnie swoimi jajkami. Krowę, która dawała mleko. Prosię, które tuczyłam od roku, nie mając nigdy serca go zabić.

Odmówiłam szeptem bardzo długą modlitwę za mieszkańców domostwa, które opuszczałam.

Następnie ruszyłam w drogę do Carlisle Bay.

3

Susanna Endicott była drobną kobietą około pięćdziesiątki, o siwiejących włosach, z przedziałkiem pośrodku, upiętych tak ciasno w kok, że skóra na czole i skroniach ciągnęła się do tyłu. W jej oczach koloru morskiej wody malował się niepokohamowany wstręt, jaki w niej budziłam. Patrzyła na mnie jak na odrażający przedmiot

- Tituba? Skąd się wzięło to imię?

- Nadał mi je ojciec - odparłam chłodno. Spurpurowiała.

- Kiedy do mnie mówisz, spuść oczy. Usłuchałam z miłości do Johna Indiena.

- Czy jesteś chrześcijanką? - ciągnęła. John Indien pospieszył z wyjaśnieniem:

- Nauczę ją modlitw, pani! I porozmawiam z proboszczem parafii Bridgetown, żeby otrzymała chrzest, skoro tylko będzie to możliwe.

Susanna Endicott znów przeszła mnie wzrokiem.

- Będziesz sprzątać dom. Raz w tygodniu wy szorujesz podłogę. Będziesz prała i prasowała bieliznę. Ale nie będziesz się zajmować kuchnią. Sama gotuję, bo nie znoszę, gdy wy, czarnuchy, dotykacie jedzenia rękami, które od spodu są odbarwione i woskowe.

Spojrzałam na moje dłonie. Moje dłonie, szaro-różowe jak muszla morska.

John Indien zareagował na te słowa głośnym wybuchem śmiechu, ja zaś stałam osłupiała. Nikt nigdy tak do mnie nie mówił i tak nie upokarzał!

- A teraz idź sobie!

John zaczął podskakiwać, raz na jednej, raz na drugiej nodze, i powiedział skamlącym, a zarazem przymilnym i pokornym tonem jak dziecko, które prosi o łakocie:

- Pani, kiedy Murzyn postanawia się ożenić, czy nie zasługuje na dwa dni odpoczynku? Mam rację, pani?

Susanna Endicott splunęła, a jej oczy miały teraz barwę morza w sztormowy dzień.

- Piękną żonę sobie wybrałeś, nie ma co, i daj Boże, żebyś tego nie pożałował!

John znów się roześmiał, wyrzucając z siebie między jedną perlistą nutą a drugą:

- Daj Boże, daj Boże!

Susanna Endicott nagle się udobruchała.

- Zmykaj i staw się u mnie we wtorek.

John nalegał w taki sam komiczny i karykaturalny sposób:

- Dwa dni, pani! Dwa dni! Ona rzuciła:

- Zgoda, wygrałeś! Jak zawsze ze mną! Pokaż się w środę. Nie zapomnij tylko, że to dzień poczty.

On spytał dumnie:

- Czy kiedykolwiek o tym zapomniałem? Następnie padł na kolana, chwytając jej rękę, by ją ucałować. Nie pozwoliła mu na to, tylko trzepnęła go w twarz:

- Precz, czarnuchu!

Krew we mnie zawrzała. John Indien, który wiedział, co czuję, chciał mnie jak najszybciej stamtąd zabrać, ale głos Susanny przykuł nas do miejsca.

- Cóż to, Titubo, nie dziękujesz mi?

John niemal zmiążdżył moje palce w uścisku. Udało mi się wyjąkać:

- Dziękuję, pani.

Susanna Endicott była wdową po zamożnym plantatorze, jednym z tych, którzy pierwsi nauczyli się od Holendrów sztuki pozyskiwania cukru z trzciny. Po śmierci męża sprzedała plantację i wyzwoliła wszystkich swoich niewolników, bo - paradoks, którego nie rozumiem - choć nienawidziła czarnych, była jednak zagorzałą przeciwniczką niewolnictwa. Zatrzymała u siebie tylko Johna Indiena, który przyszedł na świat w jej obecności. Jej piękna i obszerna siedziba wznosiła się pośrodku Carlisle Bay, obsadzonego drzewami parku, w którego głębi znajdowała się chata, całkiem sztywna, słowo daję, Johna Indiena. Była zbudowana z plecionych gałęzi, pobielonych wapnem, i ozdobiona małą werandą, na której kolumnkach wisiał hamak.

John Indien zamknął drzwi drewnianym rygłem i wziął mnie w ramiona, szepcząc:

- Obowiązkiem niewolnika jest przeżyć. Słyszysz? Przeżyć.

Te słowa przypomniały mi Man Yayę i łzy pociekły mi po policzkach. John Indien spijał je jedną po drugiej, podążając za ich słoną strużką aż do moich ust. Łkałam. Smutek, wstyd, jakiego doznawałam, widząc jego zachowanie wobec Susanny Endicott, nie minęły, lecz zamieniły się w gwałtowną wściekłość, która podsyciła moją żądzę. Ugryzłam go dziko w kark. Wybuchnął swoim pięknym śmiechem i zawołał:

- Chodź, źrebiczko, niech cię ujarzmię.

Wziął mnie na ręce i zaniósł do izby, gdzie stało łóże z baldachimem - nieoczekiwana i dziwaczna twierdza. Gdy znalazłam się w tym łóżu, które mu pewnie podarowała Susanna Endicott, wpadłam w jeszcze większą furję, toteż pierwsze chwile naszej miłości przypominały walkę.

Wiele oczekiwałam po tych godzinach. Dały mi pełnię szczęścia.

Kiedy, nieprzytomna ze zmęczenia, obróciłam się na bok, chcąc zasnąć, usłyszałam gorzkie westchnienie. To była z pewnością moja matka, ale nie zamierzałam się z nią kontaktować.

Były to dwa upojne dni. John Indien, ani władczy, ani zrzędlivy, miał zwyczaj wszystko robić sam i

traktował mnie jak boginię. To on zagniół chleb kukurydziany, przygotował potrawkę, pokroił w plasterki awokado, gujawę o różowym miększu i papaję o leciutko zgniłym posmaku. Podał mi jedzenie w tykwie, z łyżką, którą sam wyrzeźbił i ozdobił trójkątnymi motywami. Zamienił się w bazarza, parując w wyimaginowanym kręgu.

- Puk, puk w suche drewno! Czy dwór śpi? Zmierzył mi włosy i uczesał je wedle swego upodobania. Natarł moje ciało olejem kokosowym, pachnącym jagodlinem.

Ale te dwa dni trwały tylko dwa dni. Ani godzinę dłużej. W środę rano Susanna Endicott zabębniła w drzwi i usłyszeliśmy jej jędzowaty głos:

- Johnie Indienie, czy pamiętasz, że to dzień poczty? A ty chędożysz swoją kobietę!

John wyskoczył z łóżka. Ja ubrałam się powoli. Kiedy doszłam do willi, Susanna Endicott właśnie jadła śniadanie w kuchni. Miskę kaszy i kromkę razowego chleba. Wskazała palcem na okrągły przedmiot wiszący na ścianie i zapytała mnie:

- Umiesz odczytać godzinę?

- Godzinę?

- Tak, nędznico, to jest zegar. I musisz zaczynać pracę o szóstej rano!

Następnie pokazała mi wiadro, miotłę i szczotkę do szorowania.

- Do roboty!

Willi miała dwanaście pokoi, a ponadto mansardę, na której piętrzyły się skórzane kufry z garderobą nieboszczyka Josepha Endicotta. Ten mężczyzna najwyraźniej lubił piękną bieliznę.

Kiedy, ślaniając się z wyczerpania, w zabrudzonej i przemoczonej sukience zesłam na dół, Susanna Endicott popijała herbatę ze swymi przyjaciółkami, pół tuzinem kobiet podobnych do niej, o skórze barwy zsiadłego mleka, z włosami ściągniętymi do tyłu i koniuszkami szali zawiązanymi w pasie. Wpatrzyły się we mnie z przerażeniem swymi różnokolorowymi oczami:

- Skąd ona się wzięła?

Susanna Endicott powiedziała groteskowo uroczystym tonem:

- To towarzyszka Johna Indiena! Wszystkie kobiety wydały identyczny okrzyk, a jedna z nich obruszyła się.

- Pod twoim dachem! Coś mi się widzi, Susanno Endicott, że za dużo pozwalasz temu chłopakowi! Zapominasz, że to Murzyn!

Susanna Endicott pobłażliwie wzruszyła ramionami.

- No cóż, wolę, żeby miał w domu, co trzeba, niż włóczył się nie wiadomo gdzie i tracił siły, wylewając swoje nasienie!

- Czy chociaż jest chrześcijanką?

- John Indien nauczy ją pacierza.

- Czy wezmą ślub?

Tym, co mnie dziwiło i oburzało, były nie tyle słowa, które wypowiadały, ile ich sposób bycia. Można

by rzec, że wcale nie stałam tam, na progu izby. Mówiły o mnie, a jednocześnie ignorowały. Skreśliły mnie z mapy ludzkości. Byłam kimś nieistniejącym. Duchem. Bardziej niewidzialna niż duchy, one bowiem mają przynajmniej władzę, której każdy się obawia. Tituba... Tituba miała tylko tyle rzeczywistych cech, ile chciały jej nadać te kobiety.

To było straszne.

Stawałam się brzydka, ordynarna, gorsza, ponieważ one tak zdecydowały. Wyszłam do ogrodu i usłyszałam ich uwagi, które dowodziły, że udając brak zainteresowania moją osobą, zlustrowały mnie jednak od stóp do głów.

- Ma takie spojrzenie, że aż ciarki człowieka przechodzą.

- Oczy czarownicy. Susanno Endicott, bądź ostrożna.

Wróciłam do mojej chaty i przygnębiona usiadłam na werandzie.

Po chwili usłyszałam westchnienie. To znów była matka. Tym razem odwróciłam się do niej i powiedziałam zjadliwie:

- Czy nie zaznałaś miłości, kiedy byłaś na tej ziemi?

Pokiwała głową.

- Mnie miłość nie upodliła. Wręcz przeciwnie. Dzięki miłości Yao odzyskałam szacunek dla siebie i wiarę we własne siły.

Po tych słowach smutno zwinęła się w kłębek pod krzakiem dzikiej róży kajeńskiej. Siedziałam jak przykuta. Wystarczyło żebym wstała, chwyciła tobolek z bielizną, zatrzasnęła za sobą drzwi i wyruszyła w drogę powrotną nad rzekę Ormonde. Ba! Coś mi w tym przeszkadzało.

Niewolnicy, którzy schodzili całymi tabunami ze statków i którym przyglądała się czcigodna socjeta z Bridgetown, zgromadzona, by szydzić chórem z ich wyglądu, rysów i postury, mieli więcej wolności ode mnie. Oni bowiem nie wybrali swoich łańcuchów. Nie wędrowali z własnej woli w stronę wspaniałego, wzburzonego morza, aby oddać się w ręce przemytników i wystawić plecy do napiętnowania.

A ja właśnie to zrobiłam.

- Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedyne, Pana naszego...

Energicznie potrząsnęłam głową.

- Johnie Indienie, nie mogę tego powtórzyć!

- Powtórz, najdroższa! Dla niewolnika ważne jest tylko, żeby przeżyć! Powtórz, moja królowo. Pewnie sobie wyobrażasz, że ja w to wierzę, w tę ich historyjkę o świętej Trójcy? Jeden Bóg w trzech różnych osobach? Ale to nie ma znaczenia. Wystarczy udawać. Powtórz!

- Nie mogę!

- Powtórz, najdroższa, moja źrebiczko o grzywie z liści! Czy nie najważniejsze jest to, żebyśmy byli razem w tym wielkim łożu podobnym do tratwy na porohach?

- Nie wiem! Już sama nie wiem!

- Zapewniam cię, moja najdroższa, moja królowo, że tylko to się liczy! Więc powtórz za mną!

John Indien siłą złożył moje dłonie, a ja powtórzyłam za nim:

- Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi...

Ale te słowa nic dla mnie nie znaczyły. Nie miały nic wspólnego z tym, czego nauczyła mnie Man Yaya.

Ponieważ Susanna Endicott nie bardzo dowierzała roztropności Johna Indiena, postanowiła sama przepytawać mnie z katechizmu i wyjaśniać zwroty z tej Świętej Księgi. Codziennie po południu, o czwartej, zastawałam ją z rękami skrzyżowanymi na grubym oprawnym w skórę tomie, który otwierała, przeżegnawszy się przedtem i odmówiwszy krótką modlitwę. Sterczałam przed nią, usiłując zebrać myśli.

Nie umiałabym nawet opisać wrażenia, jakie wywierała na mnie ta kobieta. Ona mnie paraliżowała. Napęniała zgrozą.

Pod jej spojrzeniem koloru morskiej wody traciłam rozum. Byłam już tylko tym, czym ona chciała, żebym była. Gidią o skórze odrażającej barwy. Daremnie wzywałam na pomoc tych, co mnie kochali - nie pospieszyli z ratunkiem. Kiedy byłam z dala od Susanny Endicott, karciałam sama siebie, robiłam sobie wyrzuty i przysięgałam, że przy następnym spotkaniu w cztery oczy stawię jej opór. Wyobrażałam sobie zuchwałe i drwiące odpowiedzi, których mogłabym triumfalnie udzielić na jej pytania. Niestety! Wystarczyło, że znalazłam się w jej obecności, aby opuściła mnie cała buta.

Tego dnia popchnęłam drzwi od kuchni, gdzie dawała mi lekcje, i od razu wzrokiem ostrzegła mnie spokojnie, że rozporządza niebezpieczną bronią, którą się niezwłocznie posłuży. Jednakże lekcja zaczęła się jak zwykle. Odważnie zagałam:

- Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela...

Nie przerwała mi.

Pozwoliła mi bełkotać, jąkać się, potykać na śliskich sylabach angielskiego. Kiedy skończyłam recytować i zatrzymałam się tak zdyszana, jakbym wbiegła na pagórek, spytała:

- Czy nie jesteś córką tej Abeny, która zabiła plantatora?

Zaprzeczyłam:

- Pani, ona go nie zabiła! Tylko lekko zraniła! Na twarzy Susanny Endicott pojawił się uśmiech, który oznaczał, że wykręty nie odniosą żadnego skutku. Ciągnęła:

- Czy nie wychowywała cię pewna Murzynka z plemienia Nago, czarownica z zawodu, która nazywała się Man Yaya?

- Czarownica! Czarownica! Ona leczyła, uzdrawiała! - wykrztusiłam.

Jej uśmiech stał się bardziej okrutny, a cienkie i blade wargi zadrżały.

- Czy John Indien wie o tym wszystkim?

- A co tu jest do ukrycia? - zdołałam odparować.

Spuściła oczy na swoją księgę. W tej chwili wszedł John Indien, niosąc drewno na podpałkę, i ujrzał mnie tak przybitą, że zrozumiał: szykowało się coś groźnego. Niestety! Dopiero po długich godzinach mogłam mu się zwierzyć:

- Ona wie! Ona wie, kim jestem!

Jego ciało zeszytywniało i zlodowaciało jak ciało nieboszczyka. Szepnął:

- Co ci powiedziała?

Zrelacjonowałam całą sprawę, a on wymamrotał struchlały:

- Rok temu gubernator Dutton kazał spalić na rynku w Bridgetown dwóch niewolników oskarżonych o koszachy z Szatanem, bo dla białych to właśnie znaczy być czarownicą... Zaoponowałam:

- Z Szatanem! Zanim znalazłam się w tym domu, nie znałam nawet tego słowa.

Zaśmiał się drwiąco.

- Udowodnij to przed sądem!

- Przed sądem!

Strach Johna Indiena był tak wielki, że słyszałam w pokoju, jak serce bije mu młotem.

- Wytłumacz mi! - zażądałam.

- Nie znasz białych. Jeśli ona zdoła przekonać ich, że jesteś czarownicą, wzniosą stos, a ciebie postawią na jego szczycie.

Tej nocy po raz pierwszy, odkąd zamieszkaliśmy razem, John Indien nie kochał się ze mną. Skręcałam się przy nim roznamiętniona, szukając ręką przedmiotu, który dał mi tyle rozkoszy. Ale on mnie odepchnął.

Noc ciągnęła się w nieskończoność.

Słyszałam, jak wicher wyje, przelatując nad koronami palm. Słyszałam szum morskich fal. Słyszałam szczekanie psów, wytresowanych do tropienia czarnych włóczęgów. Słyszałam pianie kogutów zwiastujące świt. Później John Indien wstał i bez słowa włożył ubranie na to ciało, którego mi odmawiał. Rozpłakałam się.

Gdy znów poszłam do kuchni, aby odrobić moją poranną pańszczyznę, Susanna Endicott rozprawiła z Betsey Ingersoll, żoną pastora. Mówiły o mnie, wiedziałam o tym, ich głowy prawie się stykały nad miskami z parującą kaszą. John Indien miał rację. Zawiązywał się spisek.

W sądzie słowo niewolnika, a nawet wyzwolonego Murzyna wcale się nie liczyło. Na próżno będziemy zdzierać gardło i głośno obwieszczać, że nie wiemy, kto to jest Szatan; nikt nie zwróci na nas uwagi.

Wtedy to postanowiłam się bronić.

Nie zwlekając dłużej.

Wyszłam na dwór, w straszny upał, o trzeciej po południu, ale nie czułam ukąszeń słońca. Skierowałam kroki na poletko znajdujące się za chatą Johna Indiena i pograżyłam się w modłach. Na tym świecie nie ma miejsca dla Susanny Endicott i dla mnie. O jedną z nas jest za dużo, ale nie ja

jestem zbędna.

4

- Przez całą noc cię wzywałam. Dlaczego przychodzisz dopiero teraz?

- Byłam po drugiej stronie wyspy, właśnie pocieszałam niewolnika, którego towarzysz zmarł w strasznych męczarniach. Wychłostali go. Nasypali pieprzu w jego rany, a potem wyrwali genitalia.

Kiedy indziej byłabym oburzona, słysząc tę opowieść. Teraz pozostawiła mnie obojętną. Podjęłam z pasją:

- Chcę, żeby umierała powoli, w najokropniej szych cierpieniach, wiedząc, że to z mojego powodu.

Man Yaya potrząsnęła głową.

- Staraj się powściągnąć chęć zemsty. Wykorzystaj swoją sztukę, służąc naszym i niosąc im pociechę.

- Ale ona wypowiedziała mi wojnę! Chce mi zabrać Johna Indiena! - zaprotestowałam.

Man Yaya uśmiechnęła się smutno.

- Tak czy inaczej go stracisz.

- Jak to? - wyjąkałam.

Nie odpowiedziała, jak gdyby nie chciała już nic więcej dorzucić do tego, co mi już wyjawiała.

Widząc moje zdenerwowanie, matka, która asystowała przy tej rozmowie, stwierdziła półgłosem:

- Rzeczywiście, wielka by to była strata! Ten Murzyn da ci się jeszcze we znaki.

Man Yaya popatrzyła na nią z wyrzutem i matka zamilkła. Postanowiłam zlekceważyć te słowa i zwróciłam się do Man Yai, pytając tylko ją:

- Chcesz mi pomóc? Matka znów się wtrąciła:

- Pędziwiatr i zuchwalec! Ten Murzyn to istny pędziwiatr i zuchwalec!

W końcu Man Yaya wzruszyła ramionami.

- I co chcesz, żebyś dla ciebie zrobiła? Czy nie nauczyłam cię wszystkiego, czego tylko mogłam cię nauczyć? Wkrótce zresztą już w ogóle nic dla ciebie nie będę w stanie zrobić!

Z rezygnacją spojrzałam prawdzie w oczy i spytałam:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Będę daleko. Wiele czasu zajmie mi przekroczenie wody! A ponadto będzie to bardzo trudne!

- A dlaczego musisz przekroczyć wodę?

Moja matka wybuchnęła płaczem. Zadziwiająca! Ta kobieta, która za życia okazywała mi tak mało czułości, w zaświatach stawała się niemal zaborczą opiekunką. Trochę zirytowana odwróciłam się do niej plecami i powtórzyłam:

- Man Yayo, dlaczego musisz przekroczyć wodę, by się ze mną zobaczyć?

Man Yaya nie odpowiedziała, a ja zrozumiałam, że chociaż darzy mnie szczerym uczuciem, mój status istoty śmiertelnej zmusza ją do zachowania pewnej rezerwy.

Uszanowałam jej milczenie i nawiązałam do moich poprzednich trosk.

- Chcę, aby Susanna Endicott umarła!

Moja matka i Man Yaya zerwały się obie naraz, a ta druga rzekła jakby znużona:

- Nawet jeśli umrze i tak nie unikniesz swego losu. I zeszmacisz się. Upodobnisz się do nich, do tych, co potrafią jedynie zabijać, niszczyć. Spraw ty! ko, żeby zapadła na jakąś kłopotliwą, upokarzającą chorobę!

Oba duchy oddaliły się, a ja zostałam sama i medytowałam, jak powinnam postąpić. Kłopotliwa i upokarzająca choroba? Jaką wybrać? Gdy zmierzch sprowadził do mnie Johna Indiena, jeszcze nie znalazłam żadnego rozwiązania. Wydawało się, że mój mężczyzna pozbył się obaw. Zrobił mi nawet niespodziankę: przyniósł od angielskiego sklepikarza aksamitną, różowofioletkową wstążkę, którą sam związał mi we włosach. Przypomniałam sobie niepochlebne słowa Man Yai i matki na jego temat i zagadnęłam, żeby się uspokoić:

- Johnie Indienie, kochasz mnie? Zagruchał:

- Bardziej niż własne życie. Bardziej niż Boga, o którym wciąż trąbi nam Susanna Endicott! Ale trochę się ciebie boję...

- Dlaczego się mnie boisz?

- Bo wiem, że jesteś porywcza! Często widzę cię jako cyklon szalejący na wyspie, wyginający palmy kokosowe i wznoszący aż do nieba ołowianoszarą falę.

- Przestań! Kochaj się ze mną!

Dwa dni później Susannę Endicott chwyciły gwałtowne skurcze, kiedy podawała herbatę żonie pastora. Ta ledwo zdążyła wyjść na próg i zawołać Johna Indiena, który rąbał drewno, gdy cuchnący strumień popłynął po udach matrony i utworzył pienne jezioro na podłodze.

Wezwano doktora Foxa, człowieka wykształconego, który studiował w Oksfordzie i wydał książkę *Wonder of the Invisible World*. Wybór tego właśnie lekarza nie był przypadkowy. Susanna Endicott rozchorowała się tak nagle, że budziło to podejrzenia. Jeszcze poprzedniego dnia, z szalem owiniętym wokół sztywnej talii, włosami przykrytymi czepkiem, uczyła dzieci katechizmu. Jeszcze poprzedniego dnia oznaczała niebieskim krzyżykiem jajka, z którymi wysyłała Johna Indiena na targ. A może też zwierzała się wokół z podejrzeń, jakie żywiła wobec mnie? W każdym razie Fox przyszedł zbadać ją od stóp do głów. Nawet jeśli obrzydzeniem napełniał go ohydny smród buchający z jej pośladka, nie dał tego po sobie poznać i siedział zamknięty z chorą prawie trzy godziny. Kiedy wyszedł z pokoju, usłyszałam, jak rozprawia z pastorem i kilkoma jego owieczkami.

- Nie znalazłem na intymnych częściach jej ciała żadnych sutków, które mógłby ssać demon. Tak samo nie znalazłem czerwonej lub niebieskiej plamki podobnej do śladu po ugryzieniu pchły. Ani też niewidocznych znaków, które po ukłuciu nie krwawią. I dlatego nie mogę przedstawić żadnego przekonującego dowodu.

Ach, jak chętnie przyjrzałabym się kłęsce mojego wroga, umorusanego oseska, zawiniętego w za-

fajdane pieluchy! Ale drzwi sypialni uchylały się tylko, by wpuścić jedną z jej wiernych przyjaciółek, które dreptały cichutko, przynosząc lub wynosząc tacę bądź nocnik.

Przysłowie mówi: „Szczyry balują, gdy kota w domu nie czują!”

W sobotę, która nadeszła po tym, jak Susanna Endicott położyła się do łóżka, John Indien wydał bal! Dobrze wiedziałam, że nie jest podobny do mnie, ponurej istoty, dorastającej w towarzystwie staruchy, ale nie spodziewałam się, że ma aż tylu przyjaciół! Ciągnęli zewsząd, nawet z najbardziej oddalonych prowincji Saint-Lucy i Saint-Philipp. Pewien niewolnik przez dwa dni wędrował z Coblers Rock.

Wysoka Mulatka w madraskim zawoju też zaliczała się do grona gości. Spiorunowała mnie tylko wzrokiem, nie podchodząc, jak gdyby pojęła, że ma do czynienia z kimś silniejszym. Jeden z mężczyzn podwędził ze składziku swego pana beczkę rumu, którą przebito młotkiem. Gdy puszczono w obieg dwa lub trzy kufle, umysły się rozochociły. Jakiś człowiek z plemienia Kongo, podobny do drewnianej sękatej tyczki, wskoczył na stół i zaczął wykrzykiwać zagadki:

- Słuchajcie mnie, Murzynie! Słuchajcie dobrze! Nie jestem ani królem, ani królową. A jednak trzęsę światem?

- Rum, rum! - wykrzyknęli zebrani.

- Chociaż jestem taki malutki, oświecmy chatę?

- Świeca, świeca!

- Wysłałem Matyldę po chleb. Chleb przyszedł wcześniej niż Matylda?

- Kokos, kokos!

Byłam przerażona, nienawykła do takiego hałaśliwego rozpasania i trochę zde gustowana tą ludzką zbieraniną. John Indien chwycił mnie za ramię.

- Nie rób takiej miny, bo moi przyjaciele powiedzą, że jesteś zarozumiała. Powiedz, że twoja skóra jest czarna, ale że nosisz na niej białą maskę...

Szepnęłam:

- Nie o to chodzi. Ale jeśli ktoś usłyszy ten harmider i przyjdzie zobaczyć, co tu się dzieje?

Zaśmiał się:

- I co z tego? Nikt się nie dziwi, że Murzynie upijają się i tańczą, i uczują, gdy tylko ich panowie się odwrócą. Grajmy jak najlepiej naszą murzyńską rolę.

Wcale mnie to nie rozbawiło, ale on, nie zwracając na mnie uwagi, obrócił się na pięcie i puścił się w mazurka.

Punkt kulminacyjny zabawy nastąpił, gdy niewolnicy wśliznęli się do domu, gdzie Susanna Endicott pławiła się w swojej urynie, i wrócili z naręczem ubrań, które należały do jej zmarłego męża. Wkładali je, naśladując uroczyste i pompatyczne maniery człowieka jego rangi. Jeden z nich zawiązał sobie chustkę na szyi i udawał, że jest pastorem.

Zrobił taką minę, jakby otwierał książkę, wertował ją, i zaczął recytować rozmodlonym głosem

litanię sprośności. Wszyscy śmiali się do łez, a pierwszy John Indien. Następnie trefniś wskoczył na beczkę i natężył głos:

- Udzielę wam ślubu, Titubo i Johnie Indienie. Niech ten, kto zna jakąś przeszkodę, uniemożliwiająca zawarcie tego związku, podejdzie i mówi.

Wysoka Mulatka w madraskim zawoju zbliżyła się i podniosła rękę:

- Ja, ja znam taką przeszkodę! John Indien zmajstrował mi dwóch bękartów, podobnych do niego jak dwie półpensówki. I obiecał małżeństwo.

Ta farsa, trzeba przyznać, mogła się źle skończyć. Ale nic się nie stało. Zachęcony następną kaskadą śmiechu, samozwańczy pastor przybrał natchniony wyraz twarzy i oznajmił:

- W Afryce, skąd wszyscy pochodzimy, każdy ma prawo do pewnej liczby kobiet, tylu, ile zdoła objąć rękami. Idź w spokoju, Johnie Indienie, i żyj ze swoimi dwiema Murzynkami.

Wszyscy przyklasnęli, a ktoś popchnął nas, Mulatkę i mnie, na pierś Johna Indiena, który zaczął jedną i drugą okrywać pocałunkami. Udawałam, że mnie to śmieszy, ale muszę powiedzieć, że krew się gotowała w całym moim ciele. Mulatka, ulatując w ramionach innego tancerza, rzuciła:

- Mężczyźni, moja droga, są po to, by się nimi dzielić.

Nie zamierzałam jej odpowiadać i wyszłam na werandę.

Bachanalia trwały do wczesnych godzin rannych. Rzecz dziwna, nikt nie przyszedł nas uciszyć.

Dwa dni później Susanna Endicott wezwała nas, Johna Indiena i mnie. Siedziała w swoim łóżku, z plecami opartymi o poduszki, skórą już tak żółtą jak jej siuśki, twarzą wymizerowaną, lecz spokojną. Okno było otwarte ze względu na węż tych, którzy ją odwiedzali, i oczyszczający zapach morza usuwał wszelkie smrodliwe wyziewy. Susanna Endicott spojrzała mi prosto w oczy i znów nie mogłam wytrzymać jej spojrzenia. Podkreślając każdą sylabę, oznajmiła:

- Titubo, wiem, że to ty swoimi czarami wprowadziłaś mnie w taki stan. Jesteś dość sprytna, aby zmylić Foxa i wszystkich tych, co czerpią wiedzę z książek. Ale mnie nie oszukasz. Chciałabym ci powiedzieć, że dzisiaj triumfujesz ty. Dobrze! Tyle że, widzisz, jutro należy do mnie, a ja się zemszczę. Ach, jak ja się na tobie zemszczę!

John Indien zaczął jęczeć, ale nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi. Obracając się do ściany, dała nam do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

Wczesnym popołudniem przyszedł do niej z wizytą jakiś mężczyzna. Prawdę mówiąc, nigdy kogoś takiego nie spotkałam na ulicach Bridgetown ani gdzie indziej! Wysoki, bardzo wysoki, cały ubrany na czarno, o kredowobiałej cerze. Już miał wejść na schody, gdy jego oczy spoczęły na mnie, stojącej w półmroku z miotłą i wiadrem, i o mało co nie padłam jak długa. Dużo już mówiłam o wzroku Susanny Endicott. Ale jego spojrzenie! Wyobraźcie sobie zielonkawę i zimne źrenice, przebiegłe i podstępne, stwarzające zło, ponieważ widziały je wszędzie. Człowiek czuł się tak, jakby stanął przed wężem albo jakimś innym złośliwym, szkodliwym gadem. Od razu nabrałam przekonania, że ten Zły - a opowiadano nam o nim bez przerwy - na pewno nie inaczej spoglądał na osobników, których chciał

sprowadzić na manowce, a potem zgładzić.

- Murzynko, czemu się tak na mnie gapisz? - spytał, a jego głos był podobny do spojrzenia: zimny i świdrujący.

Czmychnęłam.

Następnie, gdy tylko odzyskałam władzę w członkach, pognałam do Johna Indiena, który ostrzył noże na werandzie, nucając begina. Przytuliłam się do niego i w końcu wykrztusiłam:

- Johnie Indienie, przed chwilą spotkałam Szatana!

Wzruszył ramionami:

- Ho, ho! Teraz mówisz jak chrześcijanka!

Po czym, spostrzegając moje wzburzenie, przyciągnął mnie do siebie i powiedział czule:

- Szatan nie przepada za blaskiem dnia i nie ujrzyz go w świetle słonecznym. On lubi noc...

Następne godziny spędziłam ogarnięta trwogą.

Po raz pierwszy przeklinałam moją bezsilność. Albowiem dużo brakowało mojej sztuce, aby była kompletna, doskonała. Man Yaya zbyt wcześnie opuściła ziemski padół i nie zdążyła wtajemniczyć mnie w trzeci stopień swojej wiedzy - najwyższy, najbardziej złożony.

Chociaż mogłam obcować z siłami niewidzialnymi i z ich pomocą naginać teraźniejszość, to jednak nie umiałam odczytywać znaków przyszłości. Pozostawała dla mnie jak kulista planeta, gęsto porośnięta drzewami, których gałęzie są tak bardzo splątane, że ani powietrze, ani światło nie mogą tam swobodnie krążyć.

Czułam, że wiszą nade mną straszne niebezpieczeństwa, ale nie potrafiłam ich nazwać. Dobrze wiedziałam, że ani moja matka Abena, ani Man Yaya nie będą mogły nic zrobić, aby mnie o nich uprzedzić.

Tej nocy rozpętał się cyklon.

Słyszałam, jak nadciąga z daleka, rosnąc w siłę i gwałtowność. Drzewo kapokowe starało mu się oprzeć, ale około północy poddało się. Jego najwyższe gałęzie spadły z okropnym trzaskiem. Bananowce zaś potulnie się położyły i rano przedstawiały wyjątkowo żałosny widok.

Przez ten zamęt w przyrodzie pogróżki rzucone przez Susannę Endicott wydawały się jeszcze bardziej przerażające. Czy nie powinnam spróbować odwrócić tego, co uczyniłam, być może trochę pochopnie, i wyleczyć matronę, która okazała się nieustępliwa?

Właśnie się zastanawiałam, jak mam postąpić, gdy przyszła Betsey Ingersoll, oznajmiając, że pani nas do siebie prosi.

Pełna obaw, stawiałam się u megiery. Chytry uśmiech, rozchylający bezbarwne wargi, nie wróżył nic dobrego. Zaczęła:

- Zbliża się moja śmierć...

John Indien uznał, że wypada mu wybuchnąć płaczem, ale ona ciągnęła, nie zwracając na niego uwagi:

- W takim przypadku obowiązkiem pana jest pomyśleć o przyszłości tych, których Bóg powierzył jego opiece: to znaczy o dzieciach i niewolnikach. Nie zaznałam radości macierzyństwa. Ale dla was, moich niewolników, znalazłam nowego pana.

John Indien wyjąkał:

- Nowego pana, pani!

- Tak, to sługa Boży, który zadba o wasze dusze. Kapłan Samuel Parris. Próbował tutaj zajmować się handlem, ale interesy nie szły. Dlatego też wyjeżdża do Bostonu.

- Do Bostonu, pani?

- Tak, to w koloniach amerykańskich. Przygotujcie się do wyjazdu razem z nim.

John Indien przeraził się. Należał do Susanny Endicott od dzieciństwa. Nauczyła go odmawiać modlitwy, podpisać się swoim nazwiskiem. Był pewien, że prędzej czy później wspomni o wyzwoleniu go. Tymczasem oznajmiła mu prosto z mostu, że go sprzedaje. I to komu, wielki Boże? Jakiemuś nieznanemu, który zamierza przepłynąć morze, aby szukać szczęścia w Ameryce... W Ameryce? A któż kiedykolwiek pojechał do tej Ameryki?

Ja natomiast rozumiałam ohydne rachuby Susanny Endicott. To mnie, i tylko mnie chciała osiągnąć. To mnie skazywała na wygnanie w Ameryce. Mnie odrywała od rodzinnej ziemi, od tych, którzy mnie kochali i których obecność była mi niezbędna. Dobrze wiedziała, jak mogę jej odparować. Domyślała się, jaki mogę zastosować wybieg. Tak, mogłam wykrzyknąć: „Nie, Susanno Endicott! Jestem towarzyszką Johna Indiena, ale ty mnie nie kupiłaś. Nie masz żadnego tytułu własności wymieniającego mnie razem z twoimi krzesłami, komodami, łóżkiem i poduszkami. Toteż nie możesz mnie sprzedać, a jegomość z Bostonu nie zagarnie moich skarbów”.

Tak, ale gdybym to powiedziała, rozłączono by mnie z Johnem Indienem! Czy Susanna Endicott nie celowała w okrucieństwo, a która z nas dwóch była groźniejsza? W gruncie rzeczy choroba i śmierć są wpisane w ludzką egzystencję, i być może tylko przyspieszyłam ich wtargnięcie w życie Susanny Endicott! A ona jak pokierowała moim losem?

John Indien padł plackiem i na czworakach obszedł łóżko. Nic nie wskórał! Susanna Endicott siedziała nieugięta pod swoim baldachimem, którego rozsunięte zasłony tworzyły coś w rodzaju ram z aksamitnymi fałdami.

Przygnębieni zeszliśmy na dół.

W kuchni, przy piecu, na którym perkotała zupa jarzynowa, pastor rozmawiał z jakimś mężczyzną. Ten odwrócił się na odgłos naszych kroków, i wtedy rozpoznałam, przeniknięta strachem do szpiku kości, nieznanego, który tak mnie przeraził poprzedniego dnia. Tknęło mnie złowrogie przecucie, które potwierdziły jego słowa, wypowiedziane jednostajnym, a przecież ostrym jak brzytwa, morderczo gwałtownym głosem:

- Na kolana, piekielne wypierdki! Jestem waszym nowym panem! Nazywam się Samuel Parris. Jutro, gdy tylko wyjrzy słońce, odpłyniemy brygiem „Blessing”. Moja żona, moja córka Betsey i Abigail,

moja uboga siostrzenica, którą przygarnęliśmy po śmierci jej rodziców, są już na pokładzie.

5

Nowy właściciel kazał mi uklęknąć na pokładzie brygu wśród lin, beczek i drwiących marynarzy. Polał moje udo strużką lodowatej wody. Potem kazał mi wstać i poszłam za nim na rufę, gdzie był już John Indien. Polecił nam uklęknąć jedno obok drugiego. Zbliżył się, a wtedy okrył nas jego cień, przyćmiewając blask słońca.

- Johnie i Titubo Indien, oświadczam, że zostaliście połączeni świętym węzłem małżeńskim, abyście żyli w zgodzie i pokoju, dopóki śmierć was nie rozdzieli.

John Indien wyjąkał:

- Amen!

Ja zaś nie mogłam wykrztusić słowa. Moje wargi przyrosły do siebie. Pomimo dusznego upału było mi zimno. Lodowaty pot spływał mi między łopatkami, jakbym miała dostać ataku malarii, cholery lub tyfusu. Nie śmiałam spojrzeć w stronę Samuela Parrisa, tak potwornie się go bałam. Wokół nas morze było jaskrawoniebieskie, a nieprzerwana linia horyzontu - ciemnozielona.

6

Ktoś dzielił strach i odrazę, jakimi napełniał mnie Samuel Parris, i wkrótce to spostrzegłam: jego żona Elizabeth.

Była to młoda kobieta o dziwnej urodzie. Jej piękne jasne włosy, chociaż schowane pod surowym czepkiem, wiły się wokół głowy, tworząc świetlistą aureolę. Była opatulona w szale i koce, jakby trzęsła się z zimna pomimo cieplarnianej atmosfery panującej w kajucie. Uśmiechnęła się do mnie i powiedziała głosem równie przyjemnym jak woda w rzece Ormonde:

- To ty jesteś Tituba? Jaka okropna musi być dla ciebie rozłąka z najbliższymi. Z ojcem, matką, twoim ludem...

To współczucie mnie zaskoczyło.

- Mam przecież Johna Indiena - odrzekłam łagodnie.

Jej delikatna twarz wykrzywiła się w grymasie.

- Szczęśliwa jesteś, jeśli uważasz, że mąż może być miłym towarzyszem, i jeśli dotyk jego ręki nie przejmuje cię dreszczem!

Tu przerwała, jakby za dużo powiedziała. Spytałam:

- Pani, wydajesz mi się niezdrowa! Na co cierpisz?

Zaśmiała się, lecz niezbyt radośnie.

- Ponad dwudziestu medyków pojawiło się kolejno przy moim łóżku i nie umiało znaleźć przy czyny choroby. Ja wiem tylko jedno: że moja egzystencja to męczarnia! Kiedy stoję, kręci mi się w głowie.

Chwytają mnie mdłości, jakbym nosiła dziecię w swoim łonie, chociaż niebiosa uczyniły mi łaskę, dając tylko jedno. Czasem nieznośne bóle przeszywają mi brzuch. Miesiączki są torturą i mam zawsze stopy jak dwa sople lodu.

Z westchnieniem opadła na wąską koję i podciągnęła koc z szorstkiej wełny aż pod szyję. Podeszłam bliżej, a ona dała mi znak, żebym usiadła koło niej, szepcząc:

- Jakaś ty piękna, Titubo!

- Piękna?

Wypowiedziałam to słowo z niedowierzaniem, ponieważ lustro, jakie mi podali Susanna Endicott i Samuel Parris, dowiodło czegoś wręcz przeciwnego. Coś we mnie stopniało i wiedzioną jakimś nieprzepartym impulsem, zaofiarowałam się:

- Pani, pozwól, żebym cię leczyła! Uśmiechnęła się i chwyciła moje ręce.

- Tylu przed tobą bezskutecznie próbowało! Ale to prawda, że twoje dłonie są miękkie. Miękkie jak ścięte kwiaty.

- A czy widziałaś już, pani, czarne kwiaty?

Chwilę pomyślała, po czym odrzekła:

- Nie, ale gdyby istniały, byłyby podobne do twoich rąk.

Położyłam dłoń na jej czole, paradoksalnie lodowatym i mokrym od potu. Na co cierpiała? Domyślałam się, że u niej umysł ma przemożny wpływ na ciało. Tak zresztą jak się dzieje w większości ludzkich schorzeń.

W tym momencie drzwi otworzyły się, gwałtownie popchnięte, i wszedł Samuel Parris. Nie potrafiłabym powiedzieć, która z nas, pani Parris czy ja, była bardziej zmieszana i przerażona. Samuel Parris nie podniósł głosu ani o jeden ton. Krew nie oblała jego kredowej twarzy. Powiedział zwyczajnie:

- Elizabeth, czyś ty oszalała? Pozwalasz tej Murzynce siedzieć koło siebie? Wynoś się stąd, Titubo, i to migiem!

Spełniłam polecenie.

Chłodne powietrze na pokładzie podziało na mnie niczym reprimenda. Co? Ten człowiek traktował mnie jak zwierzę, a ja nie odezwałam się słowem? Zamierzałam naprawić błąd i wracałam do kajuty, gdy napotkałam spojrzenia dwóch dziewczynek, wystrojonych w długie, czarne sukienki ozdobione wąskimi, białymi fartuszkami, i w czepkach na głowie, spod których nie wystawał ani jeden włos. Nigdy dotąd nie widziałam dzieci tak dziwacznie przyodzianych. Jedna była zupełnie podobna do mamy, biednej samotnicy, którą dopiero co opuściłam.

- To ty jesteś Tituba? - spytała.

Rozpoznałam wdzięczną intonację jej matki.

Druga dziewczynka, o dwa lub trzy lata starsza, wpatrywała się we mnie z nieznośną bezczelnością.

- Czy jesteście córkami pana Parrisa? - zagadnęłam łagodnie.

Odpowiedziała mi starsza z dziewczynek:

- Ona jest Betsey Parris. A ja jestem Abigail Williams, siostrzenica pastora.

Ja nie miałam dzieciństwa. Cień szubienicy mojej matki zaciemnił wszystkie lata, które powinny być poświęcone beztróskim zabawom. Domyślałam się, że chociaż z powodów zupełnie innych Betsey Parris i Abigail Williams również odebrano dzieciństwo, pozbawiając je na zawsze tego kapitału niefrasobliwości i słodyczy. Domyślałam się, że nigdy nie śpiewano im kołysanek, nie opowiadano bajek, nie wypełniano ich wyobraźni magicznymi i dobroczynnymi przygodami. Wzbudzały we mnie głęboką litość, zwłaszcza mała Betsey, taka urocza i bezbronna. Powiedziałam do niej:

- Chodź, położę cię do łóżka. Wyglądasz na bardzo zmęczoną.

Druga dziewczynka, Abigail, stanowczo się sprzeciwiła:

- Co ty wygadujesz? Ona jeszcze nie zmówiła pacierza. Chcesz, żeby mój wuj spuścił jej lanie?

Wzruszyłam ramionami i odeszłam.

John Indien siedział na rufie w kręgu zachwyconych marynarzy, którym opowiadał jakieś banialuki. Rzecz dziwna, John Indien, który płakał rzewnymi łzami, gdy kontury naszego ukochanego Barbadosu zatarły się we mgle, już zdążył się pocieszyć. Wykonując dla marynarzy tysiące różnych niewdzięcznych prac, zdobywał monety, dzięki którym uczestniczył w ich grach i pił z nimi rum. Właśnie ich uczył starej pieśni niewolników i intonował niezłym głosem:

Oj, dana, dana:

Kogut zapał kukuryku...

Ach! Jaki frywolny był ów mężczyzna, który mnie tak cieleśnie pociągał! Ale może wcale bym go nie kochała, gdyby był stworzony z tej samej smutnej, żałobnej materii co ja.

Gdy zobaczył mnie z daleka, zaraz podbiegł, porzucając grono swych uczniów, którzy głośno zaprotestowali. Chwycił mnie za rękę i szepnął:

- Nasz nowy pan to straszny dziwak! Kupiec od siedmiu boleści, który na starość rozpoczyna nowe życie... właśnie w chwili, gdy wyrzekł się świata...

Przerwałam mu:

- Wcale nie mam ochoty wysłuchiwać plotek. Okrążyliśmy rufę i schroniliśmy się za stosem beczek z cukrem trzcinowym, które transportowano do Bostonu. Księżyc wzeszedł i to nieśmiałe ciało niebieskie rzucało blask równie silny, jak światło dnia. Przytuliłam się do Johna Indiena i nasze ręce błędziły, poszukując nawzajem naszych ciał, gdy na deskach pokładowych i wśród beczek zadudniły czyjeś ciężkie kroki. To był Samuel Parris.

Kiedy ujrzał nas w niedwuznacznej pozie, jego ziemiste policzki trochę się zarumieniły. Trysnął jadem:

- Rzecz oczywista, że kolor waszej skóry to oznaka waszego potępienia, jednakże dopóki będziecie mieszkać pod moim dachem, musicie się zachowywać jak chrześcijanie! Chodźcie się

pomodlić.

Posłuchaliśmy.

Pani Parris i obie dziewczynki, Abigail i Betsey, klęczały już w jednej z kajut. Pan stanął, wznosił oczy ku sufitowi i zaczął grzmieć. Niewiele do mnie docierało z tej przemowy oprócz tylekroć już słyszanych słów: grzech, zło, Zły, Szatan, demon... Najbardziej przykry był moment spowiedzi. Każdy musiał głośno wyznawać grzechy popełnione w ciągu dnia i usłyszałam, jak biedne dzieci bąkają:

- Przyglądałam się, jak John Indien tańczy na pokładzie.
- Zdjęłam czepek i pozwoliłam, by słońce głaskało moje włosy.

John Indien po swoim przyznał się do wszelkich błaznad i wykręcił się sianem, skoro pan poprzestał na stwierdzeniu:

- Pan Bóg ci wybacza, Johnie Indienie! Idź i nie grzesz więcej!

Kiedy przyszła moja kolej, wpadłam w furję, niewątpliwie próbując w ten sposób przewyciężyć lęk, jaki budził we mnie Samuel Parris, i oznajmiłam pewnym głosem:

- Po co mam się spowiadać? To, co się dzieje w mojej głowie i w moim sercu, jest tylko moją sprawą.

Uderzył mnie.

Jego ręka, sucha i tnąca, dosięgła moich ust i rozkrwawiła je. Na widok czerwonej strużki pani Parris odzyskała siły, wstała i krzyknęła z wściekłością:

- Samuelu, nie masz prawa!...

Teraz i jej się dostało. Ona też krwawiła. Ta krew przypieczętowała nasze przymierze. Niekiedy jałowa i pustynna ziemia rodzi kwiat o cudownej barwie, który napęlnia zapachem i rozjaśnia cały krajobraz wokół siebie. Z tym właśnie mogę porów nać przyjaźń, jaka wkrótce połączyła mnie z panią Parris i małą Betsey. Razem wymyślałyśmy tysiące różnych wybiegów, aby spotykać się ze sobą pod nieobecność tego demona, jakim był wielebny Parris. Cesałam ich długie jasne włosy, które, wyzwolone spod jarzma warkoczy i koków, spływały im do łudek. Oliwką, której sekretną recepturę przekazała mi Man Yaya, nacierałam ich niezdrową i sinoblada skórę, stopniowo pod moimi rękami przybierającą złotawy odcień.

Któregoś dnia, gdy masowałam panią Parris, odważyłam się ją spytać:

- Co mówi twój sztywny mąż, pani, na tę przemianę twojego ciała?

Wybuchnęła śmiechem.

- Moja biedna Titubo, jak on ma to zauważyć? Wzniosłam wzrok.
- Pomyślałabym, że nikt nie ma lepszej sposobności, by to uczynić!

Zaśmiała się jeszcze głośnie.

- Gdybyś wiedziała! Spółkuje ze mną w ubraniu i mnie też nie rozbiera, bo chce jak najszybciej mieć za sobą ten ohydny akt.

- Ohydny? Dla mnie to najpiękniejszy akt na świecie - obruszyłam się.

Odepchnęła moją rękę, gdy jej tłumaczyłam:

- Tak, czy to nie dzięki niemu przekazuje się życie następnym pokoleniom?

W jej oczach odmalował się wstręt.

- Milcz, milcz! To dziedzictwo Szatana panoszy się w nas.

Wydawała się tak wzburzona, że nie nalegałam. Na ogół rozmowy z panią Parris nie przybierały takiego obrotu. Znajdowała przyjemność w opowieściach, za którymi przepadała Betsey: o pająku Ananse, ludziach opętanych, wampirach, bestii Man Hibe⁶, która galopuje na koniu o trzech nogach. Słuchała z takim samym przejęciem, jak jej córka, w jej pięknych orzechowych oczach igrały ogniki szczęścia, i pytała:

- Czy to możliwe, Titubo? Istota ludzka może zostawić swoją skórę i przebywać duchem w odległości wielu mil?

Kiwałam głową.

- Tak, to możliwe!

- Na pewno trzeba mieć kij od miotły, żeby się przemieszczać? - nalegała.

Śmiałam się serdecznie.

- Ależ głupie myśli przychodzą ci do głowy, pani! Na co by ci się przydał kij od miotły?

Była niezdecydowana.

Nie lubiłam, gdy w pogawędkach sam na sam z Betsey przeszkadzała mi Abigail. W tej dziewczynce było coś, co sprawiało, że czułam się bardzo nieswojo. Jej sposób słuchania, patrzenia na mnie, tak jakbym była jakimś przerażającym, a jednocześnie atrakcyjnym przedmiotem! Władczo żądała najróżniejszych wyjaśnień.

- Jakie słowa ludzie opętani muszą wypowiedzieć, zanim porzucą swoją skórę?

- Jak wampiry wysysają krew ze swoich ofiar? Dawałam wymijające odpowiedzi. W istocie bałam się, że doniesie o naszych rozmowach wujowi, Samuelowi Parrisowi, i że zgaśnie isierka przyjemności, jaką wносиły do naszego życia, ale tego nie zrobiła. Wykazywała wprost nadzwyczajną zdolność maskowania się. Nigdy podczas wieczornych modlitw nie wspomniała nawet o tym, co w oczach Parrisa uchodziłoby za niewybaczalny grzech. Ograniczała się do wyznań w rodzaju:

- Stałam na pokładzie, żeby opryskiwały mnie fale.

- Wyrzuciłam do morza połowę mojej kaszy. I Samuel Parris jej wybaczał.

- Idź w pokoju, Abigail Williams, i nie grzesz więcej!

Stopniowo, ze względu na Betsey, pogodziłam się z jej obecnością na naszych intymnych spotkaniach.

Pewnego ranka, gdy podawałam pani Parris odrobinę herbaty, którą jej żołądek znosił lepiej niż kaszę, upomniała mnie łagodnie:

⁶ Postać z antylskiego świata wyobrażeń, podobnie jak zombi (przyp. tłum.).

- Nie opowiadaj dzieciom tych wszystkich his torii! To je usposabia do marzeń, a marzenia nie są dobre!

Wzruszyłam ramionami:

- Dlaczego marzenia nie byłyby dobre? Czy nie są lepsze od rzeczywistości?

Nie odpowiedziała i przez dłuższą chwilę milczała. Po pewnym czasie podjęła:

- Titubo, czy nie myślisz, że to przekleństwo być kobietą?

Rozgniewałam się.

- Pani Parris, mówisz wciąż o przekleństwie! Cóż jest piękniejszego od kobiecego ciała! Szczególnie gdy uszlachetnia je męskie pożądanie...

- Milcz! Milcz! - krzyknęła.

To była nasza jedyna sprzeczka. Tak naprawdę, w ogóle nie zrozumiałam jej przyczyny.

Któregoś ranka dopłynęliśmy do Bostonu.

Mówię, że był ranek, ale światło dnia wcale na to nie wskazywało.

Szarawa zasłona spadała z nieba i opatulą swymi fałdami las okrętowych masztów, sterty towarów na nabrzeżu, potężny masyw składów. Wiał lodowaty wiatr i John Indien tak samo jak ja dygotał w bawełnianym odzieniu. Pomimo że okutane w szale, pani Parris i dzieci też drżały z zimna. Jedyne pan stał z podniesioną głową, w kapeluszu o szerokim czarnym rondzie, podobny do widma w brudnym, mglistym świetle. Zeszliśmy na nabrzeże. John Indien ugiął się pod ciężarem bagaży, natomiast Samuel Parris raczył zachęcić swoją żonę, by oparła się o jego ramię. Ja wzięłam za rękę dziewczynki.

Nigdy bym sobie nie wyobraziła, że istnieje takie miasto jak Boston, zabudowane wysokimi domami, wypełnione tłumem, który wydeptuje brukowane ulice, zatłoczone powozami zaprzęgniętymi w woły lub konie. Dostrzegłam wiele twarzy takiego samego koloru jak moja i pojęłam, że tutaj też dzieci Afryki uginają się pod brzemieniem nieszczęść.

Samuel Parris chyba doskonale znał te strony, bo ani razu nie zapytał o drogę. Przemoczeni do suchej nitki, zatrzymaliśmy się wreszcie przed drewnianym jednopiętrowym domem, którego fasadę zdobiło jaśniejsze belkowanie. Pastor puścił ramię żony i rzekł, jak gdyby chodziło o najwytworniejszą rezydencję:

- To tu!

W środku czuć było stęchlizną i wilgocia. Odgłos naszych kroków wypłoszył dwa szczury, a czarny kot, który spał w pyle i kurzu, podniósł się leniwie i przeszedł do sąsiedniej izby. Nie umiałabym opisać, jakie wrażenie wywarło to nieszczęsne zwierzątko na dziewczynkach, a także na Elizabeth i Samuelu Parrisach. Pastor wyciągnął swoją książeczkę do nabożeństwa i przez dłuższą chwilę odprawiał modły. Trochę uspokojony, wyprostował się i jał wydawać polecenia:

- Titubo, posprzątaj ten pokój, potem pościel łóżka. Johnie Indienie, chodź ze mną kupić drewna!

John Indien znów przybrał afektowany ton, którego nie znośłam:

- Wyjść, panie! Przy takim wietrze i w taki deszcz! Chcesz niebawem wydać pieniądze na deski do mojej trumny?

Samuel Parris bez słowa zdjął obszerny płaszcz z czarnego sukna, który miał na sobie, i rzucił mu go.

Ledwo obaj mężczyźni wyszli, Abigail spytała zdyszczanym głosem:

- Ciociu, to był Zły, prawda? Elizabeth Parris skrzywiła się.

- Cicho!

- Ale o czym wy mówicie? - spytałam zaintrygowana.

- O kocie! O czarnym kocie!

- Coście sobie ubrały? To tylko zwierzę, które się nas bardzo przestraszyło! Dlaczego wciąż mówicie o Złym? Duchy dręczą nas tylko wtedy, gdy je rozdrażnimy. I z pewnością w waszym wieku nie musicie się tego obawiać!

Abigail burknęła:

- Kłamczucha! Ciemna i głupia Murzynka! Zły wszystkich nas dręczy. Wszyscy padamy jego łupem. Wszyscy będziemy potępieni, prawda, ciociu?

Gdy zauważyłam, jak na panią Parris, a zwłaszcza na biedną Betsey, podziałała ta wymiana zdań, szybko ją przerwałam.

Czy to pod wpływem rozmowy, czy chłodu, który panował w domu pomimo ognia rozpalonego przez Johna Indiana, tej nocy stan zdrowia pani Parris się pogorszył. Samuel Parris obudził mnie o północy.

- Myślę, że jej godziny są policzone!

Żadnej emocji w jego głosie, tylko stwierdzenie faktu.

Moja biedna, słodka Elizabeth ma umrzeć?

I zostawić dzieci same z tym potworem, swoim mę żem? Ma umrzeć moje udręczone jagniątko, nie dowiedziawszy się, że śmierć jest tylko bramą, którą wtajemniczeni potrafią otworzyć na oścież? Wyskoczyłam z łóżka, spiesząc jej na ratunek. Ale Samuel Parris powstrzymał mnie.

- Ubierz się!

Co za człowiek, który przeczuwając śmierć żony, myśli o przyzwoitości!

Do tej pory nie odwołałam się do żadnej mocy nadprzyrodzonej, lecząc Elizabeth Parris. Dbałam tylko o to, by było jej ciepło, i zmuszałam ją do częstego picia gorących płynów. Jedyna samowola, na jaką sobie pozwalałam, polegała na dolewaniu paru kropli rumu do jej ziółek. Tej nocy postanowiłam wykorzystać mój talent.

Brakowało mi jednak akcesoriów niezbędnych do uprawiania mojej sztuki. Drzew-ołtarzyków dla duchów. Składników ich ulubionych potraw. Roślin i korzeni o właściwościach leczniczych.

Co mogłam zrobić w nieznanym i nieprzyjaznym kraju?

Postanowiłam uciec się do wybiegu.

Klon, którego liście zaczynały czerwienieć, posłużył za drzewo kapokowe. Kłujące i błyszczące liście ostrokrzewu zastąpiły proso, żółte i bezzapachowe kwiatki spełniły rolę dziurawczyka⁷, remedium na wszystkie schorzenia, rosnącego tylko na wyżynach. Reszty dopełniły moje modlitwy.

Rano policzki pani Parris znów nabrały rumieńców. Poprosiła o kapkę wody do picia. Około południa zdołała już coś zjeść. Gdy nadszedł wieczór, zasnęła jak noworodek.

Trzy dni później obdarzyła mnie uśmiechem, wątłym jak światło słońca, sączące się przez okienko na poddaszu.

- Dziękuję, Titubo! Ocaliłaś mi życie!

7

W Bostonie mieszkaliśmy przez rok, ponieważ Samuel Parris miał nadzieję, że jego współwyznawcy, purytanie, zaoferują mu jakąś parafię. Niestety, propozycje nie napływały! Wynikało to, jak sądzę, z jego osobowości. Chociaż ci, co podzielali jego wiarę, byli nadzwyczaj fanatyczni i ponurzy, nie dorównywali mu jednak pod tym względem, toteż jego wysoka gniewna postać, z reprimendą i przestrogą na ustach, budziła lęk. Niewielkie oszczędności, które odłożył, próbując szczęścia w interesach na Barbadosie - stopniały jak wosk i znaleźliśmy się w strasznych tarapatach. Czasem przez cały dzień nie mieliśmy nic do jedzenia oprócz suszonych jabłek. Brakowało nam drewna na opał i trzęśliśmy się z zimna.

Wtedy to Johnowi Indianowi udało się zatrudnić w tawernie pod szyldem „The Black Horse”. Miał za zadanie podsycać ogień w ogromnych kominkach, przy których grzali się klienci, sprzątać, wyrzucać odpadki. Wracał do mnie wczesnym świtem, śmierdząc brandy i piwem, ale z resztkami żywności pochowanymi w ubraniu. Opowiadał mi powoli i sennie:

- Moja królowo, gdybyś wiedziała, jakie życie toczy się w tym mieście, o dwa kroki od cenzorów kościelnych, takich jak nasz Samuel Parris, nie wierzyłabyś własnym oczom ani uszom. Dziwki, marynarze z kolczykiem w uchu, kapitanowie o przetłuszczonych włosach pod trójgraniastymi kapeluszkami, a nawet zacni jegomoście znający Biblię, obarczeni żoną i dziećmi. Wszystko to upija się, przeklina, spółkuje. Och, Titubo, trudno zrozumieć obłudę rządzącą światem białych!

Kładłam go do łóżka, zanim skończył gadać.

Miał pogodne usposobienie, toteż wkrótce zdobył licznych przyjaciół i przytaczał mi zasłyszane od nich historie. Dowiedziałam się, że handel niewolnikami przybiera na sile. Naszych pobratymców tysiącami odrywano od Afryki. Dowiedziałam się, że nie jesteśmy jedynym ludem, jaki biali biorą do niewoli, lecz że ujarzмили też Indian, pierwszych mieszkańców Ameryki, podobnie jak naszego ukochanego Barbadosu.

Słuchałam go ze zdumieniem i oburzeniem.

⁷ Roślina nieistniejąca, wymyślona przez autorkę (przyp. tłum.).

- W „Black Horse” pracuje dwóch Indian. Że byś wiedziała, jak się ich traktuje! Mówili mi, że pozbawiono ich ziemi, że biali przetrzebili ich stada i rozprawdzali wśród ludzi wodę ognistą, która w krótkim czasie wpędza człowieka do grobu. Ach, ci biali!

Te historie wprawiały mnie w zakłopotanie i zaczęłam się zastanawiać.

- A może właśnie dlatego, że wyrządzili tyle krzywd wszystkim swoim bliźnim - jednym, bo mają czarną skórę, drugim, bo mają czerwoną - ciągle im się wydaje, że są potępieni?

John nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. A zresztą nie zaprzętał sobie nim głowy. Z nas wszystkich był z pewnością najmniej nieszczęśliwy!

Samuel Parris, rzecz jasna, nie zwierzał mi się ze swoich myśli, ale widząc go zamkniętego w domu jak zwierzę w klatce, modlącego się bez przerwy lub wertującego swoją niebezpieczną księgę, łatwo mogłam odgadnąć, co go trapi! Jego nieustanna obecność działała na nas niczym gorzkie ziółka. Koniec z ukradkową i czułą paplaniną, koniec z szybko opowiadanymi bajkami, koniec z cichutko nuconymi piosenkami! Ubrdał sobie, że zamiast tego nauczy Betsey liter, i posłużył się wspaniałym abecadłem:

A - Upadek Adama Dotyczy nas wszystkich. B - Jedynie Biblia Może ocalić nam życie. C - Kot⁸ się bawi, Ale potem drapie...

I tak dalej! Biedna Betsey, taka delikatna i wrażliwa, bladła i drżała.

Dopiero w połowie kwietnia, gdy pogoda się poprawiła, pastor zaczął chadzać po obiedzie na krótkie spacerki. Korzystając z tego, wyprowadzałam dzieci do ogródka za domem, a wtedy, jakież zabawy! Jakież szalone hołubce! Zdejmowałam im ohydne czepki, w których wyglądały jak staruszki, rozwiązywałam paski, aby krew się rozgrzała i zdrowy pot zrosił ich ciała. Stojąc na progu, Elizabeth Parris upominała mnie nieśmiało:

- Uważaj, Titubo, niech one nie tańczą, niech nie tańczą!

Jednakże po chwili przeczyła sama sobie i z zapałem klaskała w rytm naszych piasów.

Wolno mi było wyprawiać się z małymi aż do Long Wharf, gdzie patrzyłyśmy na statki i morze. Po drugiej stronie tego płynnego obszaru mały punkcik: Barbados.

Dziwna jest miłość do ojczyzny! Nosimy ją w sobie jak naszą krew, nasze narządy. I wystarczy, że zostaniemy rozdzieleni z rodzimą ziemią, abyśmy odczuli ból, który się wydobywa gdzieś z głębi naszego jestestwa i nie przestaje nas nurtować. Znów widziałam plantację Darnella Davisa, dumny dwór z kolumnkami na szczycie wzgórza, uliczki z chatami czarnych, tętniące gwarem i napiętnowane cierpieniem, dzieci z wzdętymi brzuskami, przedwcześnie postarzałe kobiety, okaleczonych mężczyzn. W takich chwilach to pozbawione radości otoczenie, które utraciłam, stawało się dla mnie cenne i łzy płynęły mi po policzkach.

Dzieci zaś, nie zwracając uwagi na mój nastrój, bawiły się w kałużach ze słoną wodą, popychały

⁸ Po francusku: *chat* (przyp. tłum.).

się, przewracały na liny, a ja nie mogłam się powstrzymać od wyobrażania sobie, jaką minę zrobiłby Samuel Parris, gdyby zobaczył takie scenki. Cała witalność dziewczynek, powściągana dzień po dniu, godzina po godzinie, znajdowała upust i wyglądało na to, że w końcu opętał je Zły, którego tak się obawiano. Z nich obu bardziej rozbrykana, bardziej porywcza była Abigail, i raz jeszcze podziwiałam jej dar udawania. Wiedziałam, że po powrocie do domu będzie milcząca i sztywna do przesady w obliczu swego wuja. Że będzie za nim powtarzała słowa ich Świętej Księgi. Że w jej najmniejszym geście będzie się wyczuwało skruchę.

Pewnego popołudnia, wracając z Long Wharf, trafiłyśmy na widowisko, którego straszne wspomnienie nigdy się we mnie nie zatarło. Wychodziłyśmy właśnie z Front Street, gdy ujrzałyśmy plac położony między więzieniem, sądem i domem spotkań rojący się od ludzi. Miała się tam odbyć egzekucja. Tłum cisnął się do podwyższonej estrady, na której wzniesiono szubienicę. Wokół uwijali się posępni mężczyźni w kapeluszach o szerokich rondach. Podchodząc bliżej, zauważyłyśmy, że stoi tam jakaś kobieta, starsza kobieta ze sznurem na szyi. Nagle jeden z mężczyzn szarpnął drewniany klocek, na którym trzymała stopy. Jej ciało wygięło się w kabłąk. Rozległ się potworny krzyk i głowa opadła na bok.

Ja sama wrzasnęłam i osunęłam się na kolana pośród podnieconej, zaciekawionej, niemal wesołej cizby.

Czułam się, jakby mi ktoś kazał od nowa przeżyć egzekucję mojej matki! Nie, to nie stara kobieta tam dyndała! To była Abena w kwiecie wieku i w pełni urody! Tak, to była ona, a ja znów miałam sześć lat! I musiałam rozpocząć życie od tego momentu!

Wrzeszczałam, a im dłużej wrzeszczałam, tym bardziej pragnęłam wrzeszczeć. Wykrzyczęć moje cierpienie, mój bunt, moją bezsilną złość. Co to był za świat, który uczynił ze mnie niewolnicę, sierotę, pariaskę? Co to był za świat, który mnie rozdzielał z bliskimi? Zmuszał do życia wśród ludzi niemówiących moim językiem ani niewyznających tej samej wiary, w nieprzytulnym, mało przyjaznym kraju?

Betsey przypadła do mnie i objęła wątlymi ramionkami.

- Przestań, och, przestań, Titubo!

Abigail zaś, która przemykała się wśród tłumu, rozpytując, co się tu dzieje, wróciła do nas i powiedziała zimno:

- No właśnie, przestań! Ona ma to, na co sobie zasłużyła. To czarownica. Zaczarowała dzieci z szanowanej rodziny!

Zdołałam się podnieść i odnaleźć drogę do domu. Całe miasto mówiło tylko o tej egzekucji. Ci, co ją widzieli, opowiadali tym, co nie widzieli, jak jejmość Glover wyła tuż przed śmiercią niczym pies do księżycyca, jak jej dusza uleciała pod postacią nietoperza, a cuchnąca breja popłynęła po jej rozkraczonych nogach. Ja nic takiego nie widziałam. Byłam świadkiem zgoła barbarzyńskiego spektaklu.

Wkrótce potem stwierdziłam, że będę miała dziecko, i postanowiłam je zabić.

W mojej smutnej egzystencji poza pocałunkami skradzionymi Betsey i sekretami wymienianymi z panią Parris jedyne chwile szczęścia to były te, które spędzałam z Johnem Indianem.

Mój mężczyzna, trzęsący się z zimna, pijany ze zmęczenia, co noc kochał się ze mną. A że spaliśmy w klitce przylegającej do sypialni państwa Parris, musieliśmy uważać, by nie wydać żadnego westchnienia, żadnego jęku, który mógłby zdradzić charakter naszej aktywności. Rzecz osobliwa, dodawało to smaku naszym gwałtownym uściskom.

Macierzyństwo nie przynosi szczęścia niewolnicy. Wydaje ona na niesprawiedliwy i upodlony świat niewinną istotkę, której losu nie będzie w stanie odmienić. Przez całe moje dzieciństwo widziałam, jak niewolnice mordują swoje noworodki, wbijając długi kolec w jeszcze galaretowate jajo ich główki, odcinając zatrutym ostrzem pępowinę lub też porzucając je nocą w miejscu nawiedzonym przez rozdrażnione duchy. W dzieciństwie wciąż słyszałam, jak niewolnice przekazywały sobie przepisy na napary, płukanki, mikstury, które wyjąławiają na zawsze macice i przekształcają je w groby wyłożone szkarłatnymi całunami.

Na Barbadosie, w otoczeniu, gdzie znałam każdą roślinę, bez najmniejszej trudności pozbyłabym się tego uciążliwego owocu. Ale tutaj, w Bostonie, co robić?

W odległości niespełna pół mili od rogatek miasta wznosiły się gęste lasy, które postanowiłam przeszukać. Pewnego popołudnia udało mi się wymknąć z domu, zostawiając Betsey zmagającą się ze swym strasliwym abecadłem, a Abigail koło pani Parris - z palcami zajętymi haftowaniem robótki, lecz z umysłem najwyraźniej błądzącym gdzie indziej.

Na dworze spostrzegłam ze zdziwieniem, że w tym klimacie natura ma jednak jakiś urok. Pączki przyozdobiły drzewa, przez długi czas wyglądające jak szkielety i podobne do smutnych patyków. Usiane kwiatami łąki zieleniły się w nieskończoność niczym spokojne morze.

Gdy już miałam wejść w las, zawołał na mnie jakiś człowiek - ciemna wyprostowana sylwetka na koniu - z twarzą ginącą w cieniu kapelusza.

- Hej, Murzynko! Nie boisz się Indian? Indian? Mniej się obawiałam tych „dzikusów” niż cywilizowanych istot, wśród których żyłam i które wieszały staruszki na drzewach.

Pochylałam się nad pachnącym krzakiem, który bardzo przypominał melisę o licznych właściwościach leczniczych, gdy usłyszałam, że ktoś woła mnie po imieniu:

- Titubo!

Wzdrygnęłam się. To była stara kobieta o bezkształtnej twarzy przypominającej bochenek chleba, lecz zarazem sympatycznej. Zdziwiłam się.

- Skąd znasz moje imię? Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Widziałam, jak się rodziłaś! Moje zdumienie wzrosło.

- Czy pochodzisz z Barbadosu? Uśmiechnęła się szerzej.

- Ja nigdy nie wyjeżdżałam z Bostonu. Przybyłam tu razem z pierwszymi pielgrzymami i odtąd tu

przebywam. Dobrze, już się dość nagadałam! Jeśli się będziesz za bardzo grzebać, Samuel Parris zauważy, że wyszłaś, i oberwiesz burę!

Nadal byłam nieufna.

- Nie znam cię. Czego ode mnie chcesz? Podreptała w głąb lasu, a że ja stałam nieruchomo, odwróciła się i rzuciła:

- Nie udawaj głupiej: jestem przyjaciółką Man Yai! Nazywam się Juda White.

Stara Juda podała mi nazwę każdej rośliny wraz z jej właściwościami. Zanotowałam w pamięci niektóre przepisy, jakie mi zdradziła:

Aby się pozbyć kurzajek, pocierać je żywą ropuchą, dotąd aż skóra zwierzęcia je wchłonie.

Zimą, chcąc uniknąć kłopotów spowodowanych chłodem, pić napary z cykuty. (Uwaga, sok z niej jest zabójczy i może posłużyć do innych celów.)

Aby uniknąć artretyzmu, nosić na palcu serdecznym lewej ręki pierścień zrobiony z surowego ziemniaka.

Wszystkie skaleczenia można leczyć okładami z liści kapusty, a bąble - papką z surowej rzepy.

W razie ostrego bronchitu położyć skórkę z czarnego kota na piersi chorego.

Gwałtowny ból zębów: w miarę możliwości żuć liście tytoniu.

To samo robić w przypadku zapalenia ucha.

Na wszystkie biegunki: trzy razy dziennie napary z jeżyn.

Wróciłam do Bostonu trochę pocieszona, nauczywszy się widzieć przyjaciół w zwierzętach, na które przedtem nie zwróciłabym uwagi: w kocie o czarnej sierści, sowie, biedronce i kosie.

Powtarzałam sobie w myśli słowa Judy: „Czym byłby świat bez nas? Hę? Czym byłby? Ludzie nas nienawidzą, a jednak potrafimy stosować różne sztuczki, bez których życie byłoby smutne i ubogie. Dzięki nam mogą zmieniać terażniejszość, a czasami przewidywać przyszłość. Dzięki nam nie tracą nadziei. Titubo, my jesteśmy solą ziemi”.

Tej nocy strumień czarnej krwi wypłukał moje dziecko z macicy. Zobaczyłam, że macha rączkami jak szalona kijanka, i zalałam się łzami. John Indien, którego nie dopuściłam do sekretu i który sądził, że znów los nam spletał brzydkiego figla, też się rozplakał. Co prawda był podchmielony, bo wytrąbił parę dobrych kufli piwa z marynarzami, z którymi spotykał się w tawernie „Black Horse”.

- Moja królowo! Oto straciliśmy podporę naszej starości! I czym się będziemy podpierać, gdy każde z nas będzie miało garb na plecach w tym kraju, w którym nie ma lata?

Z trudem doszłam do siebie po zamordowaniu mojego dziecka. Wiedziałam, że postąpiłam najlepiej, jak można. A jednak prześladował mnie obraz tej małej twarzązki, której rzeczywistych rysów nigdy nie poznam. Choć trudno to pojąć, wydawało mi się, że krzyk, jaki wydała jejmość Glover, wchodząc do korytarza śmierci, dobywa się z trzewi mojego dziecka, torturowanego przez to samo społeczeństwo, skazanego przez tych samych sędziów. Betsey i Elizabeth Parris, zauważając mój stan psychiczny, otaczały mnie zdwojoną atencją i troską, które kiedy indziej na pewno przyciągnęłyby

uwagę Samuela Parrisa. Jednakże on właśnie wtedy popadał w coraz większą chandrę, bo wszystko układało się coraz gorzej. Jedyne pieniądze, jakie wpływały do domu, zarabiał John Indien, dbając o to, by ogień buzował w kominkach „Black Horse”. Toteż dosłownie przymieraliśmy głodem. Dziewczęta mizerniały na twarzy i tonęły w swoich ubraniach.

Zaczęło się lato.

Słońce rozjaśniało szare i niebieskie dachy Bostonu. Zawiesiło liście na gałęziach drzew. Wbijało długie ogniste igły w wodę morską. Sprawilo, że w naszych żyłach zagrała krew mimo smutnego życia, jakie wiedliśmy.

Kilka tygodni później Samuel Parris obwieścił nam ponuro, że przyjął zaproponowaną mu parafię i że wyjedziemy do wioski Salem, oddalonej o mniej więcej dwadzieścia mil od Bostonu. John Indien, który jak zwykle wszystko wiedział, wyjaśnił mi, dlaczego Samuel Parris przejawia tak mało entuzjazmu. Wioska Salem miała w Bay Colony bardzo złą opinię. Dwóch kolejnych kapłanów, wielbego Jamesa Bayleya i wielbego George'a Burroughsa, wypłoszyła stamtąd wrogość znacznej części parafian, którzy nie chcieli łożyć na ich utrzymanie. Roczna pensja w wysokości sześćdziesięciu sześciu funtów była jałmużną, zwłaszcza że nie dostarczano drewna, a zimy w lasach były srogie. Wreszcie wszędzie wokół Salem żyli Indianie, dzicy i nieokrzescani, gotowi oskalpować każdego, kto by się do nich za bardzo zbliżył.

- Nasz pan nie skończył studiów...

- Studiów?

- Tak, teologicznych, żeby zostać pastorem. Mimo to chciałby być traktowany identycznie jak wielbny Increase Mather lub sam John Cotton.

- Kim są ci ludzie?

Tu John Indien zmieszał się.

- Nie wiem, najmilsza! Słyszę tylko, jak wciąż się wymienia ich nazwiska.

Spędziliśmy jeszcze w Bostonie długie tygodnie. Zdążyłam sobie wbić do głowy podstawowe zalecenia Judy White.

„Przed wprowadzeniem się do domu lub wkrótce po zajęciu go położyć w kątach każdej izby gałązki jemioly i listki majeranku. Wymieść kurz z zachodu na wschód i starannie go spalić, a następnie rozsypać popiół na dworze. Lewą ręką spryskać podłogi świeżym moczem.

Po zachodzie słońca spalić gałązki *populara indica*⁹ zmieszane z grubą solą.

Co ważniejsze, założyć własny ogródek i posiać w nim wszystkie niezbędne zioła. W ostateczności uprawiać je w skrzynkach wypełnionych ziemią. Koniecznie po obudzeniu się spluć na nie cztery razy”.

Nie ukrywam, że pod wieloma względami wszystko to wydawało mi się naiwne. Na Antylach nasza

⁹ Roślina nieistniejąca, wymyślona przez autorkę (przyp. tłum.).

wiedza jest szlachetniejsza i częściej odwołuje się do mocy tajemnych niż do rzeczy. Ale w końcu, jak mi doradzała Man Yaya: „Jeśli przyjedziesz do kraju beznogich, czołgaj się po ziemi”.

8

Ballada dla mojego utraconego dziecka:

*Kamień księżycowy wpadł do wody,
Do wody w rzece,
A moje palce nie mogły go wyłowić,
O, ja nieszczęśliwa!
Kamień księżycowy upadł.
Siedząc nad rzeką,
Płakałam i ubolewałam.
Och! Gładki i błyszczący kamieniu,
Lśniesz na dnie.
Nadszedł myśliwy
Ze strzałami i kołczanem.
Czemu płaczesz, ślicznotko?
Płacę, bo mój kamień księżycowy
Leży na dnie.
Jeśli tylko to cię martwi, ślicznotko,
Pomogę ci.
Myśliwy zanurkował, ale się utopił.*

Nauczyłam tej ballady Betsey i nuciłyśmy ją cichutko podczas naszych rzadkich spotkań w cztery oczy. Delikatny i płaczliwy głosik dziewczynki doskonale wtórował mojemu głosowi.

Któregoś dnia, ku memu zdziwieniu, usłyszałam, jak Abigail również ją śpiewa! Chciałam zbesztać Betsey, upomnieć, by zachowywała dla siebie rzeczy, których ją uczyłam. Po czym, tym razem jeszcze się zreflektowałam. Czy Abigail nie była jej jedyną towarzyszką zabaw? I czyż nie była dzieckiem? Dziecko nie może być groźne.

9

Wioska Salem, której przede wszystkim nie należy mylić z miasteczkiem o tej samej nazwie, na pierwszy rzut oka dość eleganckim, była wykrojona z lasu i przypominała łysinę w zmierzwionych włosach.

Samuel Parris wynajął trzy konie i bryczkę, więc wyglądaliśmy dość żałośnie! Na szczęście, nikt nie wyszedł nas powitać. O tej porze mężczyźni z pewnością pracowali w polu, dokąd kobiety zaniósł im

napoje orzeźwiające i jedzenie. Pastor pokazał nam dom spotkań, potężną budowlę, której monumentalna brama była skonstruowana z belek, i ruszyliśmy w dalszą drogę. Ilu mieszkańców mogła liczyć wioska? Chyba ledwo dwa tysiące, toteż gdy się przyjeżdżało z Bostonu, wydawała się naprawdę zapadłą dziurą. Przez główną ulicę leniwie przedelfowały krowy z zawieszonymi na szyi dzwoneczkami, i spostrzegłam ze zdziwieniem, że do ich rogów były przywiązane czerwone szmatki. Z jakiejś zagrody dolatywał fetor świń tarzających się w czarniawym błocie.

Zajechaliśmy przed dom, który dla nas przeznaczono. Stał trochę krzywo pośród rozległego ogrodu, całkiem zachwaszczonego. Po obu jego stronach rosły proste jak świece dwa czarne klony; tchnął jakąś odpychającą wrogością. Samuel Parris pomógł zsiąść z konia swojej biednej żonie, która bardzo źle zniosła trudy podróży. Postawiłam na ziemi małą Betsey, a tymczasem Abigail, nie czekając wcale na pomoc, zeskoczyła i pognęła do drzwi wejściowych. Duchowny zatrzymał ją w biegu i zagrzmiał:

- Spokojnie, Abigail! Czy demon w ciebie wstąpił?

Mimo że nie darzyłam jej zbyt wielką sympatią, struchlałam, widząc, jakie wrażenie wywarła na niej ta reprimenda.

Wnętrze domu było na obraz jego otoczenia. Mroczne i mało przytulne. Jednakże jakaś usłużna ręka rozpałała ogień w kominkach i polana wesoło trzaskała w płomieniach. Elizabeth Parris spytała:

- Ile tu jest pokoi? Titubo, idź zobacz, które z nich są najlepiej usytuowane!

To też wywołało kąśliwą uwagę Samuela Parrisa. Miażdżąc żonę wzrokiem, rzucił:

- Czyż jedyny dobrze usytuowany pokój to nie trumna, w której mroku kiedyś każdy z nas spocznie?

Następnie padł na kolana, aby podziękować Panu Bogu, że nas uchronił przed wilkami oraz innymi dzikimi bestiami, które grasowały w lasach oddzielających nas od Bostonu. Ta długaśna modlitwa zmierzała już do końca, gdy drzwi wejściowe otworzyły się z jękiem, aż się wszyscy wzdrygnęliśmy. Do izby wśliznęła się kobieta przyodziana w zgrzebny strój na modłę purytańską, ale z uśmiechem na twarzy.

- Jestem siostra Mary Sibley. To ja rozpałałam ogień, zostawiłam też dla was w kuchni kawałek wołowiny, marchewkę, brukiew i tuzin jajek.

Samuel Parris łaskawie jej podziękował i zagadnął:

- Czy to pani, kobieta, reprezentuje kongregację?

Mary Sibley uśmiechnęła się.

- Czwarte przykazanie nakazuje nam pracować w pocie czoła. Mężczyźni są w polu. Gdy tylko wrócą, diakon Ingersoll, sierżant Thomas Putney, kapitan Walcott i kilku innych przyjdą się z panem przywitać.

Po tych słowach skierowałam się do kuchni z myślą o pustych żołądkach dzieci, aby udusić soloną wołowinę, którą siostra Mary Sibley przyniosła w samą porę. Po chwili podeszła do mnie i przyjrzała

mi się:

- Jak Samuel Parris mógł przyjąć na służbę Murzyna i Murzynkę?

W jej głosie było więcej naiwnej ciekawości niż złośliwości. Toteż odpowiedziałam od niechcenia:

- Czy to nie jemu trzeba zadać to pytanie?

- Dziwne postępowanie jak na kapłana! Przez moment milczała, a potem znów przy stąpiła do ataku:

- Jaka blada jest Elizabeth Parris! Na co cierpi?

- Nikt dokładnie nie zna jej choroby! - odparłam.

- Można się obawiać, że pobyt w tym domu dobrze jej nie zrobił! - Ściszyła głos: - Dwie kobiety zmarły w łóżku w sypialni na pierwszym piętrze! Mary Bayley, żona pierwszego pastora w tej parafii. A także Juda Burroughs, żona drugiego.

Mimowolnie krzyknęłam, zdjęta lękiem. Bo też dobrze wiedziałam, jak nieukojeni zmarli potrafią nękać żywych. Czy nie będę musiała odprawić oczyszczającej ceremonii i złożyć tym biednym duszom jakiejś ofiary? Na szczęście wokół domu rozciągał się duży ogród, do którego mogłam wychodzić tak często, jak chciałam. Mary Sibley podążyła za moim spojrzeniem i powiedziała zmieszana:

- Ach tak, koty! W Salem wszędzie ich pełno. Wciąż je zabijamy!

Cała czereda kotów uganiała się w trawie. Miauczały, kładły się na grzbiet, unosząc żylaste łapki zakończone ostrymi pazurkami. Kilka tygodni wcześniej nie sądziłabym, że ten widok ma w sobie coś nadprzyrodzonego. Ale teraz, pouczona przez Judę White, zrozumiałam, że to duchy domostwa mnie pozdrawiają. Jacy dziecinni są ludzie o białej skórze, każąc swym mocom objawiać się w takich zwierzętach jak kot! My wolimy stworzenia bardziej okazałe: na przykład węża, wspaniałego gada o ciemnych pierścieniach!

Od chwili przyjazdu do Salem czułam, że nigdy tu nie będę szczęśliwa. Czułam, że przejdę przez straszne próby życiowe i że wskutek niesłuchanie bolesnych wydarzeń zbieleją wszystkie włosy na mojej głowie!

Gdy zapadł wieczór, mężczyźni wrócili z pola i dom wypełnił się gośćmi. Annę Putnam, jej mąż Thomas, olbrzym dziesięciu stóp wzrostu, i ich córka Annę, która natychmiast zaczęła szeptać po kątach z Abigail, Sara Houlton, John i Elizabeth Proctorowie i wielu innych, których nazwisk nie umiałabym wymieniwać. Poczułam, że tymi ludźmi bardziej powodowała ciekawość niż sympatia i że przyszli oszacować duchownego, aby się zorientować, jaką rolę odegra w wiosce. Samuel Parris niczego się nie domyślał i zachowywał się tak jak zwykle: wstrętnie! Skarżył się, że przewidując jego przyjazd, nie narąbano dość drewna, które można było złożyć w stodole w wysokich stertach. Ubolewał, że dom jest rudera, że trawa w ogrodzie sięga do kolan, a tuż pod jego oknami rechoczą żaby.

Przeprowadzka do Salem przyniosła nam jednak trochę szczęścia, które niestety, choć tego nie

wiedziałam, miało się okazać krótkotrwałe. Dom był tak obszerny, że każdy mógł mieć swój pokój. John Indien i ja znaleźliśmy schronienie na poddaszu w dość brzydkiej, mansardowej izbie, której sufit podtrzymywało zżarte przez korniki belkowanie. W tej samotni mogliśmy znów się kochać bez przeszkód, bez ograniczeń, nie obawiając się, że nas ktoś usłyszy.

Właśnie w momencie największego podniecenia szepnęłam mimo woli:

- Johnie Indienie, boję się! Pogłaskał mnie po ramieniu.

- Co się stanie ze światem, jeśli nasze kobiety się boją? Świat się zawali! Jego sklepienie spadnie, a gwiazdy, którymi jest usiane, zmieszają się z kurzem na drogach! Ty się boisz? A czego?

- Jutra, które nas czeka...

- Śpij, moja księżniczko! Jutro, które nas czeka, ma uśmiech niemowlęcia.

Spotkało nas też inne szczęście. Samuel Parris, zajęty wypełnianiem obowiązków związanych z jego funkcją, ciągle gdzieś jeździł. Widywało się go tylko przelotnie, podczas pacierza rano i wieczorem. Gdy przebywał w domu, otaczali go ludzie, z którymi zawzięcie dyskutował o sprawach nie mających wiele wspólnego z religią:

- Sześćdziesiąt sześć funtów mojej pensji pochodzi ze składek płaconych przez mieszkańców, proporcjonalnie do powierzchni ich gruntów.

- Powinienem dostać drewno na opał.

- W dzień szabatu składki powinny być uiszczane w wekslach... itd.

A za jego plecami życie odzyskiwało swoje prawa.

Odtąd kuchnia wciąż była pełna dziewczynek.

Nie wszystkie lubiłam. Nie przepadałam zwłaszcza za Annę Putnam i małą służącą mniej więcej w jej wieku, która jej wszędzie towarzyszyła - Mercy Lewis. Było w tych dziewczynkach coś, co kazało mi wątpić w niewinność dzieciństwa. A może w gruncie rzeczy dzieci też są narażone na frustracje i pokusy właściwe dla wieku dojrzałego? W każdym razie Annę i Mercy nieodparcie przywodziły mi na myśl mowy Samuela Parrisa o obecności Złego w każdym z nas. Podobnie było z Abigail. Nie wątpiłam w gwałtowność jej charakteru, w potęgę jej wyobraźni nadającej szczególny wymiar najbliższym wydarzeniom, które urozmaicają dzień, i w tę nienawiść, nie, to wcale nie za mocne słowo, jaką darzyła świat dorosłych, tak jakby nie mogła im wybaczyć, że chcą pogrzebać jej młodość.

I dlatego nie wszystkie lubiłam. Budziły we mnie współczucie swą woskową cerą, ciałami tak wiele obiecującymi, lecz okaleczonymi jak te drzewa, którym ogrodnicy usiłują nadać karłowatą postać! Prawem kontrastu nasze dzieciństwo małych niewolników, choć tak gorzkie, wydawało się świetliste, rozjaśnione zabawami, wspólnymi wyprawami, wólcągami. Puszczaliśmy tratewki z kory trzciny z biegiem strumieni. Piekliśmy różowe i żółte ryby na ruszcie z młodych pędów. Tańczyliśmy. I właśnie ta litość, której nie mogłam się oprzeć, sprawiała, że tolerowałam te dzieci koło siebie, i skłaniała mnie do rozweselania ich. Nie spoczęłam, dopóki nie udało mi się tak rozśmieszyć jednej lub drugiej, że się dosłownie dusiła.

- Titubo, och, Titubo!

Uwielbiały historie o ludziach opętanych. Siadały w krąg przy mnie i wdychałam kwaśny zapach ich oszczędnie mytych ciał. Jedna przez drugą pytały:

- Titubo, myślisz, że w Salem są ludzie opętani?

Przytakiwałam ze śmiechem:

- Tak, myślę, że pewnie należy do nich Sara Good!

Sara Good była jeszcze kobietą dość młodą, lecz wyniszczoną i można powiedzieć żebraczką. Dzieci się jej bały z powodu śmierdzącej fajki, którą zawsze trzymała w zębach, i niewybrednych słów, jakie wciąż mamrotała, jakby odmawiała litanie zrozumiałe jedynie dla niej. Poza tym miała serce na dłoni, przynajmniej tak sądziłam! Dzieci piszczwały:

- Tak myślisz, Titubo! A czy Sara Osborne też jest opętana?

Sara Osborne to była staruszka, lecz bynajmniej nie żebraczką: wręcz przeciwnie, zamożna, właścicielka pięknego domu z dębowych deszczulek, która miała na sumieniu jakiś błąd popełniony w czasach młodości.

Brałam głęboki oddech i udawałam, że się zastanawiam, a dziewczynki aż się skręcały z ciekawości, po czym oświadczałam sentencjonalnie:

- Być może! Abigail nalegała:

- Czy widziałaś którąś z nich obdartą ze skóry i latającą w powietrzu? A widziałaś Elizabeth Proctor? Widziałaś ją?

Poważniałam, bo pani Proctor była jedną z najporządniejszych kobiet we wsi, jedyną, która starała się rozmawiać ze mną o niewolnictwie, o kraju, z którego pochodziłam, i o jego mieszkańcach.

- Dobrze wiesz, Abigail, że żartuję!

I odprawiałam całe towarzystwo. Kiedy zostawałyśmy same, Betsey i ja, ona również pytała mnie swym cienkim głosem:

- Titubo, czy istnieją ludzie opętani? Myślisz, że naprawdę istnieją?

Brałam ją w ramiona.

- Czy to ważne? Czy nie jestem tutaj, by was bronić, gdyby chcieli wam wyrządzić krzywdę?

Wbijając we mnie wzrok, a w jej źrenicach tańczył cień, który usiłowałam rozproszyc.

- Tituba zna słowa, które leczą wszystkie dolegliwości, które goją wszystkie rany, które rozwiązują wszystkie węzły! Nie wiesz o tym?

Milczała i coraz bardziej drżała na całym ciele pomimo moich zapewnień. Przyciskałam ją mocniej do piersi, a jej serduszko trzepotało rozpaczliwie niczym ptak w klatce, gdy powtarzałam:

- Tituba może wszystko. Tituba wie wszystko. Tituba widzi wszystko.

Wkrótce krąg dziewcząt się rozszerzył. Za namową Abigail gromadka dzierlatek, których piersi napinały się pod fartuchami, a uda, jestem pewna, regularnie czerwieniły się od krwi, tłoczyła się w mojej kuchni. Wcale ich nie lubiłam. Ani Mary Walcott, ani Elizabeth Booth, ani Susanny Sheldon. W

ich oczach malowała się głęboka pogarda, jaką ich rodzice żywili dla naszej rasy. Jednocześnie potrzebowały mnie/aby trochę urozmaicić swoją bezbarwną egzystencję. I tak zamiast poprosić, rozkazywały mi:

- Titubo, zaśpiewaj nam piosenkę!

- Titubo, opowiedz jakąś historię. Nie, ta jest do niczego. Opowiedz tę o ludziach opętanych!

Któregoś dnia sprawy przybrały zły obrót. Gruba Mary Walcott kręciła się koło mnie i w końcu spytała:

- Titubo, czy to prawda, że wiesz wszystko, że widzisz wszystko, że możesz wszystko? Jeśli tak, to jesteś czarownicą.

Rozgniewałam się nie na żarty.

- Nie używaj słów, których sensu nie rozumiesz. Czy wy w ogóle wiecie, kto to jest czarownica?

Annę Putnam wtrąciła:

- Oczywiście, że wiemy! To ktoś, kto zawarł pakt z Szatanem. Mary ma rację; czy jesteś czarownicą, Titubo? Myślę, że tak.

Tego było za wiele! Przepędziłam te żmijki z kuchni i ściagałam je jeszcze na ulicy.

- Nie chcę was tu więcej widzieć. Nigdy! Przenigdy!

Gdy się oddaliły, przyciągnęłam małą Betsey i skarciłam ją:

- Dlaczego powtarzasz wszystko, co ci opowiadam? Przecież widzisz, że one przekręcają sens moich słów?

Dziewczynka spurpurowiała i wtuliła się w moje ramiona.

- Przepraszam, Titubo. Już nic więcej im nie powiem.

Odkąd zamieszkaliśmy w Salem, Betsey bardzo się zmieniła! Stawała się coraz bardziej nerwowa, drażliwa, płakała z byle powodu, wpatrywała się w pustkę rozszerzonymi źrenicami, wielkimi jak półpensówki! W końcu mnie to zaniepokoiło. Czy na tę subtelną naturę nie wywierały jakiegoś wpływu duchy dwóch kobiet zmarłych na pierwszym piętrze, w podejrzanych okolicznościach? Czy nie należało chronić tego dziecka, tak jak ochroniłam jego matkę?

Och nie, nic mi się nie podobało w nowym otoczeniu! Z dnia na dzień moje obawy rosły i ciążyły jak brzemie, którego nie sposób zrzucić. Kładłam się z nim spać. Spoczywało na mnie, ponad muskularnym ciałem Johna Indiena. Rano z jego powodu moje kroki na schodach stawały się cięższe, a moje ręce pracowały wolniej, przygotowując mdłą kaszę na śniadanie.

Nie byłam już sobą.

Znalazłam środek dodający mi otuchy. Nappełniałam wodą słoik, który stawiałam przy oknie. W taki sposób, aby móc na niego patrzeć cały czas, uwijając się w kuchni. Zamykałam w nim mój Barbados. Udawało mi się zmieścić go tam w całości wraz z falującymi łanami trzciny cukrowej stanowiącymi przedłużenie rozkołysanej tafli morza, z palmami kokosowymi pochylonymi nad wybrzeżem i migdałowcami obsypanymi czerwonymi lub ciemnozielonymi owocami. Aczkolwiek trudno mi było

rozpoznać ludzi, rozróżniałam pagórki, chaty, młyny do cukru, dwukołowe wózki zaprzężone w woły, które batożyły jakieś niewidzialne ręce. Wszystko to poruszało się w całkowitej ciszy na dnie słoika, ale ta obecność rozpaliała moje serce.

Czasem Abigail, Betsey, pani Parris wyrywały mnie z zadumy i dziwiły się:

- Ale na co ty tak patrzysz, Titubo?

Wielokrotnie kusiło mnie, żeby dopuścić do sekretu Betsey i panią Parris, która również ogromnie tęskniła za Barbadosem, o czym dobrze wiedziałam. Zawsze się jednak mitygowałam, kierowana świeżo nabytą ostrożnością, jaką mi dyktowało moje otoczenie. Poza tym zastanawiałam się, czy ich żal i nostalgię można porównać z moją. To, za czym one tęskniły, to była słodycz tamtejszego życia, życia białych, obsługiwanych, rozpieszczanych przez uprzedzająco grzecznych niewolników. Nawet jeśli pani Parris straciła cały swój dobytek i wszelką nadzieję, czas, jaki tam spędziła wraz z dziewczynkami, był wypełniony luksusem i przyjemnościami. A za czym ja tęskniłam? Za wątłutkim szczęściem niewolnika. Okruchami, które odrywają się od suchego chleba jego egzystencji i które smakują jak łakocie. Ulotnymi chwilami zakazanych igraszek.

Nie należałyśmy do tego samego świata: pani Parris, Betsey i ja, a całe uczucie, jakim je darzyłam, i nie mogło tu nic zmienić. Na początku grudnia, gdy roztargnienie i roztrzępanie Betsey przekroczyło wszelką miarę (czyż nie doszło do tego, że nie potrafiła już wyrecytować wyznania wiary, za co dostała, ma się rozumieć, baty od Samuela Parrisa?), postanowiłam przygotować jej rytualną kąpiel.

Kazałam przysiąc, że nie zdradzi tajemnicy, i po zapadnięciu zmroku zanurzyłam ją aż po szyję w cieczy, której nadałam wszelkie właściwości płynu owodniowego. Zajęło mi to aż cztery dni, działałam bowiem w trudnych warunkach wygnania. Ale byłam dumna z rezultatu, jaki osiągnęłam. Zanurzając Betsey w gorącej kąpeli, miałam wrażenie, że te same ręce, które na krótko przedtem zadały śmierć, teraz dawały życie, i że oczyszczałam się z zabójstwa mojego dziecka. Kazałam jej powtórzyć tradycyjne formułki, po czym przytrzymałam główkę dziewczynki pod wodą, a następnie wyciągnęłam ją, dławiącą się i z oczami pełnymi łez. Wreszcie owinęłam purpurowe ciało w duży koc i zaniosiłam ją do łóżka. Zasnęła jak kamień: od dawna nie spała tak spokojnie, bo przez wiele nocy co chwila mnie wołała płaczliwym głosem:

- Titubo, Titubo! Przyjdź!

Tuż przed północą, gdy byłam pewna, że nie spotkam już nikogo na ulicach, poszłam wylać wodę z kąpeli na rozdrożu, tak jak jest zalecane.

Jak bardzo zmienia się noc w zależności od kraju, w którym się mieszka! U nas noc przypomina brzuch, w którego głębi człowiek staje się bezsilny i drżący, ale paradoksalnie ma wyostrzone zmysły, gotowe wyłowić najcichszy szept lub inny dźwięk. W Salem noc była czarnym murem wrogości, o który obijałam się, idąc. Ptaki przycupnięte na gałęziach ciemnych drzew pohukiwały złośliwie, gdy przechodziłam, i ścigały mnie tysiące złowrogich spojrzeń. Minęłam znajomą sylwetkę czarnego kota. Rzecz dziwna: ten, który powinien był pozdrowić mnie pocieszającym słowem, wściekle zamiauczał i

wygiął grzbiet w świetle księżyca.

Maszerowałam dziarsko aż do skrzyżowania drogi z Salem z drogą do Dobbin. W tym miejscu zdjęłam z głowy wiadro, które niosłam, nie przytrzymując go ręką, i powoli, ostrożnie wylałam jego zawartość na oszronioną ziemię. W chwili gdy wsiąkała w nią ostatnia kropla cieczy, usłyszałam jakiś szmer w trawie na wzgórzach. Wiedziałam, że Man Yaya i moja matka Abena są niedaleko. Jednakże i tym razem mi się nie ukazały, więc musiało mi wystarczyć, że domyśliłam się ich cichej obecności.

Niebawem zima na dobre ścisnęła Salem, śnieg sięgał parapetów okiennych. Co rano walczyłam z nim, polewając go wiadrami gorącej wody i posypując solą. Niestety, moje wysiłki były daremne; on zawsze miał nade mną przewagę. Wkrótce słońce nie raczyło wstawać. Spędzaliśmy długie dni w ponurym lęku.

10

Nie zdawałam sobie w pełni sprawy ze szkód, jakie wyrządzała religia Samuela Parrisa, ani nawet nie rozumiałam jej prawdziwej natury, dopóki nie zamieszkałam w Salem. Wyobraźcie sobie zwartą wspólnotę mężczyzn i kobiet przytłoczonych obecnością Złego i starających się go wytropić pod wszelkimi możliwymi postaciami. Krowa, która zdychała, dziecko, które miało konwulsje, młoda dziewczyna, która jeszcze nie miała miesiączki, służyły za pretekst do niekończących się spekulacji. Kto zawarł pakt ze strasznym wrogiem i doprowadził do tych katastrof? Czy to nie wina Bridget Bishop, która się wcale nie pokazała w domu spotkań przez dwie kolejne niedziele? Nie, może raczej winny jest Gilles Corey, którego widziano, jak karmi jakieś bezpieczne zwierzę po południu w szabat? Mnie samą zatruwała ta zabójcza atmosfera i łąpałam się na tym, że przez lada głupstwo odmawiam asekuracyjne litanie lub wykonuję gesty oczyszczające. Miałam poza tym bardzo konkretne powody do niepokoju. Już w Bridgetown Susanna Endicott oznajmiła mi, że w jej opinii kolor mojej skóry jest oznaką konszachtów z Diabłem. Ale przecież mogłam się śmiać z gadaniny megieiry zgorzkniałej wskutek samotności i zbliżającej się starości. W Salem to przekonanie podzielali wszyscy.

W okolicy było dwoje lub troje czarnych służących, którzy znaleźli się tu nie bardzo wiadomo jak, i byliśmy wszyscy nie tylko zwyczajnie potępieńcami, lecz widzialnymi wysłannikami Szatana. Toteż śledzono nas ukradkiem, próbując zaspokoić niechlubne pragnienie zemsty, dać upust nienawiści i tajemnym urazom i czynić zło wszelkimi sposobami. Taki a taki, którego uważano za oddanego małżonka, marzył tylko o śmierci swojej żony! Taka a taka, która uchodziła za najwierniejszą połowicę, była gotowa zaprzedać dusze swoich dzieci, aby pozbyć się ich ojca. Sąsiad chciał wysłać na tamten świat sąsiada, brat - siostrę. Zdarzało się nawet, że dzieci pragnęły wykończyć matkę lub ojca, zadając im jak największy ból. I ohydny odór wszystkich tych zbrodni, które się szykowały, ostatecznie uczynił ze mnie zupełnie inną kobietę. Na próżno wpatrywałam się w błękitną wodę w moim słoiku, przenosząc się myślą na brzeg rzeki Ormonde: coś powoli i nieubłaganie niszczyło mnie od środka.

Tak, stałam się zupełnie inną kobietą. Obcą dla samej siebie.

Tę przemianę przypieczętowało pewne wydarzenie. Zmuszony niewątpliwie brakiem pieniędzy i potrzebą zakupu nowego wierzchowca, Samuel Parris wynajął Johna Indiena diakonowi Ingersollowi do pomocy w pracach polowych. John Indien wracał więc do domu i spał ze mną tylko w sobotę, w przeddzień szabat¹⁰, kiedy to Bóg nakazuje odpoczynek nawet Murzynom. Noc w noc kuliłam się pod zbyt cienką kołdrą, w nieogrzewanym pomieszczeniu, namiętnie pożądamc nieobecnego. Gdy John Indien wracał do domu, bardzo często, pomimo krzepkiej budowy, która do tej pory mnie uszczęśliwiała, był tak wyczerpany, harując jak wół, że zasypiał, ledwo położył głowę na moich piersiach. Głaskałam go po szorstkich, kręconych włosach, pełna współczucia i oburzona na nasz podły los!

Kto, kto stworzył świat?

Z bezsilności i rozpaczcy coraz częściej myślałam się zemścić. Ale jak? Układałam plany, które odrzucałam o świcie, by znów je rozważać po zmroku. Prawie nic nie jadłam. Nic nie piłam. Chodziłam jak ciało pozbawione duszy, owinięta w szal z surowej wełny, a za mną biegły jeden lub dwa czarne koty, wysłane z pewnością przez poczwią Judę White, która chciała mi przypomnieć, że nie jestem całkiem osamotniona. Nic dziwnego, że budziłam strach w mieszkańcach Salem, bo wyglądałam strasznie!

Strasznie i odrażająco! Włosy, które przestałam czesać, zbiły się na mojej głowie w kołtun. Miałam zapadnięte policzki, a wargi pękały, rozchylając się bezwstydnie, napięte do niemożliwości na opuchniętych dziąsłach.

Gdy John Indien był przy mnie, skarżył się żałośnie:

- Zanedbujesz się, żono! Kiedyś byłaś łąką, na której się pasłem. Teraz wysokie trawy na twoim wzgórku łonowym, gąszcze pod twoimi pachami niemal budzą we mnie obrzydzenie!

- Przebacz mi, Johnie Indienie, i kochaj mnie nadal, nawet jeśli nic już nie jestem warta.

Nabrałam zwyczaju szybkiego maszerowania po lesie, bo gdy męczyłam ciało, wydawało mi się, że męczę też umysł i że później będę mogła choć na krótko zasnąć. Śnieg pobielił ścieżki i drzewa o sękatych gałęziach, podobne do szkieletów. Pewnego dnia, wychodząc na polanę, odniosłam wrażenie, że trafiłam do więzienia, którego marmurowe ściany zacieśniały się wokół mnie. Dostrzegłam perłowo-białe niebo przez wąski otwór nad głową i wydawało mi się, że zakończę tu życie, spowita w ten połyskujący całun. Czy wtedy mój duch będzie mógł odnaleźć drogę na Barbados? A jeśli nawet tam dotrze, czy będzie skazany na błędzenie, bezsilny i pozbawiony głosu jak Man Yaya i moja matka Abena? Przypomniałam sobie ich słowa: „Będziesz daleko, a przekroczenie wody zajmie nam wiele czasu!”

Ach, powinnam była zasypać je pytaniami! Powinnam była zmusić je do naruszenia zasad i

¹⁰ Tituba myli dni tygodnia: żydowski szabat, obchodzony w sobotę, z chrześcijańską niedzielą (przyp. tłum.).

wyjawienia tego, czego nie umiałam odgadnąć! Albowiem ta myśl wciąż mnie nurtowała: jeśli moje ciało podporządkuje się prawom gatunku, to czy mój wyzwolony duch wyruszy w drogę do rodzinnego kraju?

Dobijam do ziemi, którą utraciłam. Wracam do pustynnego szkaradzieństwa jej ran. Rozpoznaję ją po zapachu. Zapachu potu, cierpienia i znoju. Lecz, rzecz dziwna, mocnego i ciepłego zapachu, który przynosi mi pociechę.

Raz albo dwa, wólcząc się po lesie, spotkałam wieśniaków, którzy pochylali się niezdarnie nad ziołami i innymi roślinami. Robili przebiegłe miny, zdradzające ich nieczne zamiary. Bardzo mnie to bawiło. Sztuka szkodenia bliźnim jest złożona. Jeśli zasadza się na znajomości roślin, trzeba połączyć ją z umiejętnością oddziaływania na ulotne jak powietrze, z początku odporne siły, które mimo wszystko należy sobie zjednać. Nie każdy, kto chce, może się mienić czarownikiem!

Któregoś dnia, gdy usiadłam na gołej roziskrzanej od szronu ziemi, opatulając się fałdami spódnicy, ujrzałam pośród drzew drobnutką i znajomą sylwetkę. To była najwyraźniej czymś przerażona Sara, czarna niewolnica Josepha Hendersona. Na mój widok zerwała się do ucieczki, lecz się opamiętała i podeszła bliżej.

Powiedziałam już, że w Salem nie brakowało czarnych używanych do najgorszych posług, traktowanych gorzej od trzody, którą się często zajmowali.

Joseph Henderson, sam pochodzący z Rowley, ożenił się z dziewczyną z najszacowniejszej w wiosce rodziny Putnamów. Możliwe, że było to małżeństwo zawarte z wyrachowania. W każdym razie okazało się niezbyt intratne. Z jakichś niejasnych powodów para ta nie dostała gruntów, których się spodziewała, toteż żyła w nędzy. Pewnie dlatego pani Priscilla Henderson zawsze pierwsza przestępowała próg domu spotkań, pierwsza intonowała modlitwy i z największą zjadłością biła swoją służącą. Nikogo już nie dziwiły guzy, które szpeciły twarz Sary, ani intensywna woń czosnku, którym usiłowała je leczyć. Usiadła koło mnie i rzuciła:

- Titubo, pomóż mi!

Chwyciłam rękę, stwardniałą i sztywną jak źle oheblowane drewno, i spytałam:

- Jak mogę ci pomóc? Zamrugała oczami.

- Każdy wie, że twoje umiejętności są wielkie. Pomóż mi pozbyć się jej.

Milczałam przez chwilę, po czym potrząsnęłam głową.

- Nie mogę zrobić tego, czego twoje serce nie chce nawet wyrazić. Ta, która mi przekazała swoją wiedzę, nauczyła mnie raczej uzdrawiania, kojenia niż szkodenia. Kiedyś, gdy podobnie jak ty marzyłam o czymś najgorszym, przestrzegła mnie: „Nie stawaj się taka jak ci, co potrafią tylko wyrządzać krzywdę!”

Wzruszyła chudymi ramionkami, okrytymi zgrzebnym szalem.

- Nauka musi się dostosowywać do charakteru społeczeństwa. Nie jesteś już na Barbadosie, pośród naszych nieszczęsnych braci i sióstr. Żyjesz wśród potworów, które chcą nas zniszczyć.

Słyszając to, zastanawiałam się, czy to mała Sara tak mówi, czy też echo moich najskrytszych myśli niesie się w głębokiej, leśnej ciszy. Zemścić się. Zemścić się za nas. Za mnie, Johna Indiena, Mary Black, Sarę i za wszystkich innych. Wzniecić pożar, rozpętać burzę. Zabarwić na purpurowo biały całun śniegu.

- Nie mów tak, Saro! Przyjdź do mnie do kuchni. Mam pod dostatkiem suszonych jabłek, jeśli jesteś głodna - wybąkałam zmieszana.

Wstała i zmierzyła mnie wzrokiem z taką pogardą, że poczułam się, jakby mnie kto oblał kwasem.

Wróciłam, nie spiesząc się, do wioski. Czy Sara nie przekazywała mi jakiejś wiadomości od duchów i czy nie zrobiłabym lepiej, spędzając trzy noce na modlitwie i wołając ze wszystkich sił:

Przekroczcie wodę, o, moi ojcowie! Przekroczcie wodę, o, moje matki! Jestem taka samotna w tym dalekim kraju! Przekroczcie wodę!

Pograżona w niespokojnych rozmyślaniach, minęłam właśnie, nie zatrzymując się, dom pani Rebeki Nurse, gdy usłyszałam, że ktoś mnie woła po imieniu. Pani Rebecca miała już prawie siedemdziesiąt jeden lat i nigdy jeszcze nie widziałam kobiety bardziej schorowanej. Niekiedy tak puchły jej nogi, że nie mogła się wcale poruszać i leżała plackiem w łóżku jak owe wieloryby, które widać czasem na pełnym morzu, koło statków z czarnymi niewolnikami. Jej dzieci parokrotnie się do mnie zwracały o pomoc. I zawsze udawało mi się przynieść cierpiącej ulgę. Tego dnia jej twarz wydała mi się mniej pomarszczona. Uśmiechnęła się do mnie:

- Podaj mi ramię, Titubo, chciałabym się z tobą kawałek przejść.

Posłuchałam. Ruszyliśmy ulicą prowadzącą do centrum wioski, jeszcze oświetloną bladym słońcem. Ponownie zaczął mnie nurtować straszny dylemat, gdy usłyszałam, jak Rebecca Nurse mamrocze:

- Titubo, czy nie możesz ich ukarać? Ci Houltonowie znów zapomnieli przywiązać swoje świnie. I oczywiście, stratowały one nasz warzywnik.

Nie od razu zrozumiałam. Następnie uświadomiłam sobie, czego ode mnie oczekuje. Ogarnęła mnie złość i puściłam jej ramię, zostawiając ją zgarbioną pod jakimś płotem.

O nie! Nie zmuszą mnie do tego, bym się upodobniła do nich! Nie ustąpię. Nie będę wyrządzać zła! Parę dni później zachorowała Betsey.

Wcale mnie to nie zdziwiło. Zaniedbywałam ją przecież ciągle przez ostatnie tygodnie, samolubnie zamknięta w sobie i zaabsorbowana swoją zgryzotą. Nie wiem nawet, czy rano modliłam się za nią i czy dawałam jej do wypicia uzdrawiający napój. Prawdę mówiąc, prawie jej nie widywałam. Większość czasu spędzała z Anną Putnam, Mercy Lewis, Mary Walcott i innymi dziewczętami, które, przepędzone z kuchni, zaczęły zamykać się na pierwszym piętrze. Oddawały się tam różnego rodzaju zabawom, które wydawały mi się podejrzane. Pewnego dnia Abigail

pokazała mi karty do gry w tarota, zdobyte Bóg wie jak, i spytała mnie:

- Myślisz, że można z nich wywróżyć przyszłość?

Wzruszyłam ramionami.

- Moja biedna Abigail, do tego nie wystarczą kolorowe kartoniki.

Wtedy wyciągnęła pulchną, leciutko tylko zaróżowioną dłoń, na której rysowały się wklęsłe linie.

- A czy stąd można wywróżyć przyszłość? Wzruszyłam ramionami, nie odpowiadając. Tak, wiedziałam, że gromadka dziewczynek oddaje się niebezpiecznym zabawom. Ale przymykałam oczy. Czy wszystkie te błazenady, te szeptki, wybuchy śmiechu nie rekompensowały straszliwej monotonii ich egzystencji?

Wszyscy popadamy

W grzech Adama...

Mamy hańbę wypisana na czole,

Nie możemy jej zmazać, itd.

Przynajmniej na parę godzin odzyskiwały swobodę i beztroskę.

Otóż pewnego wieczoru po kolacji Betsey padła jak długa na ziemię i leżała tak wyciągnięta, ze skrzyżowanymi ramionami, oczami w słupek, grymasem odsłaniającym mleczne zęby. Pospieszyłam z pomocą. Jednakże ledwo ręką musnęłam jej ramię, skuliła się i wrzasnęła. Stałam jak osłupiała. Wtedy podbiegła pani Parris i przytuliła ją, zapominając się do tego stopnia, że obsypała ją pocałunkami.

Wróciłam do kuchni.

Gdy zapadła noc i każdy zaszył się w swoim pokoju, przezornie odczekałam chwilę, po czym zesłam krokiem złoczyńcy po drewnianych schodach. Wstrzymując oddech, uchyliłam drzwi do pokoju Betsey, ale ku memu zdziwieniu był pusty, tak jakby jej rodzice, chcąc ustrzec córkę od jakiejś nieznannej choroby, zabrali ją do siebie.

Wciąż mimowolnie przypominałam sobie spojrzenie, jakie mi rzuciła pani Parris. Nieznaną chorobę, która dotknęła Betsey, tylko ja mogłam wywołać.

Niewdzięczność matek!

Odkąd opuściliśmy Bridgetown, nieustannie troszczyłam się o panią Parris i o Betsey. Reagowałam na ich najmniejsze kichnięcie, uśmierzałam pierwsze ataki kaszlu. Nadawałam zapach ich kaszom, przyprawiałam ich polewki. W wichurę szłam kupić dla nich funt melasy. Brnęłam przez śnieg, żeby zdobyć parę kolb kukurydzy.

A jednak w mgnieniu oka wszystko to poszło w niepamięć i stałam się wrogiem. Może w rzeczywistości nigdy nie przestałam nim być i pani Parris zazdrościła więzi łączącej mnie z jej córką?

Gdybym była mniej oszołomiona, próbowałabym odwołać się do rozsądku i zrozumieć tę nagłą zmianę. Elizabeth Parris żyła od miesięcy w zatrutej atmosferze Salem, wśród ludzi, którzy poczytywali mnie za wysłanniczkę Szatana i wcale się z tym nie kryli, dziwiąc się, że toleruje się nas - mnie i Johna Indiena - w chrześcijańskim domu. Możliwe, że zaraziła się takimi myślami, nawet jeśli z początku zdecydowanie odpędzała je od siebie. Ale nie byłam zdolna trzeźwo ocenić bólu, jaki

odczuwałam. Udręczona, poszłam do siebie na górę i położyłam się do łóżka z moją samotnością i moim zmartwieniem. Noc jakoś minęła.

Nazajutrz zesłam jak zwykle pierwsza, aby przygotować śniadanie z pięknych, świeżo zniesionych jajek. Ubijałam pianę z białek na omlet, gdy usłyszałam, że cała rodzina siada do stołu, szykując się do codziennej modlitwy. Rozległ się głos Samuela Parrisa:

- Titubo!

Wołał mnie tak co rano. Ale w tym momencie jego głos miał jakieś szczególnie groźne brzmienie! Wyszłam z kuchni bez pośpiechu.

Ledwo stanęłam w drzwiach jadalni, otulając się szalem, ponieważ dopiero co rozpalony ogień dawał jeszcze więcej dymu niż ciepła, moja mała Betsey zeskoczyła z krzesła i tarzając się po podłodze, zaczęła wrzeszczeć.

Te krzyki nie miały w sobie nic ludzkiego.

Każdego roku, na święta Bożego Narodzenia, niewolnicy mieli zwyczaj tuczyć świnie, którą zabijali dwa dni przed wieczerzą wigilijną, aby usunąć wszystkie nieczystości, marynując mięso w soku cytrynowym z dodatkiem liści melii indyjskiej. Zarzynano ją o brzasku, a następnie wieszano za nogi na gałęziach drzewa kalebasowego. Podczas gdy krew spływała, najpierw silnym strumieniem, a potem coraz wolniej, zwierzę kwiczało. Trudne były do zniesienia ochryple ryki, które zniemacka uciszała śmierć.

Tak właśnie krzyczała Betsey. Jak gdyby to dziecięce ciało oblekło się w skórę jakiejś paskudnej bestii obdarzonej monstrualną mocą.

Abigail z początku stała, najwyraźniej zbита z tropu. Następnie jej wzrok, któremu nic nie umykało, przesunął się z oskarżycielskiej twarzy Samuela Parrisa na tylko odrobinę mniej przerażającą twarz pani Parris, a wreszcie spoczął na mojej, która musiała wyrażać najwyższy popłoch. Wydawało się, że zrozumiała, w czym rzecz, i wtedy jak śmiałek, który skacze do bajora, nie wiedząc, co się kryje pod jego zielonkawą powierzchnią, zsunęła się z krzesła i tarzając się po podłodze, zaczęła tak samo wyć.

Ten okropny koncert trwał parę minut. Potem obie dziewczynki jakby zapadły w letarg. Wtedy Samuel Parris spytał:

- Titubo, coś ty im zrobiła?

Chciałam odpowiedzieć wybuchem śmiechu, okazując w ten sposób bezgraniczną pogardę, zanim wrócę do kuchni. Tymczasem stałam jak wrośnięta w ziemię, przerażona, wpatrując się w dzieci i nie mogąc wykrztusić słowa. W końcu pani Parris jęknęła:

- Widzisz, jaki jest skutek twoich czarów! Obruszyłam się:

- Pani Parris, gdy zachorowałaś, kto cię leczył? W tej norze w Bostonie, gdzie mało nie pożegnałaś się ze światem, kto sprawił, że słońce zdrowia zaświeciło nad twoją głową? Czy to nie byłam ja? I czy wówczas mówiłaś, że to czary?

Samuel Parris obrócił się gwałtownie niczym drapieżnik, który dostrzega inną zdobycz, i zagrzmiał:

- Elizabeth Parris, powiedz wyraźnie! Czy ty też oddawałaś się tym igraszkom z Szatanem?

Biedaczka zachwiała się, po czym padła na kolana przed mężem.

- Przebacz mi, Samuelu Parrisie, nie wiedziałam, co czynię!

Nie wiem, jakiej zbrodni dopuściłby się wobec niej, gdyby w tej samej chwili Betsey i Abigail nie ocknęły się z transu i nie zaczęły znów ryczeć jak potępione.

Wkrótce rozległo się stukanie do drzwi wejściowych, a raczej walenie pięściami zaalarmowanych sąsiadów. Samuel Parris zmienił się na twarzy. Kładąc palec na ustach, chwycił obie dziewczynki jak worki sieczeni i zaniósł je na pierwsze piętro. Po chwili pani Parris ogarnęła się i otworzyła drzwi ciekawskim, bąkając uspokajające słowa:

- Nic się nie stało, nic się nie stało. Dziś rano pan Parris postanowił ukarać swoje córki.

Sąsiedzi głośno przytaknęli:

- No pewnie, tylko powinien robić to częściej! Pani Sheldon, której córka Susanna dzień w dzień zamykała się z Abigail, pierwsza wprowadziła dysonans.

- Dziwnie mi to przypomina dzieci Goodwinów. Oby tylko nie były zaczarowane!

Mówiąc tak, świdrowała mnie, jak można się domyślić, okrutnym spojrzeniem swych bladych oczu. Pani Parris zdobyła się na chrypliwy śmieszek.

- O co chodzi, pani Sheldon? Czy nie wie pani, że dziecko jest jak ciasto na chleb, które trzeba zagniatać? I proszę mi wierzyć, Samuel Parris to dobry piekarz!

Wszyscy zarechotali. Ja wróciłam do kuchni. Gdy się chwilę zastanowiłam, wszystko wydało mi się jasne. Z rozmyśłem czy mimo woli, świadomie czy nieświadomie, coś podjudziło lub ktoś podjudził Betsey przeciwko mnie, bo w tej sprawie, jak sądziłam, Abigail była tylko współniczką wyczuwającą szóstym zmysłem, że dobrze zagrana rola może przynieść jakieś korzyści. Trzeba było odzyskać zaufanie dziewczynki, a nie wątpiłam, że mi się to uda, jeśli tylko zostanę z nią sama.

Następnie należało się zabezpieczyć, z czym i tak za długo zwlekałam. Należało odplacić pięknym za nadobne. Oddać wet za wet. Dawne humanitarne lekcje Man Yai straciły aktualność. Ci, co mnie otaczali, byli krwiożerczy jak wilki wyjące ponuro w podbostońskich lasach, a ja musiałam się upodobnić do nich.

Nie wiedziałam tylko, że niegodziwość jest darem, który otrzymuje się przy narodzinach. Nie nabywa się go. Ci spośród nas, którzy nie przyszli na świat uzbrojeni w ostrogi i pazury, odchodzą zeń pobici na wszystkich frontach.

11

Patrzę na ciebie, moja zgnębiona żono, przez tyle lat spędzonych razem i myślę sobie, że nie rozumiesz świata białych, wśród których żyjemy. Robisz wyjątki. Sądzisz, że niektórzy mogą nas szanować, kochać. Jakże się mylisz! Trzeba ich nienawidzić bez rozróżnienia.

- Dobrze ci tak mówić, Johnie Indienie! Ty jesteś jak marionetka w ich rękach. Ja pociągam ten

sznurek, ty pociągasz...

- Ja noszę maskę, moja żono goniąca resztkami sił. Maluję takimi farbami, jakich sobie życzą. Czerwone i wyłupiaste oczy? „Tak, proszę pana!” Fioletowawe usta z mięsistą dolną wargą? „Tak, proszę pani!” Nos kulfoniasty? „Do waszych usług, panowie i panie!” A pod tą zasłoną ja, John Indien, jestem wolny! Patrzyłem, jak ssiesz małą Betsey niczym miodowy cukierek, i mówiłem sobie: „Żeby się tylko nie rozczarowała!”

- Więc myślisz, że ona mnie nie kochała? -Jesteśmy Murzynami, Titubo! Cały świat działa na naszą zgubę!

Przywarłam do Johna Indiena, gdyż słowa, które wypowiadał, były aż nadto okrutne. W końcu wykrztusiłam:

- Co się teraz stanie? Zadumał się.

- Samuel Parris bardziej niż ktokolwiek stara się, by plotka, że na jego córki ktoś rzucił czary, nie rozeszła się po Salem. Ściągnie doktora Griggsa, mając nadzieję, że to tylko jakaś błaha choroba. Sprawa przybierze naprawdę zły obrót, jeśli nieszczęsny doktor nie zdoła ich wyleczyć!

Jęknęłam:

- Johnie Indienie, Betsey nie może być chora. Chroniłam ją przed wszystkim...

Przerwał mi.

- I to był wielki błąd! Chciałaś ją uchronić od nieszczęścia. A ona opowiadała o tym szczegółowo - och, całkiem niewinnie, chcę wierzyć - Abigail i zgrai małych dziwek, które wypichciły z tego tru ciznę! Niestety, ona pierwsza się zatrzymała!

Rozplakałam się. John Indien nie pocieszył mnie, wręcz przeciwnie, powiedział twardo:

- Czy pamiętasz, że jesteś córką Abeny? To zdanie trochę mnie otrzeźwiło.

Przez wąskie okienko sączyło się brudne jak ścierka światło dnia. Trzeba było wstać, wrócić do rutynowych zajęć.

Samuel Parris, już na nogach, właśnie zamierzał się udać do domu spotkań, jako że był to szabat. Czarny kapelusz zasłaniał mu czoło do połowy, nadając twarzy kształt trójkąta o ostrych zarysach. Odwrócił się do mnie.

- Titubo, nie oskarżam bez dowodów. Dlatego wstrzymuję się z jakimkolwiek osądem. Ale jeśli jutro doktor Griggs stwierdzi wpływ Złego, pokażę ci, co potrafię.

Zaśmiałam się szyderczo.

- Co pan nazywa dowodami? Wciąż się we mnie wpatrywał.

- Każę ci się przyznać, co robiłaś moim dzieciom, i każę ci zarzucić pętlę na szyję. Ach, jaki piękny owoc zawiśnie na którymś z drzew w Massachusetts!

W tym momencie do pokoju weszła pani Parris z obiema dziewczynkami. Abigail ścisnęła w rękach modlitewnik.

Ona właśnie upadła pierwsza i zaczęła się drzeć. Betsey stała przez chwilę z wypiekami na

policzkach, niepewna - jak mi się zdawało - co w niej zwycięży: przywiązanie do mnie czy przerażenie. Potem osunęła się obok Abigail. Teraz ja z kolei wrzasnęłam:

- Przestańcie, przestańcie! Dobrze wiecie, Betsey i Abigail, że nigdy was nie skrzywdziłam! Zwłaszcza ty, Betsey! Jednego tylko pragnęłam: wyświadczyć wam wiele dobrego!

Samuel Parris ruszył w moją stronę z taką nienawiścią, że się zachwiałam, jakby mnie ktoś uderzył:

- Wytłumacz się! Już i tak za dużo powiedziałaś. Coś ty im zrobiła?

I tym razem uratowała mnie gromada sąsiadów, zaalarmowanych - podobnie jak poprzedniego dnia - tą całą wrzawą. Pełni respektu i zgrozy, otoczyli kołem dzieci wstrząsane najbardziej rozpasanymi konwulsjami. John Indien, który też zszedł na dół, bez słowa pomaszerował do kuchni po wiadro i chlust! wylał wodę na nasze małe wariatki. To je uspokoiło. Wstały, całe mokre, niemal skruszone. Długim szeregiem ruszyliśmy w drogę do domu spotkań.

W momencie gdy zajmowaliśmy miejsca w naszej ławce modlitewnej, znów wszczął się rwetes. John Indien zwykle wchodził tam pierwszy, ja druga, i w ten sposób pani Parris i ja stanowiłyśmy obstawę dla dziewczynek. Lecz Abigail, która powinna była przesunąć się do przodu i klęknąć koło mnie, zatrzymała się, odskoczyła do tyłu i wylądowała wprost w głównym przejściu, podnosząc wrzask.

Wyobraźcie sobie niedzielne nabożeństwo w Salem! Wszyscy tam byli: John Putnam, sprzedawca rumu, Thomas Putnam, sierżant i Annę, jego żona, Gilles Corey, jego żona Martha, ich córki i mężowie tych ostatnich - Johanna Chibum i Nathaniel Ingersoll, John Proctor i Elizabeth... i inni, wielu innych! Rozpoznawałam też twarze i błyszczące z podniecenia oczy dziewczynek i podlotków, towarzyszek niebezpiecznych zabaw Abigail i Betsey. Aż się paliły, by runąć na ziemię, przyciągając spojrzenia całego audytorium. Czułam to: nie będą miały spokoju, dopóki one też nie puszczą się w płąsy!

Tym razem Abigail sama się skręcała i urządziła przedstawienie. Betsey nie poszła za jej przykładem, toteż Abigail niebawem zamilkła i leżała jak kłoda, z włosami, które częściowo wysunęły się spod czepka. John Indien wstał, wyszedł z ławki i wzięwszy ją na ręce, zaniósł do domu. Reszta nabożeństwa upłynęła bez żadnych incydentów.

Przyznaję, że jestem naiwna. Byłam przekonana, że nawet podła, zbrodnicza rasa może wydać jednostki wrażliwe i dobre, podobnie jak skałowaciate drzewo może zrodzić wspaniałe owoce. Wierzyłam w uczucie Betsey, chwilowo sprowadzonej z właściwej drogi przez nie wiadomo kogo, i nie traciłam nadziei, że ją pozyskam na nowo. Skorzystałam z chwili, gdy pani Parris zeszła na dół, aby zaspokoić ciekawość tych, którzy napływali falą po nowiny o dzieciach i zapuszczali się aż do jej pokoju.

Betsey siedziała przy oknie, trzymając w nieruchomych paluszkach robótkę, a jej twarzyczka miała w mroku taki wyraz, że ścisnęło mi się serce. Na odgłos moich kroków podniosła głowę i natychmiast wykrzywając wargi w podkówkę, krzyknęła. Skoczyłam i zatkałam jej usta ręką. Ugryzła mnie tak

mocno, że siknęła krew, i przez dłuższy czas przyglądałyśmy się sobie, a na podłogę ściekała szkarłatna strużka.

Pomimo bólu zapytałam ją tak łagodnie, jak mogłam:

- Betsey, kto cię nabuntował przeciw mnie? Potrząsnęła głową.

- Nikt, nikt.

- Czy to Abigail? - nalegałam.

Nadal potrząsała głową, coraz bardziej energicznie.

- Nie, nie, one mi tylko powiedziały, że to, co robiłaś, było złe!

Odrzekłam tym samym tonem:

- Po co z nimi o tym rozmawiałaś? Czy nie mówiłam ci, że to ma być nasza wspólna tajemnica?

- Nie mogłam inaczej, nie mogłam! Po tym wszystkim, co mi robiłaś!

- Przecież ci tłumaczyłam, że to dla twojego dobra!

Jej górna warga uniosła się w brzydkim uśmiechu, odsłaniając chore dziąsła.

- Ty byś robiła coś dobrego? Ty jesteś Murzynką, Titubo! Możesz tylko czynić zło. Ty jesteś samo zło!

Te słowa już słyszałam albo też odczytywałam ich treść w spojrzeniach. Ale nigdy bym sobie nie wyobraziła, że wylecą z ust, które były mi tak drogie! Zaniemówiłam. Betsey syknęła, zupełnie jak zielona mamba¹¹ na wyspach:

- Co dodałaś do tej kąpieli, którą mi przygotowałaś? Krew noworodka, którego uśmierciłaś swoimi czarami?

Stałam jak ogłuszona.

- Ten kot, którego co rano karmiłaś? To był On, prawda?

Zaczęłam płakać.

- A kiedy chodziłaś do lasu, to po to, żeby się z nimi spotykać, z podobnymi do ciebie, i żeby z ni mi tańczyć, prawda?

Ledwo zdołałam wyjść z pokoju.

Przeszłam przez jadalnię, pełną podnieconych i jazgotliwych matron, i zaszyłam się w kuchni. Ktoś zabrał stoik, w którym wypatrywałam zarysów mojego Barbadosu, więc usiadłam na stołku, przejęta smutkiem. Gdy tak siedziałam zgarbiona, przyszła do mnie Mary Sibley. Nie darzyłam jej zbyt dużą sympatią, podobnie jak większości kobiet w wiosce. Jednakże przyznaję, że raz lub dwa mówiła mi ze współczuciem o losie, jaki czarnym zgotowali ludzie o białej skórze. Wzięła mnie za rękę.

- Posłuchaj, Titubo! Wkrótce sfora wilków rzuci się na ciebie, rozszarpie cię na kawałki i będzie się łakomie oblizywać, zanim krew skrzeptnie i straci smak. Musisz się bronić i dowieść, że te dzieci nie są zacczarowane.

¹¹ Jadowity wąż (przyp. aut.).

Zdziwiłam się i powiedziałam, nieufna wobec tej nieoczekiwanej troski:

- Chciałabym być do tego zdolna. Niestety, nie potrafię.

ściszyła głos:

- Tylko ty nie znasz tego sposobu. Wystarczy upiec ciasto. Z taką różnicą, że zamiast zagnieść mąkę z wodą, mieszasz ją z moczem. A jak wyjmiesz ciasto z pieca, dasz je do zjedzenia...

Przerwałam jej:

- Pani Sibley, chociaż darzę panią wielkim szacunkiem, proszę opowiadać te brednie gdzie indziej!

Odwróciła się do Johna Indiena, który właśnie w tym momencie wszedł do kuchni.

- Czy ona wie, czy ona wie, co się robi z czarownicami? Staram się jej pomóc, a ta mi się śmieje w nos!

John Indien zaczął przewracać oczami i zaskamlał płaczliwie:

- Och tak! Pani Sibley, proszę opowiadać te brednie gdzie indziej!

Wyszła, bardzo obrażona, a za nią John Indien, który na próżno usiłował ją uspokoić. Pod koniec dnia te, które kiedyś przepędziłam z mojej kuchni, weszły tam gęsiego. W komplecie. Annę Putnam. Mary Walcott. Elizabeth Hubbard. Mary Warren. Mercy Lewis. Elizabeth Booth. Susanna Sheldon. Sara Churchill. I zrozumiałam, że przyszły naigrawać się ze mnie. Nasycić się widokiem mojej porażki. Och, to był dopiero początek! Upadnę jeszcze niżej. Zrobię sobie jeszcze większą krzywdę. A gdy przewidywały te szczęśliwe dla nich wydarzenia, oczy błyszczały im okrucieństwem. Stawały się prawie piękne w swych niezgrabnych strojach! Niemal apetyczne. Mary Walcott z pupą w kształcie indyjskiego kufra, Mary Warren z gruszkowatymi, przedwcześnie sflaczałymi piersiami, Elizabeth Hubbard z zębami jak sztachety, wystającymi na zewnątrz.

Tej nocy śniła mi się Susanna Endicott i przypomniałam sobie jej słowa: „Za życia, a także i po śmierci będę cię prześladować!”

Czy to była jej zemsta? Czy zmarła i pochowano ją na cmentarzu w Bridgetown? Czy jej dom został sprzedany najwięcej dającemu, a majątek rozdany biednym, jak sobie życzyła?

Czy to była jej zemsta?

John Indien wrócił do diakona Ingersolla, więc moje łóżko było puste i zimne niczym grób, jaki niektórzy dla mnie kopali. Rozchyliłam zasłonę i ujrzałam księżyc - jeźdźca galopującego pośrodku nieba. Szal z chmur owinał się wokół jego szyi, a niebo przybrało barwę atramentową.

Zadrżałam i znów się położyłam.

Tuż przed północą drzwi do mojego pokoju się otworzyły. Byłam w stanie takiego podniecenia i lęku, że raptownie zerwałam się z pościeli. To był Samuel Parris. Nie powiedział ani słowa, tylko stał w półmroku, mamrocząc jakieś modlitwy. Przez chwilę, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność, jego wydłużona sylwetka rysowała się nieruchomo na ścianie. Po czym zniknął tak niepostrzeżenie, jak przyszedł, i mogłam sądzić, że mi się przyśnił. On też.

Rano sen chwycił mnie w swoje dobroczynne objęcia. Zatrószył się o mnie. Zaproponował

spacer po pagórkach mojego Barbadosu. Ujrzałam znów chatę, gdzie spędziłam tyle szczęśliwych dni, w samotności, która, jak teraz sobie uświadamiałam, jest największym dobrodziejstwem. Moja chata się wcale nie zmieniła! Ot, trochę bardziej się pochyliła. Trochę bardziej obrosła mchem. Męczennica wawrzynolistna oplatająca altanę była obsypana owocami.

Drzewo kalebasowe ukazywało krągłości podobne do brzuchów ciężarnych kobiet. Rzeka Ormonde gaworzyła jak niemowlę.

Kraju, kraju utracony! Czy kiedykolwiek do ciebie wrócę?

12

Z doktorem Griggsem byłam w doskonałych stosunkach. Wiedział, że dokazywałam cudów, lecząc załamania nerwowe pani Parris, i że to dzięki mnie była w stanie śpiewać psalmy w niedzielę w domu spotkań. Wiedział też, że skutecznie zwalczałam kaszel i bronchit u dziewczynek. Kiedyś nawet sam przyszedł poprosić mnie o opatrunek na ranę, ślimaczącą się na kostce u nogi jego syna.

Wydawało się, że do tej pory nie widział nic zdrożnego w moich talentach. Jednakże tego ranka, gdy przekroczył próg domu Samuela Parris, unikał mojego spojrzenia i rozumiałam, że zamierza przyłączyć się do obozu moich oskarżycieli. Wszedł po schodach prowadzących na pierwsze piętro i usłyszałam, jak na podeście konferuje przytłumionym głosem z państwem Parrisami. Po chwili rozległ się głos Samuela:

- Titubo, musisz przy tym być.

Uśluhałam.

Betsey i Abigail znajdowały się w sypialni rodziców, siedząc jedna obok drugiej na obszernym łożu przykrytym pierzyną. Skoro tylko weszłam do izby, obie jak na komendę rzuciły się na ziemię, wrzeszcząc wniebogłosy. Doktor Griggs nie dał się zbić z tropu. Położył na stoliku stos oprawionych w skórę książek, które otworzył na stronach upstrzonych notatkami, i jął czytać z największą powagą. Po czym zwrócił się do pani Parris i polecił jej:

- Proszę je rozebrać!

Biedaczka wydawała się przerażona. Przy pomniałam sobie jej zwierzenia dotyczące męża: „Moja droga Titubo, spółkuje ze mną w ubraniu i mnie też nie rozbiera”.

Ci ludzie nie mogli ścierpieć nagości, nawet u dziecka!

Doktor Griggs powtórzył tonem nieznoszącym zwłoki ani sprzeciwu:

- Proszę je rozebrać!

Nie wspomnę już o trudnościach, jakie miała z obnażeniem dziewczynek, które nie trwały bardziej w bezruchu niż przekrojona na pół dżdżownica i które wyły, jakby je ktoś obdzierał ze skóry. W końcu jednak osiągnęła zamierzony cel i odsłoniła ciała dziewczynek: Betsey - zupełnie dziecinne, Abigail - u progu dojrzewania, z brzydkim, bujnym owłosieniem łonowym i różowawymi aureolami i sutków. Doktor Griggs zbadał dziewczynki starannie pomimo okropnych wyzwisk, jakich nie szczędziła mu

Abigail, bo właśnie zaczęła miotać najgorsze obelgi. Wreszcie zwrócił się do Samuela Parrisa i rzekł z namaszczeniem:

- Nie stwierdzam żadnych zaburzeń w czynnościach śledziony i wątroby ani zapalenia dróg żółciowych, ani też żadnego przekrwienia. Jednym słowem, nie podejrzewam żadnej przyczyny fizycznej. Muszę stąd wyciągnąć wniosek: Zły niechybnie położył na nich łapę.

Słowa te powitała lawina skowytów, ryków, zawodzeń. Podnosząc głos, aby przekrzyczeć wrzawę, doktor Griggs ciągnął:

- Ale ja jestem tylko skromnym wiejskim lekarzem. Chcąc rzetelnie ustalić prawdę, niech się państwo zwrócą do medyków bardziej ode mnie wykształconych.

Co powiedziawszy, zabrał swoje książki i wyszedł.

Nagle w sypialni zapanowała cisza, jak gdyby Abigail i Betsey uświadomiły sobie potworność orzeczenia. Następnie Betsey zaniosta się żalonym szlochem, w którym wyczuwało się strach, wyrzuty sumienia i ogromne zmęczenie.

Samuel Parris dogonił mnie na podeście schodów i szturchnął, aż się zatoczyłam na ścianę. Potem zbliżył się i chwycił mnie za ramiona. Nie zdawałam sobie sprawy, że ma taką siłę w rękach podobnych do szponów drapieżnych ptaków, i nigdy jeszcze nie wdychałam z tak bliska dość nieprzyjemnego zapaszku jego ciała. Oznajmił dobitnie:

- Titubo, jeśli zostanie dowiedzione, że to ty rzuciłaś urok na dzieci, wierz mi, każę cię powiesić!

Jakoś zdołałam zaprotestować:

- Dlaczego myśli pan zaraz o mnie, gdy tylko mowa o czarach? Dlaczego nie o sąsiadach? Zdaje się, że Mary Sibley ma coś wspólnego z tymi sprawami! Niech ją pan przepytaj!

Zaczęłam bowiem zachowywać się jak ścigane zwierzę, które gryzie i drapie każdego, kto się nawinie!

Twarz Samuela Parrisa zeszywniała, a usta zacisnęły się, tworząc cienką krwawą kreskę. Rozluźnił uścisk.

- Mary Sibley?

Jednakże nie było pisane, że się z nią rozmówi, przynajmniej na razie, bo do izby na dole wtargnęła z wrzaskiem sfera megier. Choroba się rozprzestrzeniła i dotknęła już inne dziewczynki w wiosce. Jedna za drugą: Annę Putnam, Mercy Lewis, Mary Walcott ulegały temu, co postanowiono nazwać władzą Diabła.

Z północy na południe Salem, ponad drewnianymi więzieniami jego domów, ponad zagrodami dla bydła, łąkami pełnymi jałowców i rumianków wznosił się niewyraźny dźwięk głosów. Głosów „opętanych”. Głosów przerażonych rodziców. Głosów służby lub bliskich, chcących nieść pomoc. Samuel Parris wydawał się bardzo znużony:

- Jutro pojadę do Bostonu, żeby zasięgnąć rady autorytetów.

Co miałam do stracenia?

Podkasując spódnicę opadającą na drewniane saboty, które raniły mi stopy do krwi, pobiegłam do Annę i Thomasa Putnamów. Thomas Putnam był bezsprzecznie najzamożniejszym człowiekiem w Salem. Ten olbrzym, wspaniały w kapeluszu o szerokim rondzie i płaszczu z ciężkiego angielskiego sukna, stanowił żywy kontrast ze swą żoną, którą po cichu każdy uważał za wariatkę. Niejednokrotnie ich córka, mała Annę, mówiła mi, że jej matka pragnęłaby porozmawiać ze mną o wizjach, jakie miała.

- Co to za wizje?

- Ona widzi, jak niektórzy smażą się w piekle. Łatwo zrozumieć, że po takich słowach wolałam unikać kontaktu z Annę Putnam!

W tłumie, który kłębił się na parterze w domu Putnamów, nikt nie zwrócił na mnie uwagi, więc mogłam swobodnie obserwować konwulsje małej Annę. W pewnej chwili podniosła się, wskazała palcem na ścianę i wyrecytowała teatralnie:

- Tam, tam, widzę go. Ma nos podobny do orlego dzioba, oczy jak kule ogniste i jest cały kudła ty. Tam, tam, widzę go!

Czego można było się spodziewać? Że ten tłum dorosłych ją wyśmiej, a potem rozproszy dziecinne lęki? Nic z tych rzeczy, zebrani rozbiegli się na wszystkie strony, padli na kolana, odmawiając psalmy i pacierze. Jediną osobą, która podparła się pod boki i odrzuciła głowę do tyłu, była Sara Good. Pozwoliła sobie nawet zadrwić:

- Na co czekasz? Leć z nim zatańczyć. Jeśli w tej izbie są jego poplecznicy, to mi się zdaje, że ty do nich należysz!

Potem wzięła za rękę swoją małą Dorcas i oddaliła się. Powinnam była zrobić to samo, bo w rejwachu, jaki powstał po kpiących słowach i odejściu

Sary, każdy spojrzął na swego sąsiada, aż wreszcie wykryto mnie w kącie, gdzie się schowałam.

To pani Pope pierwsza rzuciła we mnie kamieniem.

- Piękny nabytek nam tu przywiózł Samuel Parris! Po prawdzie, nie udało mu się wyhodować złota, więc się zadowolił tym przeklętym figowcem.

Pani Pope była niezamężna, podobnie jak wiele kobiet w Salem, i spędzała większość czasu, roznosząc po domach plotki. Zawsze wiedziała, dlaczego zmarł jakiś noworodek, dlaczego brzuch jakiejś młodej mężatki jest pustym bukłakiem... i przeważnie wszyscy przed nią uciekali. Niemniej tym razem całe towarzystwo jej przytaknęło. Pani Huntchinson poszła za jej przykładem i podniosła drugi kamień.

- Jak tylko pojawił się we wsi, wioząc ze sobą te żałobne oblicza, zrozumiałam, że otworzył furtkę nieszczęściu! A teraz to nieszczęście spadło na nas.

Co mogłam powiedzieć na swoją obronę?

Ku memu zdziwieniu ośmieliła się zabrać głos pani Elizabeth Proctor, która obserwowała to wszystko z największym smutkiem:

- Powstrzymajcie się przed potępieniem, za- - nim nadejdzie godzina sądu! Nie wiemy, czy na

prawdę chodzi o czary...

Jej głos zagłuszyło dziesięć innych:

- Ależ tak! Ależ tak! Doktor Griggs to potwierdził!

Pani Proctor odważnie wzruszyła ramionami.

- No cóż, czy nie zdarzyło się nigdy, że lekarz , się pomylił? Czy to nie ten sam Griggs wysłał na cmentarz żonę Nathaniela Bayleya, lecząc jej gardło, gdy miała zakażenie krwi? Powiedziałam jej:

- Niech pani się tak o mnie nie troszczy, pani Proctor! Ślina ropuchy nigdy nie przytłumiła zapachu róży!

Oczywiście, mogłam wybrać lepsze porównanie i moi wrogowie nie omieszkali tego zauważyć:

- Kto jest tą różą? To ty? To ty? Moja biedna Titubo, mylisz się, tak bardzo mylisz się co do swojej barwy - wykrzyknęli.

Jeśli nawet Man Yaya i moja matka Abena już ze mną nie rozmawiały, niezawodnie wyczuwałam, że w takim czy innym momencie są gdzieś w pobliżu. Często rano włączył się ciepły, przytulny zapach w moim pokoju, po czym podpełzał do łóżka, zwił się w kłębek i przekazywał mi, choć był nienamacalny, zadziwiające ciepło. Wtedy rozpoznawałam Abenę po delikatnym aromacie wiciokrzewu, który wypełniał moją nędzną klitkę. Zapach Man Yai był mocniejszy, niemal pieprzowy, a także bardziej przenikliwy. Man Yaya nie przekazywała mi ciepła, ale nadawała mojemu umysłowi coś w rodzaju giętkości, wpajała mi przekonanie, że w ostatecznym rachunku nic nie zdoła mnie zniszczyć. Gdyby tak ująć to schematycznie, rzecz można, że Man Yaya dawała mi nadzieję, a moja matka Abena - czułość. Niemniej każdy przyzna, że wobec poważnych niebezpieczeństw, jakie mi groziły, potrzebowałam bliższego kontaktu. Słów. Czasem nic nie zastąpi słów. Często kłamliwe, często zdradzieckie, stanowią jednak niezastąpiony balsam.

W zagrodce za naszym domem hodowałam drób, dla którego John Indien zbudował niewielki kurnik. Często składałam ofiary z tego ptactwa moim drogim duchom. Ale teraz potrzebowałam innych wysłanników. Dwa domy dalej mieszkała stara pani Huntchinson, dumna ze swego stada owiec, a zwłaszcza z barana o przepięknym runie, z gwiazdką na czole. O świcie, gdy rozbrzmiała trąbka przypominająca wszystkim mieszkańcom Salem, że najwyższy czas uczcić ich boga pracą, pastuch, którego zatrudniała, w towarzystwie dwóch lub trzech psów wyruszał w drogę na gminne pastwisko, położone na krańcu wioski. Pani Huntchinson parokrotnie nawet wyklócała się z sąsiadami, nie chcąc płacić podatku za pastwisko. Takie było Salem! Społeczność, w której grabiono, oszukiwano, kradziono, zasłaniając się imieniem Bożym. I mimo że prawo nakazywało piętnować złodziei literą B¹², chłostać, obcinać im uszy, wrywać języki, zbrodnie się mnożyły!

Przytaczam to wszystko, by wyjaśnić, że nie miałam żadnych skrupułów, okradając złodziejkę!

Odwiązałam sznurek na bramie w zagrodzie i wśliznęłam się między drzemiące zwierzęta, które ,

¹² Od *burglary* (ang.): kradzież z włamaniem (przyp. aut.).

się nagle zaniepokoiły. Chwyciłam barana. Z początku stawiał opór, cofając się i wyginając w łuk, jednakże ja byłam silniejsza i musiał pójść za mną.

Zaciągnęłam go na skraj lasu.

Przez krótką chwilę staliśmy, przyglądając się sobie, on - ofiara, ja - kat, kat roztrzęsiony, błagający go o przebaczenie i przekazanie moich modlitw wraz z ofiarną krwią. Potem poderżnęłam mu gardło wprawnym, nieomylnym ruchem. Upadł na kolana, a ziemia wokół moich stóp powoli wilgotniała. Posmarowałam sobie czoło tą świeżą krwią. Następnie wybebeszyłam zwierzę, nie bacząc na straszny odór narządów i łajna. Podzieliłam mięso na cztery równe części, wystawiłam je na cztery strony świata i złożyłam w daninie moim bliskim.

Potem siedziałam strapiona, a w mojej głowie kłębiły się modlitwy i zaklęcia. Czy wreszcie do mnie przemówią te, którym zawdzięczam życie? Bardzo ich potrzebowałam. Nie miałam już mojej ziemi. Miałam tylko mojego mężczyznę. Musiałam zabić moje dziecko. Toteż potrzebowałam tych, co wydały mnie na świat. Minęło trochę czasu, ale nie wiem dokładnie ile. Potem usłyszałam jakiś szelest w zaroślach. Stanęły przede mną Man Yaya i moja matka Abena. Czy wreszcie przerwą to milczenie, które tworzyło między nami mur? Serce biło mi jak szalone. W końcu Man Yaya powiedziała:

- Nie panikuj, Titubo! Wiesz, że niepomyślność to bliźniacza siostra czarnego! Rodzi się wraz z nim, kładzie się z nim spać, współzawodniczy z nim o tę samą, zwiotczałą pierś. Je dorsza z jego miski. A przecież on się nie daje, ten Murzyn! A ci, co chcieliby, aby zniknął z powierzchni ziemi, będą się mieli z pyszna. Ze wszystkich ty jedna przeżyjesz!

- Czy wrócę na Barbados? - spytałam błagalnie.

Man Yaya wzruszyła ramionami i rzekła tylko:

- A cóż to za pytanie?

Następnie skinąwszy mi ręką, znikła. Moja matka Abena ociągała się z odejściem, wydając jak zwykle całą serię westchnień. Wreszcie i ona zniknęła, nie udzielając mi dalszych wyjaśnień.

Podniosłam się trochę pokrzepiona. Mimo zimna zleciały się muchy, zwabione zapachem krwi i świeżego mięsa. Wróciłam do wioski, gdzie już trąbiono na pobudkę. Nie przypuszczałam, że tyle czasu zajęły mi modlitwy. Sarę Hutchinson właśnie wyciągnął z łóżka pastuch, który zauważył zniknięcie najładniejszej sztuki w stadzie. Z włosami pośpiesznie wciśniętymi pod czepek rzucała gromy:

- Kiedyś zemsta boska dosięgnie mieszkańców Salem, podobnie jak mieszkańców Sodomy, i tak jak w Sodomie, nie znajdzie się dziesięciu sprawiedliwych, aby zaoszczędzić miastu najwyższej kary. Złodzieje, banda złodziei!

Okazałam się do tego stopnia obłudna, że przystanęłam, jakbym podzielała jej wzburzenie. Ścisząc głos, zaciągnęła mnie w róg ogrodu.

- Pomóż mi, Titubo, odnaleźć tego, kto mi wy rządził szkodę, i ukarż go! Niech jego pierworodny, jeśli ma takiego, zginie od czegoś, co przypomina ospę. Jeśli jeszcze nie ma, spraw, żeby żona nigdy

mu go nie powiła! Bo możesz to zrobić, wiem o tym. Wszędzie mówią, że nie ma groźniejszej czarownicy od ciebie!

Spojrzałam jej prosto w oczy, pozwalając sobie na arogancję, jaką natchnęły mnie Man Yaya oraz moja matka Abena, i wycedziłam:

- Najgroźniejsze nie są te, które wymienia się z nazwiska. Dość długo pani żyje, pani Huntchinson, aby wiedzieć, że nie trzeba słuchać pogłosek!

Zaśmiała się złośliwie.

- Ale jesteś rezolutna, Murzynko! Nie będziesz się tak mądrzyć, dyndając na sznurze.

Mimowolnie drżąc, wróciłam do domu.

Może to kogoś zdziwi, że trzęsłam się na myśl o śmierci. Ale jest to paradoks istot mojego pokroju. Mamy śmiertelne ciało, dlatego padamy pastwą wszystkich lęków, które dręczą zwykłych zjadaczy chleba. Tak jak oni boimy się cierpienia. Tak jak ich przeraża nas straszny przedsiónek, którym kończy się nasz ziemski żywot. Chociaż wiemy, że otworzą się przed nami wrota prowadzące do innej formy egzystencji, tej wiecznej, trwoga ściska nas za gardło. Aby spokój znów zagościł w moim sercu i w moim umyśle, musiałam sobie powtórzyć słowa Man Yai:

- Ze wszystkich ty jedna przeżyjesz!

część II

1

Trzej kapłani, podobni do wielkich drapieżnych ptaków, zajęli miejsca w jadalni. Jeden przybył z parafii Beverley, dwóch z miasta Salem. Wyciągnęli kościste nogi w kierunku ognia, który strzelał i błyskał w kominku. Potem ogrzewali sobie dłonie. Wreszcie jeden z nich, najmłodszy, Samuel Allen, podniósł wzrok na Samuela Parrisa i spytał:

- Gdzie są dzieci?

- Czekają na pierwszym piętrze - odparł Samuel Parris.

- Czy są w komplecie? Samuel Parris kiwnął głową.

- Poprosiłem rodziców, żeby przyprowadzili je tutaj z samego rana. Oni sami czekają w domu spotkań, modląc się do Pana.

Trzej duchowni wstali.

- Uczyńmy to samo, albowiem zadanie, które musimy wykonać, wymaga Boskiej pomocy!

Samuel Parris otworzył swoją książkę i zaczął recytować deklamatorskim i żarliwym tonem, który chętnie przybierał:

Tak mówi Pan:

„Niebiosą są moim tronem,

a ziemia podnóżkiem dla nóg moich.

Jakiż to dom chcecie Mi wybudować

Jakież miejsce dać Mi na mieszkanie?

Przecież moja ręka to wszystko uczyniła...¹³

Czytał tak dobrych parę minut, po czym zamknął modlitewnik i rzekł:

- Izajasz. Rozdział sześćdziesiąty szósty. To Edouard Payson z Beverley zarządził:
- Każcie im zejść na dół!

Odwrócił się do mnie, gdy Samuel Parris wychodził w pośpiechu, i powiedział z zadziwiającą dobrocią:

- Jeśli jesteś niewinna, nie masz się czego obawiać!

Głosem, który miał wyrażać pewność siebie, lecz który wydobył się z moich ust dziecięcą i ochryplą, oznajmiłam:

- Jestem niewinna.

Dziewczynki już wchodziły do pokoju. Samuel Parris nie powiedział prawdy, twierdząc, że są w komplecie, ponieważ były tam tylko Betsey, Abigail i Anne Putnam. Potem zrozumiałam, że wybrał najmłodsze z opętanych, jak je nazywano, najbardziej godne pożałowania, te, których cierpieniom będą pragnęły ulżyć i których tortury będą pragnęły za wszelką cenę skrócić ojcowskie i męzowskie serca.

Pomyślałam w skrytości ducha, że oprócz Betsey, przezroczystej i o świetlistych pełnych przerażenia oczach, Abigail i Annę nigdy nie wydawały mi się w lepszej formie, szczególnie ta pierwsza z miną przebiegłego kota, który widzi, że szykuje się ucztą z bezbronnych ptaków.

Wiedziałam oczywiście, że to ja jestem pod obstrzałem, ale nie zdołam nigdy opisać, co odczuwałam. Wściekłość. Żądzę mordy. Ból, zwłaszcza ból. Byłam idiotką, która wyhodowała żmije na swoim łonie, która pozwoliła ssać swą pierś trójkątnym pyskiem, wyposażonym w rozdwojone języki. Zostałam oszukana. Nałożono na mnie okup jak na galeon wyładowany perłami weneckimi. Hiszpański pirat przeszywał mnie sztyletem.

Edouard Payson, jako najstarszy z czterech mężczyzn o już siwiejących włosach i obwisłej skórze, zadał pytanie:

- Powiedzcie nam, abyśmy mogli wam ulżyć, kto was dręczy?

A one, z wyrachowanym wahaniem, aby nadać większą wagę swoim słowom, orzekły:

- To Tituba!

W zamęcie uczuć usłyszałam, jak wymieniają inne nazwiska. Nie pojmowałam, dlaczego połączyły je z moim:

- To Sara Good! To Sara Osborne!

¹³ Izajasz, 66, 1-2, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, 2002 (przyp. tłum.).

Sara Good, Sara Osborne i ja zamieniłyśmy ze sobą raptem parę słów, odkąd zamieszkaliśmy w Salem. Co najwyżej od czasu do czasu dawałam kawałek ciasta z jabłkami lub z dynią Dorcas Good, kiedy przechodziła pod moim oknem, bo wyglądała jak głodomór.

Do mojego pokoju wtargnęli trzej mężczyźni, podobni do wielkich drapieżnych ptaków. Naciągnęli czarne kominiarki, z dziurami tylko na oczy, i opary z ich ust przenikały przez materiał. Szybko okrążyli moje łóżko. Dwóch z nich chwyciło mnie za ręce, a trzeci związał nogi tak ciasno, że krzyknęłam z bólu. Następnie jeden z nich przemówił i rozpoznałam głos Samuela Parrisa:

- Żeby chociaż coś dobrego wyszło z Piekła, które rozpętałaś. Łatwo byśmy się z tobą rozprawili. Nikt w tej wsi nie kiwnąłby palcem, a sędziowie z Bostonu mają inne rzeczy na głowie. Przetrzepiemy ci skórę, jeśli nie będziesz posłuszna. Bo ty, Titubo, nie zasługujesz na powieszenie!

- Czego ode mnie chcecie? - wykrztusiłam.

Jeden z nich usiadł na brzegu łóżka i pochylając się nade mną tak nisko, że prawie mnie dotykał, powiedział, akcentując każdą sylabę:

- Kiedy staniesz przed sądem, wyznaj, że to twoje dzieło.

- Nigdy! Przenigdy! - zawyłam.

Cios dosięgnął mnie w usta, z których trysnęła krew.

- Wyznaj, że to twoje dzieło, ale że nie działałaś sama, i wydaj swoje współniczki! Good i Osborne, a potem inne!

- Nie mam współniczek, bo nic nie zrobiłam!

Jeden z mężczyzn dosłownie usiadł na mnie okrakiem i zaczął walić w moją twarz pięściami, twardymi jak kamienie. Inny podciągnął mi spódnicę i wepchnął zaostrowany na końcu kij w najwrażliwszą część mojego ciała, naigrawając się.

- Bierz, bierz, to chuj Johna Indiana!

Gdy byłam już tylko kłębkim cierpień, puścili mnie i jeden z trzech znów się odezwał:

- Nie jesteś jedyną powiernicą Antychrysta w Salem. Są inne i podasz ich nazwiska sędziom. Słuchaj!

Zaczynałam rozumieć, co chcieli osiągnąć. Powiedziałam zamierającym głosem:

- Czy wasze dzieci nie wymieniły moich rzekomych współniczek? Co mam jeszcze dodać do ich paplaniny?

Zaśmiali się.

- To jest, jak powiadasz, dziecinna paplanina, lecz wiele w niej luk! Wkrótce nauczymy je pamiętać o zasadniczych rzeczach! A ty pójdziesz na pierwszy ogień!

Potrząsnęłam głową.

- Nigdy! Przenigdy!

Wtedy znów zaczęli się nade mną pastwić i wydawało mi się, że zaostrowany kij podchodzi mi do gardła. Ale nie poddawałam się i rzęziłam:

- Nigdy! Przenigdy!

Porozumieli się między sobą, po czym skrzypnęły drzwi i czyjś głos zawołał do mnie łagodnie:

- Titubo!

To był John Indien. Trzy drapieżne ptaszyska popchnęły go do przodu.

- Przetłumacz jej. Ty się wydajesz mniej tępy! Wycofali się z pokoju, a my zostaliśmy sami z naszym bólem i moim upokorzeniem!

John Indien przytulił mnie. Jak cudownie było znów znaleźć się w jego opiekuńczych ramionach! Chusteczką starał się wytrzeć krew sączącą się z moich ran. Obciągnął spódnicę na moich zhańbionych udach i poczułam jego łzy na mojej skórze.

- Żono, moja zmaltretowana żono! I znów się mylisz w zasadniczych sprawach! Najważniejsze to pozostać przy życiu! Jeśli zażądają, żebyś wydała winnych, to wydaj! Nawet połowę mieszkańców Salem, jeśli im się spodoba. Ten świat nie należy do nas, więc cóż to szkodzi, jeśli puszczą go z dymem, bylebyśmy tylko sami nie zginęli w płomieniach! Wydaj, wydaj wszystkich tych, których nazwiska ci podpowiedzą!

Odepchnęłam go:

- Johnie Indienie, oni chcą, żebyś przyznała się do winy. A przecież ja nie jestem winna!

Wzruszył ramionami i znów mnie objął, kołyszając jak rozkapryszone dziecko.

- Winna? Ależ tak, jesteś, zawsze będziesz w ich oczach. Chodzi o to, abyś pozostała przy życiu dla mnie... dla naszych dzieci, które się urodzą!

- Johnie Indienie, nie mów mi o naszych dzieciach, bo ja nie będę nigdy rodzic w tym świecie bez światła!

Nie zwrócił uwagi na ten okrzyk i ciągnął:

- Wydaj winnych, moja zgwałcona żono! I w ten sposób, wbrew pozorom, udając, że ich słuchasz, zemścij się, zemścij... Wydaj na zatracenie niczym Wiekuisty ich góry, ich pola, ich dobra, ich skarby.

Trzej żandarmi z wioski, podobni do wielkich drapieżnych ptaków, schwytali Sarę Good, Sarę Osborne i mnie. Och, wcale nie mieli powodu chwalić się swoim wyczynem, ponieważ żadna z nas nie stawiała oporu. Sara Good, wsuwając nadgarstki w kajdany, spytała tylko:

- Kto się zajmie Dorcas?

Państwo Proctorowie, którzy asystowali przy tej scenie, podeszli bliżej, zdjęci litością.

- Idź w spokoju! Przyjmiemy ją do swojej rodziny.

Słyszając to, tłum wydał pomruk, jak gdyby wszyscy mniemali, że dziecko czarownicy nie powinno się stykać ze zdrowymi dziećmi. Zaraz znaleźli się tacy, którzy zaczęli się zastanawiać, czy państwo Proctorowie nie utrzymują jakichś podejrzanych kontaktów z Sarą Good, i przypomnieli sobie, że według ich służącej, Mary Warren, Elizabeth Proctor wbija szpilki w woskowe laleczki, które zamyka w szafach. Tak więc żandarmi skuli nam kostki u nóg i nadgarstki kajdanami tak ciężkimi, że ledwo mogliśmy je udźwignąć, i wyruszyliśmy w drogę do więzienia w Ipswich.

Był luty, najzimniejszy miesiąc w roku, w którym pogoda nie rozpieszcza ludzi. Przy głównej ulicy Salem zgromadził się tłum, aby przyjrzeć się naszemu wymarszowi: na czele jechali konno żandarmi, a my brnęliśmy w śniegu zmieszonym z błotem. W całym tym przygnębiającym krajobrazie rozlegał się, o dziwo, śpiew ptaków, przeskakujących z gałęzi na gałąź w mroźnym powietrzu.

A ja przypominałam sobie słowa Johna Indiena i rozmyślałam nad ich głęboką mądrością. Naiwniaczka, która uważała, że wystarczy głośno krzyczeć o swojej niewinności, by ją udowodnić! Naiwniaczka, która nie wiedziała, że wyświadczać dobro niegodziwcom lub słabeuszom to wyrządzać zło! Tak, zemszczę się. Będę oskarżać i korzystając z władzy, jaką mi przyznali, rozpętam burzę, podniosę na morzu fale, wysokie jak mury, będę wyrwać drzewa z korzeniami, ciskać w przestworza belki ich domów i szop jak słomki.

Kogo miałam wymienić?

Uwaga! Nie zadowolę się podaniem nazwisk biedaczek, które człapały ze mną w błocie. Uderzę mocniej. Uderzę w głowę. I oto w skrajnej nędzy, w jakiej się znajdowałam, upajałam się moją potęgą! Ależ tak, mój John Indien miał rację. Ta zemsta, o której tylekroć marzyłam, była w mojej mocy, i to w dodatku z ich własnej woli!

Ipswich znajdowało się około dziesięciu mil od Salem i dotarliśmy tam tuż przed zmrokiem. Loch był pełen zbrodniarzy: morderców, złodziei wszelkiej maści, w których ziemia Massachusetts obfitowała, podobnie jak jego wody w ryby. Strażnik, czerwony jak piwonia od żłopania rumu, zapisał nasze nazwiska w swoim rejestrze, po czym rzucił okiem na tablicę wiszącą za jego plecami.

- Nie ma już żadnej wolnej celi, czarownice! Będziecie zatem mogli bezkarnie odbywać wasze sabaty! Widocznie Szatan jest z wami!

Jego koledzy spojrzeli nań z wyrzutem: czy można żartować z takiej sprawy? On zaś, bujając w oparach alkoholu, w ogóle nie zwrócił na nich uwagi. Upchano nas jedną obok drugiej i musiałam wdychać smród fajki, jakim była przesiąknięta Sara Good, podczas gdy przerażona Sara Osborne bez przerwy ponuro klepała pacierze. Około północy obudził nas jakiś hałas.

- Trzyma mnie, trzyma mnie! Puść mnie, szatański pomociu!

To była Sara Osborne. Jej oczy niemal wyskakiwały z orbit. Kogo pokazywała palcem? Mnie, oczywiście! Odwróciłam się do Sary Good, żeby ją wziąć na świadka bezczelności i hipokryzji naszej towarzyszki. Czy zaczynała przygotowywać swoją obronę naszym kosztem? Ale i ona z kolei jęła wrzeszczeć, świdrując mnie swymi świńskimi oczkami:

- Trzyma mnie, trzyma mnie! Puść mnie, szatański pomociu!

Strażnik o czerwonych policzkach, teraz już zalany w drobny mak, uciszył ten piekielny harmider, wyrzucając mnie z celi kopniakami. W końcu przykuł mnie do haka na korytarzu.

Ostry, nocny wiatr świszczwał we wszystkich zamkach.

2

Spędziłyśmy w więzieniu tydzień, czekając, aż zakończą się przygotowania do naszego procesu przed sądem w Salem. I tam raz jeszcze, pomimo moich ostatnich perypetii i zaleceń Johna Indiena, wrytych w mojej pamięci, dałam się złapać na lep złudnej przyjaźni. Gdy szczękałam zębami i krwawiłam na korytarzu, gdzie mnie przykuto łańcuchem, jakaś kobieta wsunęła rękę między pręty swojej celi i zatrzymała jednego ze strażników.

- Tutaj jest miejsce dla dwóch. Wpuść tę nieszczęsną istotę!

Kobieta, która to powiedziała, była młoda, najwyżej dwudziestotrzyletnia, piękna. Nieskromnie rzuciła czepek i odsłoniła przepyszne, kruczoczarne włosy. W mniemaniu niektórych już same w sobie symbolizowały one grzech i zasługiwały na karę. Również jej oczy były czarne, nie szare, w kolorze brudnej wody, nie zielone, w kolorze zazdrości, tylko czarne jak dobroczynna ciemność nocy. Przyniosła dzbanek z wodą i klękawszy, starała się przemyć guzy na mojej twarzy. Przy tym mówiła jakby do siebie, pewnie wcale nie oczekując odpowiedzi:

- Jaką piękną barwę ma jej skóra i jak łatwo może ukryć pod nią swoje uczucia. Strach, trwogę, wściekłość, wstręt! Mnie się to nigdy nie udawało i zawsze zdradzały mnie rumieńce!

Powstrzymałam jej rękę.

- Pani...

- Nie nazywaj mnie „panią”.

- Więc jak mam do ciebie mówić?

- Zwyczajnie, po imieniu: Hester! A ty jak się nazywasz?

- Tituba.

- Tituba?

Powtórzyła to z zachwytem.

- Skąd to imię?

- Ojciec mi je nadał przy narodzinach!

- Twój ojciec? Skrzywiła usta z irytacją.

- Nosisz imię, które nadał ci mężczyzna? Zdziwiona, nie odpowiedziałam od razu, a po chwili odparłam:

- Czy nie dotyczy to każdej kobiety? Najpierw nazwisko ojca, później nazwisko męża?

Zamyśliła się.

- Miałam nadzieję, że przynajmniej niektóre społeczności wyłamują się spod tego prawa. Twoja, na przykład!

Teraz ja z kolei popadłam w zadumę.

- Może w Afryce, skąd pochodzimy, tak było. Ale my już nic nie wiemy o Afryce i w ogóle nas już ona nie obchodzi.

Ponieważ krążyła tam i z powrotem po ciasnej celi, zauważyłam, że jest w ciąży. Nie ochłonęłam jeszcze ze zdumienia, gdy znów podeszła do mnie i łagodnie spytała:

- Słyszałam, że nazywali cię „czarownicą”. Co ci zarzucają?

W odruchu sympatii, jaką budziła we mnie nieznajoma, ubrdałam sobie, że jej wszystko wytłumaczę.

- Dlaczego w waszym społeczeństwie... Przerwała mi gwałtownie:

- To nie jest moje społeczeństwo. Czyż nie jestem banitką jak ty? Zamkniętą w tych murach?

Poprawiłam się:

- ...w tym społeczeństwie nadaje się funkcji „czarownicy” negatywne znaczenie? „Czarownica”, jeśli już musimy użyć tego słowa, naprawia, prostu je, pociesza, leczy...

Przerwała mi, wybuchając śmiechem.

- A więc nie czytałaś Cottona Mathera?

I wypięła pierś, przybierając uroczystą minę:

- „Czarownice robią dziwne i szkodliwe rzeczy. Nie mogą czynić prawdziwych cudów, bo tych dokonywać mogą jedynie wybrani i wysłannicy Pana”.

Teraz ja się roześmiałam i spytałam:

- Kto to jest Cotton Mather?

Nie odpowiedziała na pytanie, za to ujęła moją twarz w swoje dłonie:

- Nie mogłaś uczynić nic złego, Titubo! Ani przez chwilę w to nie wątpię: jesteś zbyt piękna!

Nawet gdyby wszyscy cię oskarżali, ja będę głosić twoją niewinność!

Wzruszona tak mocno, że nie znajdowałam słów, ośmieliłam się pogłaskać ją po twarzy i wyszeptałam:

- Ty też jesteś piękna, Hester! O co oni cię oskarżają?

- O cudzołóstwo! - odrzekła szybko.

Spojrzałam na nią przerażona, wiedziałam bowiem, jaka to poważna przewina w oczach purytanów. Ciągnęła:

- A podczas gdy ja tu gniję, ten, co mi zmajstrował dzieciaka, chodzi sobie na wolności.

Westchnęłam.

- Dlaczego go nie zadenuncjujesz? Obróciła się na pięcie.

- Ach! Nie znasz rozkoszy zemsty!

- Zemsty? Wyznaję, że nie nadażam za twoją myślą!

- Z nas dwóch, wierz mi, nie ja zasługuję na największe współczucie. Przynajmniej, jeśli ten człowiek w ogóle ma jakieś sumienie, czego należałoby się spodziewać po duchownym - odparła z dziką pasją.

Byłam coraz bardziej zbита z tropu. Pewnie to spostrzegła, bo usiadła koło mnie na zasmolonym przymurku.

- Muszę chyba zacząć do początku, jeśli chcę, żebyś coś zrozumiała z mojej historii.

Wzięła głęboki oddech, a ja zawisłam na jej ustach:

- Pod pokładem „Mayflower”, pięknego okrętu, który dobił do tego brzegu, było dwóch moich przodków, ojciec mojego ojca i ojciec mojej matki, dwóch zagorzałych „separatystów”, którzy tu przy płynęli, aby założyć królestwo Prawdziwego Boga. Wiesz, jakie niebezpieczne są takie projekty, i pomnę już okrucieństwo, z jakim ich potomkowie byli wychowywani. Dzięki temu wyprodukowali hordę pastorów, którzy czytali w oryginale Cycerona, Katona, Owidiusza, Wergiliusza...

Przerwałam jej:

- Nigdy nie słyszałam o tych ludziach! Wzniosła oczy.

- I chwała ci za to! Ja miałam nieszczęście należeć do rodziny wierzącej w równouprawnienie płci i w wieku, gdy dziewczynki grzecznie bawią się lalkami, ja na życzenie mojego ojca recytowałam klasyków! Na czym stanęłam? Ach, tak! Kiedy miałam szesnaście lat zostałam wydana za mąż za pastora, przyjaciela rodziny, który pogrzebał trzy żony i pięcioro dzieci. Tak strasznie cuchnęło mu z ust, że mdlałam jak na zawołanie, gdy tylko się nade mną pochylał. Cała moja istota buntowała się przeciw niemu, a jednak zrobił mi czwórkę dzieci, które Pan łaskawie zabrał do siebie - ku mojej i mojej radości! Bo nie byłam w stanie kochać przychówku człowieka, którego nienawidziłam. Nie będę przed tobą ukrywać, Titubo, że ilość ziółek, mikstur, środków przeczyszczających, jakie zażywałam podczas moich kolejnych ciąż, przyczyniła się do tego szczęśliwego efektu.

Szepnęłam sama do siebie:

- Ja też musiałam zabić moje dziecko.

- Na szczęście, trochę więcej niż rok temu wyjechał do Genewy, aby roztrząsać z innymi kalwinistami problem „wybranych”, i właśnie wtedy... właśnie wtedy...

Zamilkła, a ja zrozumiałam, że pomimo złorzeczeń kocha nadal swojego oprawcę.

- Uroda u mężczyzny to coś nieprzyzwoitego. Titubo, mężczyźni nie powinni być przystojni! Dwa pokolenia Wybranych potępiających Ciało i Rozkosz zrodziły tę istotę, która nieodparcie przywodzi na myśl rozkosze cielesne. Zaczęliśmy się spotykać pod pretekstem dyskusji o pietyzmie niemieckim. Potem znaleźliśmy się w jego łóżku, żeby uprawiać miłość, i tak na tym wyszłam!

Objęła brzuch rękami. Spytałam: -I co się teraz stanie? Wzruszyła ramionami:

- Nie wiem!... Myślę, że oni wszyscy czekają na powrót mojego męża, żeby zdecydować o moim losie.

- Jaka kara ci grozi? - nalegałam. Wstała.

- Już się nie kamieniuje cudzołożnic. Sądzę, że noszą na piersiach wypaloną czerwoną literę!

Tym razem ja wzruszyłam ramionami.

- Och, jeśli tylko tyle!

Ale pożałowałam mojej lekkomyślności, gdy zobaczyłam wyraz jej twarzy. Ta istota równie dobra, jak piękna cierpiała katusze. I znów ofiarę traktowano jak winowajczynię! Czy taki musi być los kobiet

na tym świecie? Staralam się w jakiś sposób dodać jej otuchy i szepnęłam:

- Jesteś przecież w ciąży. Musisz żyć dla tego dziecka.

Stanowczo potrząsnęła głową.

- Ona po prostu musi umrzeć razem ze mną. Już ją na to przygotowałam, nocą, gdy ze sobą rozmawiamy. Wiesz, ona się nam w tej chwili przysłuchuje. Stuka do drzwi mojego brzucha, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wiesz, czego pragnie? Abyś nam opowiedziała jakąś historię! Historię z twojego kraju! Zrób jej przyjemność, Titubo!

Przyciskając głowę do tej cudownej wypukłości ciała, tego pagórka życia, aby mała istotka, która się tam schroniła, była jak najbliżej moich warg, zaczęłam opowiadać bajkę i naszą ponurą norę rozświetliły słowa zapożyczone z ulubionego, zawsze jednakowego rytuału.

- Puk, puk w suche drewno!

- Czy dwór śpi?

- Nie, dwór nie śpi!

- Jeśli nie śpi, to niech słucha, niech słucha tej historii, mojej historii. Dawno, dawno temu, gdy diabeł biegał jeszcze w krótkich spodenkach, ukazując kościste i poobijane kolana, w wiosce Wagabaha na szczycie stromego wzgórza mieszkała dziewczyna, która nie miała ojca ani matki. Cyklon porwał chatę jej rodziców, a ona cudem się uchowała - brzdąc pływający w kołysce jak Mojżesz na wodzie. Była sama i smutna. Pewnego dnia, gdy sadowiła się w swojej ławce w kościele, ujrzała stojącego opodal ambony wysokiego Murzyna w ubraniu z białej serży i w słomianym kapeluszu przewiązanym czarną wstążką. Mój Boże, dlaczego kobiety nie mogą się obejść bez mężczyzn? Dlaczego? Dlaczego?

- Zmarły ojciec, zmarła matka, muszę mieć tego mężczyznę, inaczej umrę!

- A wiesz chociaż, czy jest dobry, czy zły, czy to w ogóle istota ludzka, czy w jego żyłach płynie krew? Może to jakaś cuchnąca lepka ciecz napływa do jego serca?

- Zmarły ojciec, zmarła matka, muszę mieć tego mężczyznę, inaczej umrę!

- Dobrze, jeśli chcesz, będziesz go miała!

I młoda dziewczyna opuściła swoją chatę, swoją samotnię, dla tego nieznanego w ubraniu z serży, i powolutku jej życie stało się piekłem. Czy nie możemy ustrzec naszych córek przed mężczyznami?

Tu Hester mi przerwała, wyczuwając lęk w moim głosie:

- Co to za historię mi opowiadasz, Titubo? Czy nie swoją własną? Powiedz mi! Powiedz!

Ale coś mnie powstrzymało od zwierzeń.

Hester pomogła mi przygotować zeznanie.

Trzeba opowiedzieć o córce pastora, aby zapoznać się bliżej z Szatanem: czy nie obcowała z nim od dzieciństwa? Czy nie tarzał się na jej kołdrze w nieogrzewanej sypialni, wpatrując się w nią żółtawymi źrenicami? Czy nie miauczał we wszystkich czarnych kotach? Nie rechotał w żabach, a

nawet nie urządzał galopad przeistoczony w szare myszki?

- Nastrasż ich, Titubo! Niech mają za swoje! Opisz go pod postacią kozła z nosem w kształcie orlego dzioba, ciałem pokrytym długą czarną sierścią i przewiązonym pasem ze skorpionowych łebków. Niech zadrżą, niech się trzęsą, niech mdleją! Niech zatańczą w takt dolatującej z daleka melodii jego fletu! Opisz im sabaty czarownic, opisz, jak każ da przylatuje na miotle, a ze szczękiem cieknie im ślina na myśl o uczcie z płodów i noworodków, które zostaną podane z pucharami świeżej krwi...

Wybuchnęłam śmiechem.

- Ależ, Hester, to wszystko jest śmieszne!

- Skoro oni w to wierzą! Nie przejmuj się! Przestrasz ich!

- Czy ty też mi radzisz oskarżać? Zmarszczyła brwi.

- Już ktoś ci dał taką radę?

Nie odpowiedziałam, a ona spoważniała.

- Oskarżać, oskarżać! Jeśli to zrobisz, istnieje obawa, że upodobnisz się do tych, których serce jest stekiem nieczystości! Jeśli niektórzy wyrządzili ci osobistą krzywdę i jeśli sprawi ci to przyjemność, zemścij się. W przeciwnym razie tylko zasiej wątpliwość, a oni już potrafią nadać jej konkretną formę. W odpowiedniej chwili krzykniesz: „Ach, nic już nie widzę! Ach, ośleplam!” I zrobisz im kawał!

Powiedziałam okrutnie:

- Ach! Zemszczę się na Sarze Good i Sarze Osborne, które mnie tak niecznie zdradziły!

Roześmiała się.

- No pewnie, one są w każdym razie zbyt brzydkie, aby żyć! Dalej, powtarzamy lekcję. Jaki jest Szatan? Nie zapominaj, że przybiera najróżniejsze postaci. Dlatego też, choć ludzie od tak dawna ściga ją Szatana, jeszcze go nie złapali. Czasem jest to człowiek cały czarny...

Tu przerwałam jej z niepokojem:

- Jeśli tak powiem, czy ktoś nie pomyśli o Johnie Indienie?

Wzruszyła ramionami, rozdrażniona, bo Hester było łatwo zdenerwować!

- Daj mi spokój z tym twoim typkiem spod ciemnej gwiazdy! Nie jest więcej wart od mojego. Czy nie powinien siedzieć tutaj i dzielić z tobą nie dołą? Życie jest zbyt łaskawe dla mężczyzn, zarówno białych, jak czarnych!

Staralam się nie mówić Hester o Johnie Indienie, wiedziałam bowiem aż za dobrze, co ona o nim powie, a tego nie zamierzałam tolerować.

Jednakże w głębi ducha przyznawałam jej rację. Kolor skóry Johna Indiena nie przysporzył mu nawet połowy kłopotów, z jakimi ja musiałam się borykać. Często niektóre purytanki, nader skądinąd purytańskie, nie stroniły od czułych rozmówek z nim:

- Johnie Indienie, powiadają, że tak pięknie śpiewasz, i to nie tylko psalmy!

- Ja, pani?

- No tak, mówią, że kiedy kopiesz ziemię u diakona Ingersolla, śpiewasz i tańczysz jednocześnie...
I wtedy chwycił mnie żal, być może niesłusznie!

Jeśli nie powtarzałyśmy mojego zeznania, rozmawiałyśmy z Hester o nas. Och, jak lubiałam jej słuchać!

- Chciałabym napisać książkę, ale cóż, kobiety nie piszą! Tylko mężczyźni zanudzają nas swoją prozą. Z wyjątkiem niektórych poetów. Czytałaś Milтона, Titubo? Ach, zapomniałam, nie umiesz czytać! *Raj utracony*, Titubo, coś cudownego!... Tak, chciała bym napisać książkę, w której przedstawiłabym model społeczeństwa rządzonego przez kobiety! Dawaliśmy nazwisko naszym dzieciom, same byśmy je wychowywały...

Przerywałam jej drwiąco:

- Przecież nie mogłybyśmy same ich płodzić! Markotniała.

- Niestety, nie! Te wstrętne brutale musiałyby w tym uczestniczyć, ale tylko przez krótką chwilę...

Droczyłam się z nią.

- Nie za krótką! Ja nie lubię się spieszyć!"

W końcu się uśmiechała i przyciągała mnie do siebie.

- Za bardzo lubisz miłość, Titubo! Nigdy nie uczynię z ciebie feministki!

- Feministki! A kto to taki?

Ścisnęła mnie w ramionach i obcałowywała.

- Milcz! Później ci to wyjaśnię!

- Później? Będzie jakieś później?

Zbliżał się dzień, w którym miałyśmy zostać znów przewiezione do Salem, aby nas osądzono. I co z nami będzie?

Chociaż Hester mi powtarzała, że jedna z ustaw obowiązujących w Massachusetts daruje życie czarownicy, która się przyzna do winy, miałam pietra.

Czasem mój strach był jak dziecko w brzuchu matki: przewraca się ono z boku na bok, kopie nóżkami. Czasem był jak krwiożerczy ptak, który mi szarpał wątrobę dziobem. Kiedy indziej niczym boa dusiciel opasywał mnie swoimi pierścieniami. Słyszałam, że dom spotkań w Salem został powiększony, aby mógł przyjąć nie tylko mieszkańców wioski, lecz także wszystkich z okolicy, którzy chcieliby wziąć udział w wielkim festiwalu. Słyszałam, że wzniesiono tam podium, na którym staniemy: Sara Good, Sara Osborne i ja, aby zgromadzeni mogli się napaść naszym widokiem. Słyszałam, że wyznaczono już sędziów, członków Sądu Najwyższego Kolonii, znanych z prawości i niezachwianej wiary: Johna Hathorne'a i Jonathana Corwina.

Czego więc mogłam się spodziewać?

Nawet gdyby zachowano mnie przy życiu, do czego by mi ono służyło? Czy John Indien i ja moglibyśmy wydobyć się z niedoli i wsiaść na pokład statku płynącego na Barbados?

Odnajduję ją, tę wyspę, która wydawała się dla mnie straconą! Ciągle tak samo dziką jej ziemię.

Tak samo zielone pagórki. Tak samo fioletową trzcinę kongijską, zasobną w lepki sok. Tak samo aksamitny szmaragdowy pas w jej talii. Ale mężczyźni i kobiety tam cierpią. Są pogrążeni w smutku. Właśnie powieszono jakiegoś Murzyna na wierzchołku drzewa płomiennego. Kwiaty i krew mieszają się ze sobą.

O tak, zapomniałam, że nasza niewola się nie skończyła. Obcięte uszy, obcięte tydki, obcięte ręce. Wybuchamy w powietrzu niczym sztuczne ognie. Patrzcie na konfetti z naszej krwi!

Gdy wpadałam w taki nastrój, Hester była bezradna. Na próżno usiłowała znaleźć jakieś słowa pociechy, nie słuchałam jej. Wtedy wlewała mi do ; ust trochę rumu, podarunek jednego ze strażników, i powoli zasypiałam. Man Yaya i moja matka Abena pojawiały się wówczas na przemian w moim umyśle. Powtarzały mi czule:

- Dlaczego drżysz? Przecież powiedziałyśmy ci, że ty jedna wyjdiesz z tego żywa!

Możliwe. Ale życie przerażało na równi ze śmiercią, zwłaszcza z daleka od moich rodaków.

Pomimo przyjaźni z Hester więzienie naznaczyło mnie niezatartym piętnem. Ten mroczny kwiat cywilizowanego świata zatrzał mnie swoim zapachem i już nigdy później nie oddychałam tak samo. W moich nozdrzach zagnieździła się woń tylu zbrodni: matkobójstw, ojcobójstw, gwałtów i kradzieży, morderstw i zbrodni, ale zwłaszcza woń tylu cierpień.

Dwudziestego dziewiątego lutego wyruszyliśmy z powrotem do wioski Salem. Przez całą drogę Sara Good obrzucała mnie wyzwiskami i przekleństwami. Gdyby wierzyć jej słowom, sama moja obecność wyrządziła w Salem wiele złego.

- Murzynko, po coś opuściła swoje Piekło? Zaciskałam zęby. O tak, na tej nędznicy zemszczę się niezwłocznie!

3

PRZESŁUCHANIE TITUBY INDIEN

- Titubo, z jakim złym duchem się przyjaźnisz?

- Z żadnym.

- Dlaczego dręczysz te dzieci?

- Ja ich nie dręcę.

- A więc kto je dręczy?

- Sądzę, że to Demon.

- Czy kiedykolwiek widziałaś Demona?

- Demon przyszedł do mnie i zażądał, bym mu służyła.

- Kogo widziałaś?

- Cztery kobiety, czasami dręczące dzieci.

- Co to za kobiety?

- Sara Good, Sara Osborne to te, które znam. Nie znam pozostałych. Sara Good i Sara Osborne

chciały, żebym dręczyła dzieci, ale ja odmawiałam. Był też jakiś mężczyzna z Bostonu, wysoki, bardzo wysoki.

- Kiedy ich widziałaś?

- Ubiegłej nocy w Bostonie.

- Co ci powiedzieli?

- Kazali mi dręczyć dzieci. -I posłuchałaś ich?

- Nie. Te cztery kobiety i jeden mężczyzna dręczyli dzieci, potem położyli się na mnie i powiedzieli, że jak nie będę dręczyć dzieci, zrobią mi krzywdę.

- A wtedy ich posłuchałaś?

- Tak, ale już tego więcej nie uczynię.

- Żałujesz, że to uczyniłaś?

- Żałuję!

- No więc dlaczego ich posłuchałaś?

- Ponieważ powiedzieli, że jeśli im odmówię, zrobią mi jeszcze większą krzywdę.

- Kogo widziałaś?

- Przyszedł jakiś człowiek i rozkazał, żebym mu służyła.

- W jaki sposób?

- Dręcąc dzieci, a zeszłej nocy jakaś zjawa kazała mi zabić dzieci i powiedziała, że jeśli nie posłucham, zrobi mi jeszcze większą krzywdę.

- Co to była za zjawa?

- Czasem był to knur, a czasem wielki pies.

- Co ci mówiła?

- Czarny pies zażądał, żebym mu służyła, ale ja powiedziałam, że się boję, a on mi na to, że jeśli nie posłucham, zrobi mi jeszcze większą krzywdę.

- Co odpowiedziałaś?

- Że nie będę mu służyć, a wtedy on powie dział, że zrobi mi krzywdę. Był podobny do mężczyzny i zagroził, że zrobi mi krzywdę. A ten mężczyzna miał ze sobą żółtego ptaka i powiedział, że ma jeszcze dużo różnych pięknych rzeczy, które mi podaruje, jeśli będę mu służyć.

- Jakich pięknych rzeczy?

- Nie pokazał mi ich.

- I co wtedy ujrzałaś?

- Dwa szczury: jeden był czerwony, drugi czarny!

- Co ci powiedziały?

- Żebym im służyła.

- Kiedy je widziałaś?

- Ubiegłej nocy. Zażądały, abym im służyła, ale odmówiłam.

- Służyła im w jaki sposób?
- Dręcząc dzieci.
- Dlaczego dziś rano uszczypnęłaś Elizabeth Hubbard?
- Mężczyzna obezwładnił mnie i kazał mi ją uszczypnąć.
- Dlaczego ubiegłej nocy poszłaś do Thomasa Putnama i zrobiłaś krzywdę jego córce?
- Ciągnęli mnie tam, popychali i zmusili do pójścia.
- A gdy tam dotarłaś, co miałaś uczynić?
- Zabić ją nożem.
- Jak poszłaś do Thomasa Putnama?
- Chwyciłam miotłę, a oni wszyscy zrobili to samo.
- Jak zdołałaś przelecieć nad drzewami?
- To nie ma znaczenia¹⁴.

Przesłuchanie trwało parę godzin. Przyznaję, że nie byłam dobrą aktorką. Widok tych wszystkich białych twarzy chlapiących jęzorem przywodził mi na myśl morze, w którym miałam się pogrążyć i utopić. Ach! O wiele lepiej poradziłaby sobie Hester! Wykorzystałaby tę trybunę, aby wykrzyczeć swą nienawiść do społeczeństwa, a potem przekląć swoich oskarżycieli. Ja po prostu się bałam. Heroiczne myśli, jakie mi kiełkowały w domu lub w celi, rozwiewały się.

- Czy widziałaś, jak jejmość Good dręczyła Elizabeth Hubbard w zeszłą sobotę?
- O tak, widziałam. Rzuciła się na dziewczynkę jak wilk!
- Wróćmy do mężczyzny, którego widziałaś. Jak był ubrany?
- Na czarno. Był bardzo wysoki i miał siwe włosy, jak sądzę.
- A kobieta?
- Kobieta? Miała biały kaptur i czarny kaptur z kokardą. Tak właśnie była ubrana!
- A kogo teraz widzisz, jak dręczy dzieci? Splunęłam z rozkoszą i zjadliwością.
- Widzę Sarę Good.
- Czy jest sama?

Tu nie miałam serca posłuchać Samuela Parrisa i wydać niewinnych. Przypomniałam sobie o zaleceniach Hester i wyjąkałam:

- Teraz już nie widzę. Jestem ślepa!

Po przesłuchaniu przyszedł do mnie Samuel Parris.

- Dobrze mówiłaś, Titubo! Zrozumiałaś, czego od ciebie oczekiwaliśmy.

Nienawidzę siebie tak samo jak jego.

¹⁴ Te fragmenty pochodzą z zeznania Tituby. Oryginalne akta procesu są przechowywane w Archiwum Hrabstwa Essex. Jedna z kopii znajduje się w Essex County Court House w Salem, Massachusetts (przyp. aut.).

4

Nie byłam naocznym świadkiem zarazy, która dotknęła Salem, ponieważ po zeznaniu trzymano mnie zakutą w kajdany w stodole diakona Ingersolla.

Pani Parris szybko okazała skruchę. Przyszła do mnie i zapłakała:

- Titubo, co oni ci zrobili, tobie, najlepszej z istot?

Próbowałam wzruszyć ramionami, ale mi się to nie udawało, tak mocno byłam skrupowana więzami.

- Inaczej mówiłaś, pani, dwa tygodnie temu! - odparłam.

Rozszlochała się na dobre.

- Oszukano mnie, oszukano! Teraz widzę, co się za tym kryje. Tak: spisek Parrisa i jego zwolenników, którzy chcą zbrukać, zniszczyć...

Przerwałam jej, bo to mnie mało obchodziło, i spytałam wbrew woli:

- A Betsey?

Podniosła głowę.

- Wyrwałam ją z tego straszliwego korowodu i wysłałam do brata Samuela Parrisa, Stephena Sewalla, w mieście Salem. On jest inny niż Samuel. On jest dobry. Myślę, że przy nim nasza mała Betsey odzyska zdrowie. Przed wyjazdem zobowiązała mnie, by ci powiedzieć, że cię kocha i prosi o przebaczenie.

Nic nie odpowiedziałam. Następnie pani Parris poinformowała mnie o tym, co się działo w wiosce.

- Mogę to porównać tylko z chorobą, którą najpierw się bagatelizuje, ponieważ dotyka części ciała pozbawionych znaczenia...

Pozbawionych znaczenia?

To prawda, że byłam tylko czarną niewolnicą. Prawda, że Sara Good była żebraczką. A nawet że żyła w skrajnej nędzy i musiała trzymać się z daleka od domu spotkań, bo nie miała się w co ubrać. To prawda, że Sara Osborne zaszargała sobie reputację, przyjmując zbyt szybko do swojego wdowiego łóża irlandzkiego robotnika, który pomagał jej w prowadzeniu gospodarstwa. Ale mimo wszystko, gdy usłyszałam, że się nas tak bezwzględnie określa, serce mi się ścisnęło.

Nie domyślając się wcale, jakie uczucia we mnie budzi, pani Parris ciągnęła:

- ... po czym stopniowo atakuje członki i na rzędy niezbędne do życia. Nogi, ręce przestają funkcjonować. W końcu dotyka serca, a następnie mózgu. Martha Corey i Rebecca Nurse zostały zatrzymane!

Otworzyłam usta ze zdumienia. Pani Rebecca Nurse! To było niedorzeczne! Gdyby wiara w Boga mogła przybrać postać ludzką, przeistoczyłaby się właśnie w tę kobietę! Pani Parris podjęła:

- Wzruszyła samego sędziego Hathorne'a, to też w pierwszej instancji zapadł wyrok uniewinniający. Ale to chyba nie wystarczyło i zaprowadzono ją do miasta, gdzie stanie przed innym trybunałem.

Jej oczy napełniły się łzami.

- Moja biedna Titubo, to było okropne! Gdy byś widziała Abigail i Annę Putnam, zwłaszcza Annę Putnam, tarzające się po podłodze, wrzeszczące, że staruszka je torturuje, i błagające ją o litość, ogarnęłyby cię zwątpienie i zgroza! A ona, spokojna i pogodna, recytowała Psalm Dawidowy:

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć, przywraca mi życie¹⁵.

Słyszając o spustoszeniach, jakie czyni zło w Salem, zamartwiałam się o Johna Indiena.

W rzeczy samej oskarżone wspominały o „czarnym mężczyźnie”, który zmuszał je do pisania w swojej Księdze. Czy jakiś spaczony umysł nie będzie miał pokusy utożsamić go z Johnem Indieniem? I czy ów z kolei nie będzie prześladowany? Ta troska wydawała się zbyteczna. John Indien, z rzadka przekraczając próg stodoły, w której pojełkiwałam,

*

wyglądał w czystych i wyprasowanych ubraniach na człowieka zdrowego, dobrze odżywionego. Nosił nawet teraz porządny wełniany płaszcz, który opatulał go i ogrzewał jego ciało. Wtedy często przychodziły mi na pamięć słowa Hester: „Życie jest zbyt łaskawe dla mężczyzn, zarówno białych, jak czarnych!” Któregoś dnia zasypałam go pytaniami, a jego to najwyraźniej rozdrażniło.

- Ależ nie przejmuj się mną tak bardzo! Nalegałam, a on rzucił:

- Kiedy wejdiesz między wrony, musisz krakać jak i one!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Obrócił się wokół własnej osi i wbił we mnie wzrok. Och! Jakże się zmienił ten mój mężczyzna! Nigdy zbyt odważny, nigdy zbyt silny ani uczciwy, lecz kochający! Wyraz chytrych zniekształcił jego twarz, wydłużając niepokojąco oczy ku skroniom i zapalając w nich złośliwe, podstępne ogniki. Znów wybełkotałam:

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, moja udręczona żono, że nie jestem podobny do ciebie! Uważasz, że tylko Abigail, Annę Putnam i inne dziwki potrafią ryczeć, tarzając się, padać sztywno na ziemię i dyszeć: „Ach, szczypiasz mnie, boli! Zostaw mnie”?

Przez chwilę patrzyłam na niego, nie rozumiejąc. Potem nagle olśniła mnie niespodziewana myśl. Wszepetałam:

- Johnie Indienie! Ty też udajesz, że ktoś cię dręczy?

Pokiwał potakująco głową i rzekł napuszczonym tonem:

- Kilka dni temu dokonałem mojego największego wyczynu.

I zaczął kolejno odtwarzać role: sędziów i dziewcząt siedzących półkolem:

„ - Johnie Indienie, kto cię dręczy?

¹⁵ Psalm 23 (22), Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, 2002 (przyp. tłum.).

- Najpierw pani Proctor, a potem pani Cloyse.

- Co one ci robią?

- Przynoszą mi Księżę.

- Johnie Indienie, powiedz prawdę: kto cię dręczy?¹⁶

- Bo ten sędzia, ten Thomas Danforth, nie ufał mi i do nikogo z przesłuchiwanym przede mną nie miał tak mało zaufania! Wstrętny rasista!

Byłam zdruzgotana. Wstydziłam się. W końcu czego? Czy sama nie musiałam kłamać, żeby się uratować? A czy kłamstwo Johna Indiena było gorsze od mojego?

Jednakże daremnie sobie to powtarzałam; od tej chwili moje uczucie do Johna Indiena zaczęło się zmieniać. Miałam wrażenie, że sprzymierzył się z moimi oprawcami. Kto wie? Gdybym znalazła się na tym proscenium hańby jako przedmiot pogardy i zastraszenia, nękana przez tych ziejących nienawiścią sędziów, ogłuszona okrzykami moich rzekomych ofiar, czy nie byłby zdolny zawołać: „Ach, ach, Tituba mnie dręczy! Ach tak! Moja żona, moja żona jest czarownicą!”?

Czy John Indien uświadamiał sobie, co czuję? Czy miał jeszcze jakiś inny powód? W każdym razie przestał mnie odwiedzać. Zostałam odprawiona z powrotem do Ipswich i już go nie ujrzałam.

Nie będę opisywać całej trasy do więzienia. Mieszkańcy okolicznych wiosek: Topsfield, Beverley, Lynn, Malden, wylęgali na pobocza dróg, aby popatrzeć, jak się potykam, przywiązana do siodła wierzchowca, na którym jechał krzepki wachmistrz Herrick, i rzucali we mnie kamieniami.

Nagie drzewa przypominały drewniane krzyże, a moja kalwaria trwała bez końca. W miarę jak posuwałam się do przodu, coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej bolesne uczucie rozdzierało mi pierś.

Miałam wrażenie, że się rozpląwam w przestworzach.

Czułam, że w procesach czarownic z Salem, o których potomni wypiszą morze atramentu, które wzbudzą ciekawość oraz współczucie przyszłych pokoleń i których akta będą się jawić jako najbardziej autentyczne świadectwo ławowiernej i barbarzyńskiej epoki, moje nazwisko będzie się kojarzyło z niewiele znaczącą figurantką. Tu i ówdzie ktoś wspomni o niewolnicy pochodzącej z Antyli i prawdopodobnie uprawiającej wudu. Nikt nie zastanowi się nad moim wiekiem ani nad moją osobowością. Wszyscy będą mnie ignorować.

Pod koniec stulecia zaczną krążyć petycje i zapadną wyroki, na mocy których ofiary zostaną zrehabilitowane, a ich potomstwo odzyska majątki i godność. Ale ja nigdy nie będę wśród nich: Tituba jest potępiona na wieczne czasy!

Żadnej, żadnej rzetelnej i wnikliwej biografii odtwarzającej moje życie i moje udręki!

I właśnie ta przyszła niesprawiedliwość mnie oburzała! Okrutniejsza od śmierci!

Dotarliśmy do Ipswich w samą porę, żeby zobaczyć dyndające na sznurze ciało kobiety skazanej za jakąś zbrodnię. Zgromadzony tłum mówił, że to piękne i przykładowe widowisko.

¹⁶ Zeznanie Johna Indiena - Archiwum Hrabstwa Essex (przyp. aut.).

Gdy tylko znalazłam się w więzieniu, od razu poprosiłam, by mnie umieszczono w celi Hester. Ach! Jak dobrze przejrzała Johna Indiena! To był typek spod ciemnej gwiazdy, niezdolny do miłości i pozbawiony honoru. Oczy napełniły mi się łzami i jedynie Hester umiała mnie pocieszyć.

Ale strażnik, amator rumu, z nosem wetkniętym w swój rejestr, odpowiedział, że to niemożliwe. Nalegałam zdesperowana:

- Dlaczego, dlaczego, panie?

Przestał na chwilę bazgrać i spojrzął na mnie.

- To niemożliwe, ponieważ jej już tu nie ma.

Ostępiałam i zaczęły mi się nasuwać najbardziej fantastyczne przypuszczenia. Czy ją ułaskawiono? Czy jej mąż wrócił z Genewy i kazał ją wypuścić? Czy zaprowadzono ją do szpitala na poród? Bo przecież nie wiedziałam, od kiedy rósł jej brzuch, i być może nadeszła pora rozwiązania. Ledwo wykrztusiłam:

- Panie, zechciej mi powiedzieć, co się z nią stało, bo nie ma na tym padole zaciejszej duszy!

Strażnik wydał coś w rodzaju okrzyku:

- Zaciejszej? No cóż! Chociaż wydaje ci się taka zacna, w tej chwili jest potępiona, ponieważ powiesiła się w celi.

- Powiesiła?

- Tak, powiesiła!

Rycząc, wyważyłam drzwi wiodące do brzucha mojej matki. Wściekłym i rozpaczliwym ciosem pięści rozerwałam pęcherz płodowy. Ciężko dyszałam i dusiłam się w tym czarnym płynie. Chciałam się w nim utopić.

Powiesiła się? Hester, Hester, dlaczego na mnie nie poczekałaś?

Matko, czy nasza męka nigdy się nie skończy? Skoro tak się rzeczy mają, w ogóle nie przyjdę na świat. Pozostanę skulona w twoich wodach, głucha, niema, ślepa, przyplaszczona do ścianki macicy. Uczepię się jej tak mocno, że nigdy nie zdołasz mnie wydalić i spocznę w ziemi wraz z tobą, nie zaznawszy przekleństwa narodzin. Matko, pomóż mi!

Powiesiła się? Hester, odeszłabym razem z tobą!

Po długich dyskusjach przewieziono mnie do szpitala w mieście Salem, bo nie było takiej placówki w Ipswich. Z początku nie odróżniałam dnia od nocy. Zlewały się ze sobą w okowach bólu. Nadal trzymano mnie w kajdanach nie tyle z obawy, że targnę się na swoje życie - co wydawałoby się wszystkim najszcześniejszym wyjściem - ile że w przypiływie agresji poturbuję moich towarzyszy niedoli. Przychodził do mnie niejaki doktor Zerobabel, który studiował choroby umysłowe i miał nadzieję, że zostanie mianowany profesorem na uniwersytecie w Harvardzie. Polecił, by wypróbowano na mnie jedną z jego mikstur.

„Wziąć mleko kobiety, która karmi dziecko płci męskiej. Schwytać też kota i obciąć mu ucho lub część ucha. Krew powinna spływać do mleka. Dać do wypicia pacjentce tę mieszaninę. Powtarzać

zabieg trzy razy dziennie".

Czyżby kuracja poskutkowała? W końcu od niezwykłego podniecenia przeszłam w stan otępienia, który uznano za pierwszą oznakę powrotu do zdrowia. Otworzyłam oczy, dotąd uparcie zamknięte. Zgodziłam się przyjmować posiłki. Jednakże nie mogłam wymówić słowa.

Ponieważ koszty mojego utrzymania w szpitalu były zbyt wysokie i nie chciało ich już pokrywać miasto Salem, które się do mnie nie poczuwało, zostałam odesłana do więzienia. Spotkałam tam mnóstwo osób, których nie rozpoznałam, jak gdyby wszystko, co poprzedzało śmierć Hester, zatarło się w mojej pamięci.

Pewnego rana, nie bardzo wiem dlaczego, odzyskałam mowę i pamięć. Zainteresowałam się tym, co się działo wokół. Dowiedziałam się, że Sara Osborne zmarła w więzieniu, ale nie odczułam wcale żalu.

W tym okresie mojego życia wciąż brała mnie pokusa, by ze sobą skończyć. Wydawało mi się, że powinnam pójść za przykładem, jaki dała mi Hester. Niestety, nie miałam dość odwagi!

Do tej pory nie rozumiem, dlaczego mnie przeniesiono z więzienia w Ipswich do więzienia w Salem. Niegdyś miasto, przez które przejeżdżałam z Samuelem Parrisem i jego rodziną, wywarło na mnie raczej miłe wrażenie. Pobudowane na wąskim półwyspie, wciśniętym między dwie płynące leniwie rzeki, rywalizowało z Bostonem, a przy jego nabrzeżach cumowały liczne okręty. Jednakże i mój nastrój pozwalał mi to zauważyć - nad domami jakby wisiała chmura surowości i szarzyzny. Mineliśmy szkołę z dziedzińcem, na którym smętni chłopcy czekali, przywiązani do słupków, aż dostaną bity od swoich nauczycieli. Pośrodku Court Street wznosił się potężny gmach z kamieni sprowadzonych wielkim kosztem z Anglii. Wymierzano tam ludziom sprawiedliwość. Pod arkadami stał tłum kobiet, milczących i ponurych. Więzienie mieściło się w ciemnym budynku z bali, ze słomianą strzechą i drzwiami obitymi blachą.

Często myślę o dziecku Hester, a także o moim. O dzieciach nienarodzonych. Dzieciach, które dla ich dobra pozbawiłyśmy światła i słonawego posmaku słońca. Dzieciach, które ułaskawiłyśmy, lecz nad którymi mimo wszystko się lituję. Dziewczynki albo chłopcy, czy to ważne? Dla nich dwojga śpiewam starą balladę:

Kamień księżycowy wpadł do wody,

Do wody w rzece,

A moje palce nie mogły go wyłowić,

O, ja nieszczęśliwa!

Kamień księżycowy upadł.

Siedząc nad rzeką,

Płakałam i ubolewałam.

Och! Gładki i błyszczący kamieniu,

Lśniesz na dnie.

*Nadszedł myśliwy
Ze strzałami i kołczanem.
Czemu płaczesz, ślicznotko?
Płaczę, bo mój kamień księżycowy
Leży na dnie.
Jeśli tylko to cię martwi, ślicznotko, Pomogę ci.
Myśliwy zanurkował, ale się utopił.*

Hester, serce mi pęka!

Jakby chciano ze mnie zakpić, któregoś ranka wpuszczono do mojej celi dziewczynkę. Z początku moje oczy, zamglone cierpieniem, nie rozpoznały jej. Po czym pamięć mi wróciła. Dorcas Good! To była mała Dorcas, mniej więcej czteroletnia, która czepiała się brudnych spódnic matki, dopóki nie rozdzielił ich strażnik.

Kiedy oskarżyła ją zgraja małych dziwek, mężczyźni zakuli w kajdany ramionka, przeguby, kostki tej niewinnej istoty. Byłam zbyt pochłonięta własnym nieszczęściem, by zwracać uwagę na zgryzotę innych. Wszelako na widok tej dziewczynki łyzy nabiegły mi do oczu. Spojrzała na mnie i spytała:

- Czy wiesz, gdzie jest moja mama?

Musiałam się przyznać, że nie mam pojęcia. Czy już ją stracono? W więzieniu krążyła plotka, że wydała na świat drugie dziecko, chłopca, który jako potomek diabła, wrócił do piekła. Nie wiedziałam nic więcej.

Odtąd również i dla Dorcas, dziecka kobiety, która mnie tak paskudnie oskarżyła, śpiewałam moją ulubioną piosenkę: *Kamień księżycowy wpadł do wody...*

6

Zaraza pustosząca Salem bardzo szybko rozprzestrzeniła się na inne wioski, inne miasteczka. Po kolei Amesbury, Topsfield, Ipswich, Andover... puściły się w ten sam taniec. Żandarmi, podobni do psów gończych podnieconych zapachem krwi, uganiali się po wiejskich ścieżkach i drogach, ścigając tych, których zgraja małych, wszędobylskich dziwek nieustannie oskarżała. W więzieniu chodziły słuchy, że aresztowano mnóstwo dzieci i trzeba było stłoczyć je w budynku z okrągłaków wzniesionym naprędce i pokrytym słomą. W nocy harmider, jaki tam panował, zakłócał mieszkańcom sen. Wyciągnięto mnie z celi, aby zrobić miejsce dla oskarżonych, które mimo wszystko zasługiwały na dach nad głową, i od tej pory oglądałam z więziennego dziedzińca wózki odjeżdżające ze skazanymi. Niektóre kobiety trzymały się prosto, jak gdyby chciały rzucić wyzwanie swym sędziom. Inne, wręcz przeciwnie, jęczały z przerażenia i błagały jak dzieci, by darowano im jeszcze choć jeden dzień, choć jedną godzinę. Zobaczyłam Rebekę Nurse, wyruszającą w drogę do Gallows Hille. I przypomniałam sobie, jak kiedyś szepnęła do mnie drżącym głosem: „ Czy nie możesz mi pomóc, Titubo?”

Bardzo żałowałam, że jej nie posłuchałam, bo teraz jej wrogowie triumfowali. W więzieniu krążyły

plotki, że Houltonowie, żywiący do niej śmiertelną urazę, wylewali na nieszczęsną wiadra pomyj. Czepiała się prętów wozu i wbiła wzrok w niebo, jakby usiłowała coś zrozumieć.

Ujrzałam Sarę Good, a więc trzymano ją w innym budynku niż jej córkę. Wciąż jednak miała minę zaczepną i szyderczą. Popatrzyła na mnie, przywiązana jak zwierzę do palika, i rzuciła:

- Wiesz, wolę mój los od twojego!

Wróciłam do więzienia dopiero po dwudziestym drugim wrześniu.

Kamienna ława, na której się wyciągnęłam, wydała mi się najmniejszym piernatem i tej nocy śniła mi się Man Yaya w wieńcu z kwiatów magnolii na szyi. Powtórzyła swoją obietnicę: „Wyjdiesz żywa z tego wszystkiego”, a ja powstrzymałam się od pytania: „A po co?”

Nad naszymi głowami czas ciągnął się w nieskończoność.

To zaskakujące, że człowiek wcale nie chce się uznać za pokonanego!

W więzieniu zaczęły krążyć legendy. Szeptano, że dzieci Rebeki Nurse, które przyszły po zachodzie słońca wyciągnąć ciało matki z haniebnego dołu, do którego wrzucił je kat, znalazły zamiast zwłok białą pachnącą różę. Szeptano, że sędzia Noyes, który skazał Sarę Good, zmarł tajemniczą śmiercią, wykrwawiwszy się do cna. Mówiono o dziwnej chorobie, na którą zapadali krewni oskarżycieli i która wielu z nich wpędzała do grobu. Mówiono. Opowiadano. Ubarwiano. Słysząc było przeciągły szum słów, uporczywy i łagodny jak szum morskich fal.

Być może właśnie te słowa dodawały sił kobietom, mężczyznom i dzieciom. Pomagały toczyć kamień młyński ich życia. Jednakże pewne wydarzenie wywołało zamęt w umysłach. Chociaż już niemal przywykliśmy do widoku wózków odjeżdżających ze skazańcami, wiadomość, że Gilles Corey został zmiażdżony na śmierć, napęliła nas wyjątkową grozą. Nigdy nie darzyłam zbyt wielką sympatią Gillesa Coreya i jego żony, pani Marthy, zwłaszcza jej, ponieważ miała brzydki zwyczaj żegnania się wszędzie, gdziekolwiek mnie spotkała. Nie przejęłam się zbyt na wieść, że Gilles świadczył przeciw niej. Może mój John Indien też mnie zdradził, dołączając do obozu moich oskarżycielek?

Ale gdy usłyszeliśmy, że ten starzec z oskarżyciela stał się oskarżonym, że przewrócono go na wznak na jakimś polu, a sędziowie kazali ładować na jego piersi coraz cięższe odłamki skał, zwątpiliśmy w człowieczeństwo tych, co nas skazywali. Gdzie był Szatan? Czy nie ukrywał się w fałdach sędziowskich tóg? Czy nie przemawiał głosem prawników i duchownych?

Mówiono, że Gilles otworzył usta tylko po to, by domagać się coraz cięższych kamieni: chciał w ten sposób przyspieszyć swój koniec, skracać cierpienia. Wkrótce więźniowie zaczęli śpiewać:

Coreyu, och, Coreyu,

Dla ciebie kamienie nic nie ważą,

Dla ciebie kamienie

To piórka na wietrze.

Drugim wydarzeniem, które przewyższyło okropnością pierwsze, było aresztowanie George'a

Burrougha. Jak już powiedziałam, George Burrough był pastorem w Salem przed Samuelem Parrisem i tak samo jak on musiał się dobrze nabiedzić, by respektowano warunki jego umowy. To jedna z żon pastora położyła się do łóżka w którymś pokoju naszego domu, a jej dusza wyruszyła w ostatnią podróż. Wieść, że ten sługa Boży może zostać oskarżony o zażyłe stosunki z Szatanem, wywołała w więzieniu wielką konsternację.

Bóg, ten Bóg, którego tak umiłowali, że porzucili dla niego Anglię, jej łąki i lasy, odwracał się do nich plecami.

Tymczasem na początku października dowiedzieliśmy się, że gubernator kolonii Phips wysłał do Londynu pismo z zapytaniem, jak ma postępować w kwestii procesów o czary. Wkrótce potem usłyszeliśmy, że sąd Oyer and Terminer¹⁷ nie zbierze się więcej i że zostanie powołany inny trybunał, którego członkowie będą mniej podejrzani o konszachty z krewnymi oskarżycielek. Muszę powiedzieć, że to wszystko wcale mnie nie dotyczyło. Wiedziałam, że ja jestem skazana na dożywocie!

7

Życzę przyszłym pokoleniom, aby żyły w czasach, gdy państwo będzie opiekuńcze i będzie się starało zapewnić dobrobyt swoim obywatelom.

W roku 1692, w chwili gdy dzieje się ta historia, wcale tak nie było. Zarówno w szpitalu, jak w więzieniu nie przebywało się na koszt państwa. Każdy musiał, niewinny czy winny, łożyć na swoje utrzymanie i płacić za kajdany.

Oskarżeni byli przeważnie ludźmi zamożnymi, właścicielami gruntów i gospodarstw, które można było wpisać na hipotekę. Toteż bez trudu spełniali wymagania kolonii. Ponieważ Samuel Parris bardzo szybko dał do zrozumienia, że nie zamierza wykładać na mnie żadnych pieniędzy, naczelnik więzienia wpadł na pomysł, żeby przynajmniej częściowo odzyskać wyłożone sumy: postanowił zatrudnić mnie w kuchni.

Najbardziej zepsuta żywność jest zawsze zbyt dobra dla skazańca. Na więzienne podwórze przywożono wózkami jarzyny, których słodkawy zapaszek nieomylnie wskazywał na ich stan. Poczerniałe, robaczywe główki kapusty, zielonkawe marchewki, obficie kiełkujące bataty, robaczywe kolby kukurydzy, kupione za bezcen u Indian. Raz na tydzień, w szabat, okazywano więźniom łaskawość, dając im mocno rozwodniony wywar z kości wołowej i kilka wysuszonych jabłuszek. Przygotowywałam te żałosne potrawy, mimowolnie wspominając dawne przepisy. Gotowanie ma tę zaletę, że umysł pozostaje swobodny, podczas gdy ręce, pełne inwencji, która jest im właściwa i którą przejawiają tylko one, wykonują różne czynności. Kroiłam te wszystkie zgniłe odpadki, przyprawiałam je gałązką mięty wyrosłej ni stąd, ni zowąd między dwoma kamieniami. Dorzucałam to, co udało mi się

¹⁷ Sąd pierwszej instancji, a właściwie komisja, której sesje miały na celu naświetlenie sprawy, a nie wydanie wyroku (przyp. tłum.).

wydobyć ze śmierdzącego pęczka cebuli. Doszłam do perfekcji w pieczeniu ciast, które chociaż twarde, były jednak smakowite.

Jak się zdobywa renomę? Wkrótce, o dziwo, zyskałam opinię doskonałej kucharki. Odtąd najmowano mnie do urządzania wesel i bankietów.

Stałam się znaną postacią, przemierzającą ulice Salem, wchodzącą tylnymi drzwiami do domów i rezydencji. Gdy szłam, poprzedzana brzękiem łańcuchów, kobiety, dzieci wyskakiwały na próg, aby mi się przyjrzeć. Ale rzadko słyszałam kpiny lub obelgi. Budziłam przede wszystkim współczucie.

Zazwyczaj dochodziłam aż do morza, prawie niewidocznego między kadłubami brygów, szkunerów i różnych innych statków.

To morze mnie wyleczyło.

Czułam jego wielką wilgotną dłoń na moim czole. Jego opar w nozdrzach. Jego gorzką esencję na wargach. Stopniowo sklejałam kawałki mojego jestestwa. Stopniowo odzyskiwałam nadzieję. Na co? Nie wiedziałam dokładnie. Ale rodziło się we mnie jakieś przeczucie, łagodne i nikłe jak zorza poranna. Z więziennych pogłosek dowiedziałam się, że John Indien stanął w pierwszym szeregu oskarżycieli, że towarzyszył utrapionym dziewczynkom, krzycząc równie głośno jak one, wijąc się w takich samych konwulsjach, denuncjując głośniejsze i skwapliwiejsze od nich. Dowiedziałam się, że na moście w Ipswich to właśnie on, szybciej niż Annę Putnam czy Abigail, wykrył czarownicę pod łachmanami jakiejś żebraczki. Mówiono nawet, że rozpoznał Szatana w postaci niegroźnej chmurki nad skazańcami.

Czy cierpiałam, słysząc to wszystko?

W maju 1693 roku gubernator Phips, za zgodą Londynu, ogłosił powszechne uniewinnienie, i bramy więzień otworzyły się przed oskarżonymi z Salem. Ojcowie odnaleźli swoje dzieci, mężowie - żony, matki - córki. A ja nikogo nie odnalazłam. Ta amnestia niczego nie zmieniała. Nikt nie przejmował się moim losem.

Przyszedł do mnie Noyes, naczelnik więzienia:

- Wiesz, ile jesteś winna kolonii? Wzruszyłam ramionami.

- Skąd mam wiedzieć?

- Wszystko zostało obliczone! Zaczął wertować jakąś książkę.

- Spójrz, tutaj! Siedemnaście miesięcy więzienia: dwa szylingi sześć pensów na tydzień. Kto mi zapłaci?

Udałam głupią i sama z kolei spytałam: - I co teraz zrobimy? Zamruczał pod nosem:

- Poszukamy kogoś, kto uiści należne sumy i weźmie cię na służbę!

Zaśmiałam się niezbyt radośnie.

- Kto będzie chciał kupić czarownicę?

Na jego ustach pojawił się cyniczny uśmiezek.

- Jakiś człowiek w kiepskiej sytuacji finansowej. Wiesz, za ile sprzedaje się teraz Murzyna? Za

dwadzieścia pięć funtów!

Na tym rozmowa się urwała, ale odtąd wiedziałam, jaki los mnie czeka. Nowy pan. Nowa niewola.

Zaczynałam poważnie wątpić w niezachwiane przekonanie Man Yai, zgodnie z którym życie jest darem. Życie byłoby darem tylko wtedy, gdyby każdy mógł wybrać brzuch, który będzie go nosił. Otóż dostać się do łona nędznicy, egoistki, dziwki, która zemści się na tobie za własne rozczarowania życiowe, przynależać do rzeszy wykorzystywanych, upokarzanych, do tych, którym narzuca się nazwisko, język, wierzenia, ach, co za męka!

Jeśli mam się kiedyś narodzić po raz drugi, to koniecznie w stalowej zbroi zdobywców! Od czasu tej rozmowy z Noyesem codziennie przychodzili mnie oglądać jacyś nieznajomi. Kontrolowali moje dziąsła i zęby. Obmacywali brzuch i piersi. Poddzierali moje łąchmany, żeby ocenić nogi. Potem krzywili się.

- Jest strasznie chuda!

- Mówisz, że ma dwadzieścia pięć lat! Wygląda na pięćdziesiąt!

- Nie podoba mi się kolor jej skóry! Któregoś popołudnia przypadłam do gustu pewnemu mężczyźnie. Mój Boże, jakiemu mężczyźnie! Małemu, o plecach zniekształconych garbem, który wystawał na wysokości lewej łopatki, cerze koloru bakłażana i twarzy ginącej w gąszczu rudych baków, które łączyły się z bródką przyciętą w szpic. Noyes szepnął do mnie z pogardą:

- To Żyd, kupiec, który podobno jest bardzo bogaty. Mógłby sobie zafundować cały transport drewna hebanowego, a on się targuje o szubienicznice!

Zbagatelizowałam wszystko, co było dla mnie obraźliwe w tych słowach. Kupiec? Który prawdopodobnie utrzymywał kontakty z Antylami? Z Barbadosem?

Od razu spojrzałam na tego Żyda oczami pełnymi zachwytu, jakby szpetotę zastąpiła najbardziej okazała aparycja. Czyż nie uosabiał możliwości, o której marzyłam?

Byłam jak odmieniona, a w moim wzroku odmalowały się tak wielka nadzieja, tak wielkie pragnienie, że Żyd, który z pewnością niewłaściwie je odczytał, umknął, kuśtykając. Dopiero wtedy zauważyłam, że ma prawą nogę krótszą od lewej.

Noc, noc piękniejsza od dnia! Noc przynosząca sny! Noc, główne miejsce spotkań, gdzie terażniejszość bierze za rękę przeszłość, gdzie żywi i martwi mieszają się ze sobą!

W celi - w której pozostały tylko biedna Sara Daston, za stara, zbyt uboga, skazana z pewnością na dokonanie żywota w tych murach, Mary Watkins, czekająca na ewentualnego pana, i ja, której nikt nie chciał - udało mi się skupić i pomodlić do Man Yai, a także do mojej matki Abeny. Niech ich połączone moce sprawią, że wpadnę w ręce tego kupca. Jego wzrok mówił, że on również zna krainę cierpień i że w pewien sposób, którego nie umiałam sprecyzować, stoimy po tej samej stronie barykady.

Barbados!

W okresie największego zamętu, a potem otumaniona przez chorobę, wcale nie myślałam o rodzinnej ziemi. Ale gdy tylko prowizorycznie posklejałam kawałki mojego jestestwa, znów nawiedziło

mnie jej wspomnienie.

Jednakże nowiny, jakie stamtąd dochodziły, nie były pomyślne. Cierpienie i upokorzenie zadomowiły się tam na dobre. Nędzne stado Murzynów nieustannie obracało koło nieszczęścia. Zmiażdż, młynie, razem z trzcina, moje przedramię, i niech moja krew zabarwi słodki sok!

Ale to nie było wszystko!

Codziennie inne wyspy wokół Barbadosu budziły apetyt białych i dowiadywałam się, że teraz w koloniach Ameryki Południowej nasze ręce tkają długie bawełniane całuny.

Tej nocy miałam sen.

Mój statek wpływał do portu z żaglem wydętym całą moją niecierpliwością. Stałam na nabrzeżu i patrzyłam, jak pociągnięty smołą kadłub pruje wodę. U stóp jednego z masztów dostrzegłam czyjąś sylwetkę, ale nie mogłam jej rozpoznać. Wiedziałam tylko, że przynosi mi radość i szczęście. Kiedy nadejdzie dla mnie czas wytchnienia? Nie mogłam odgadnąć. Wiedziałam, że los jest jak starzec. Drepcze drobnymi kroczkami. Staje, żeby nabrać tchu. Rusza dalej. Znów się zatrzymuje. W porę dobija do celu. Miałam jednak absolutną pewność, że najczarniejsze godziny już minęły i że wkrótce będę mogła odetchnąć.

Tej nocy Hester położyła się koło mnie, tak jak robiła to niekiedy w rzeczywistości. Oparłam głowę o jej policzek, kojący jak nenufar, i przytuliłam się do niej.

Powoli zaczęło mnie ogarniać uczucie przyjemności, co mnie zdziwiło. Czy można doznawać przyjemności, przytulając się do ciała przypominającego własne? Przyjemność miała dla mnie zawsze kształt innego ciała, którego zagłębienia odpowiadały moim wypukłościom i którego wzgórki mościły się na miękkich równinach mojego ciała. Czy Hester wskazywała mi drogę do innej rozkoszy?

Trzy dni później Noyes otworzył drzwi mojej celi. Za nim, w jego cieniu, kulił się Żyd, bardziej rudy i kulawy niż przedtem. Noyes wypchnął mnie na dziedziniec więzienny, a tam kowal, barczysty mężczyzna w skórzanym fartuchu, bez ceregieli rozchylił mi nogi i wsadził między nie pieniek. Po czym niesłychanie zręcznym uderzeniem młotka rozkuł kajdany. Powtórzył tę operację z nadgarstkami, podczas gdy ja wrzeszczałam.

Wrzeszczałam, krew bowiem, która przez wiele tygodni nie napływała do moich kończyn, teraz znów je zalewała, wbijając pod skórę tysiące żądeł, tysiące rozżarzonych szpikulców.

Wrzeszczałam, a ten wrzask, niczym krzyk przerażonego noworodka, powitał mój powrót do świata. Musiałam się ponownie nauczyć chodzić. Bez łańcuchów traciłam równowagę i chwiałam się jak kobieta zamroczona alkoholem. Musiałam się ponownie nauczyć mówić, porozumiewać z moimi bliźnimi, nie zadowolając się rzadkimi monosylabami. Musiałam się ponownie nauczyć patrzeć w oczy moim rozmówcom. Musiałam się nauczyć czesać niesforne włosy, gniazdo węży wokół mojej głowy. Musiałam nacierać maścią suchą i popękaną, jakby źle wyprawioną skórę.

Niewielu osobników ma takiego pecha: urodzić się dwukrotnie.

8

Benjamin Cohen d'Azevedo, Żyd, który mnie właśnie kupił, stracił żonę i najmłodsze dzieci podczas epidemii koklusz. Pozostało mu jednak pięć córek i czterech synów, którzy pilnie potrzebowali kobiecej ręki. Ponieważ nie zamierzał ożenić się powtórnie, jak to czynili w takim przypadku wszyscy mężczyźni w kolonii, wolał skorzystać z usług niewolnicy.

Stałam więc w obliczu prawie dziesięciorga dzieci różnego wzrostu. Miały włosy już to kruczoczarne, już to rude, jak u ich ojca, a wspólną cechą wszystkich była nieznajomość angielskiego. W istocie rodzina Benjamina pochodziła z Portugalii, z której uciekła w czasie prześladowań religijnych, i schroniła się w Holandii. Stamtąd jedna gałąź wyjechała do Brazylii, ściślej mówiąc do Recife, aby wypróbować swoje możliwości, i znów musiała uchodzić, gdy miasto zostało odbite przez Portugalczyków. Następnie podzieliła się. Przy czym jeden klan osiedlił się w Curacao, drugi zaś szukał szczęścia w koloniach Ameryki. A owa nieznajomość angielskiego, owa nieustanna paplanina po hebrajsku lub portugalsku świadczyła dobitnie, jak dalece rodzina ta była obojętna na wszystko, co nie dotyczyło jej własnego nieszczęścia i niepowodzeń Żydów na całym globie. Zastanawiam się, czy Benjamin Cohen d'Azevedo był poinformowany o procesach czarownic z Salem i czy nie wszedł do więzienia w zupełnej nieświadomości. W każdym razie, jeśli orientował się w tej smutnej sprawie, składał ją na karb wrodzonego okrucieństwa, jakim w jego mniemaniu odznaczyli się ci, których Żydzi nazywali gojami, toteż mnie całkowicie rozgrzeszał. A to znaczy, że w pewnym sensie nie mogłam lepiej trafić.

Jedynymi gośćmi, którzy ukradkiem wślizgiwali się do domu Benjamina Cohena d'Azevedo, było z pół tuzina innych Żydów przychodzących odprawiać z nim sobotnie obrzędy. Dowiedziałam się, że próbowali uzyskać zgodę na wzniesienie synagogi, ale im odmówiono. Cisnęli się więc w jednej izbie obszernego domostwa przy siedmioramiennych świecznikach, w których płonęły świece, i monotonicznie wypowiadali tajemnicze słowa. W przeddzień nie należało zapalać światła i dlatego gromadka dzieci jadła, myła się, kładła spać w najgłębszych ciemnościach.

Benjamin Cohen d'Azevedo miał kontakty korespondencyjne i handlowe z innymi Cohenami, Leyymi lub Frazierami, którzy mieszkali w Nowym Jorku (uparcie nazywając go Nowym Amsterdamem!) lub na Rhode Island. Zarabiał na dostatnie życie, prowadząc handel tytoniem, i do spółki ze swym współwyznawcą i przyjacielem, Juda Monisem, miał dwa statki, które pływały po morzu. Mój nowy pan, który z pewnością dorobił się pokaźnego majątku, był zupełnie pozbawiony próżności, sam sobie szył odzież z kuponów materiału przysyłanych z Nowego Jorku, żywił się chlebem bez soli i kaszą. Nazajutrz po przyjęciu mnie na służbę podał mi płaski flakonik i powiedział ochryple:

- Ten mocny lek sporządziła moja świętej pa mięci żona Abigail. Na pewno postawi cię na nogi.

Po czym oddalił się ze spuszczonego wzrokiem, jakby się wstydził swej dobroci. Tego samego dnia

przyniósł mi dość dziwaczne w kroju ubrania z ciemnego sukna.

- Weź je, należały do nieboszczki Abigail. Wiem, że tam, gdzie jest, ucieszysz się, jak będziesz je nosić.

To dzięki jego zmarłej żonie zbliżyliśmy się do siebie. Zaczęła ona osnuwać nas pajęczyną drobnych uprzejmości, drobnych przysług, drobnych znaków wdzięczności. Benjamin dzielił między Metahebel, swoją najstarszą córkę, i mnie pomarańczę sprowadzoną z wysp, zapraszał mnie do wypicia z jego przyjaciółmi kieliszka grzanego porto i okrywał moje ramiona dodatkową kołdrą, gdy nocą w mansardzie robiło się zbyt zimno. Ja natomiast starannie prasowałam jego szorstkie koszule, czyściłam szczotką wyświechtany chałat, dodawałam mu miodu do mleka. W pierwszą rocznicę śmierci jego towarzyszkii ujrzałam go tak zdesperowanego, że nie wytrzymałam i podeszłam, mówiąc łagodnie:

- Czy wiesz, że śmierć to tylko przejście do innego świata, którego brama jest szeroko otwarta?

Popatrzył na mnie niedowierzająco. Ośmieliłam się i szepnęłam:

- Czy chcesz z nią pomówić? Wybałuszył oczy. A ja mu poleciłam:

- Dziś wieczór, gdy dzieci zasną, przyjdź do mnie do sadu, pod jabłonie. Postaraj się o barana albo w ostateczności o jakąś sztukę drobiu u twojego przyjaciela, szoheta¹⁸.

Wyznaję, że jednocześnie, mimo pozornej pewności siebie, czułam się nieswojo. Od tak dawna nie uprawiałam mojej sztuki! W ciasnocie więzienia, wśród towarzyszek niedoli, pozbawiona wszelkich elementów naturalnych, które by mi służyły pomocą, nigdy nie zdołałam się skontaktować z moimi duchami inaczej niż we śnie. Regularnie odwiedzała mnie Hester. Rzadziej Man Yaya, moja matka Abena i Yao. Ale tu Abigail nie musiała przekraczać wody. Była w pobliżu, nie wątpiłam w to, niezdolna oddalić się od męża, a zwłaszcza od ukochanych dzieci. Kilka modlitw i ofiara złożona według ustalonego rytuału wystarczą, by się ukazała. A biedne serce Benjaminu będzie skakało z radości.

Okolo dziesiątej Benjamin przyszedł pod kwitnące drzewo. Ciągnął barana o nieskazitelnym runie i pięknych, pełnych rezygnacji oczach. Ja zaś zaczęłam odmawiać zaklęcia i czekałam, aż księżyc, jeszcze ospały, odegra swoją rolę w ceremoniale.

W decydującej chwili ogarnął mnie łęk, lecz czyjeś wargi spoczęły na mojej szyi i wiedziałam, że to jest Hester, która chce mi dodać odwagi.

Krew polała się na ziemię, dławiąc nas swą cierpką wonią.

Po pewnym czasie, który zdawał się wlec w nieskończoność, poruszyła się jakaś postać: przydreptała do nas niepozorna kobieta o bardzo jasnej karnacji i bardzo czarnych włosach. Benjamin upadł na kolana.

Oddaliłam się dyskretnie. Rozmowa między małżonkami trwała długo.

¹⁸ Szohet (hebr.) - rzeźnik: rzeźnik dokonujący rytualnego uboju (przyp. tłum.).

Od tej pory co tydzień pozwalałam Benjaminowi Cohenowi d'Azevedo widywać się z tą, którą utracił i którą tak rozpaczliwie opłakiwał. Odbywało się to przeważnie w niedzielę wieczorem, gdy ostatni przyjaciele, którzy przyszedli podzielić się nowinami o Żydach rozproszonych po świecie, wrócili do domu, odczytawszy jakiś werset z ich Świętej Księgi. Benjamin i Abigail rozmawiali, jak sądzę, o interesach, o wychowaniu dzieci, o kłopotach, jakie sprawiały, zwłaszcza najmłodszy, Moses, który się zadawał z gojami i chciał się posługiwać ich językiem. Mówię: „jak sądzę”, bo ta konwersacja toczyła się po hebrajsku, a ja słuchałam, trochę zaniepokojona, mrocznych dźwięków tego szwargotu.

Po upływie miesiąca Benjamin spytał, czy się zgodzę, aby zabierał na te spotkania córkę Metahebel.

- Nie wyobrażasz sobie, jak przeżyła śmierć matki. Była między nimi różnica tylko siedemnastu lat, więc Metahebel darzyła Abigail uczuciem siostrzanym. Ostatnio nawet myliłem je, zaślepiony miłością. Tak samo się śmiały, miały takie same ciemne warkocze upięte dookoła głowy, a ich bardzo blada skóra wydzielala taki sam zapach. Titubo, czasem zdarza mi się wątpić w istnienie Boga, gdy widzę, jak rozdziela dziecko z matką! Wątpić w istnienie Boga! Przyznasz, że nie jestem porządnym żydem!

Czy miałabym serce mu odmówić?

Tym bardziej że Metahebel była moją ulubienicą wśród gromadki dzieci. Taka dbająca o innych. Taka łagodna, że drżałam na myśl, co życie, kapryśne i jędzowate, może z nią zrobić. Znała trochę angielski i pytała mnie:

- Skąd te wszystkie chmury na twoim czole, Titubo? O czym myślisz? O twoich współbraciach, którzy są w niewoli? Czy nie wiesz, że Bóg błogo sławi cierpiących i w ten sposób rozpoznaje swoich wyznawców?

Ale mnie nie zadowalało to kredo i potrząsałam głową.

- Metahebel, czy nie czas, aby ofiary przeszły do innego obozu?

Odtąd drżeliśmy w ogrodzie we troje, czekając na pojawienie się Abigail. Najpierw rozmawiali ze sobą małżonkowie. Potem córka podchodziła do matki. Zostawały same.

Dlaczego każdy związek między mężczyzną a kobietą, odrobinę zabarwiony uczuciem, musi się skonkretyzować w łóżku? Nie mogę się nadziwić.

W jaki sposób Benjamin Cohen d'Azevedo i ja - on wciąż żyjący wspomnieniami o zmarłej, ja o niewdzięczniku - znaleźliśmy się na etapie pieszczot, uścisków, rozkoszy dawanej i otrzymywanej?

Myślę, że po raz pierwszy, gdy się nam to przydarzyło, on był bardziej zaskoczony ode mnie, uważał bowiem, że jego członek to narzędzie nie nadające się już do użytku, i dziwił się, czując, jak się rozpala, sztywnieje, gotowy do penetracji, nabrzmiały ożywym sokiem. Był zaskoczony i bardzo zawstydzony, bo przecież uczył swych synów, jak obrzydliwy jest grzech spółkowania. Odsunął się więc ode mnie, mamrocząc słowa przeprosin, które zagłuszył następny przyływ pożądania.

Od tej pory znajdowałam się w dwuznaczej sytuacji, będąc zarazem kochanką i służącą. W ciągu dnia bez przerwy się krzątałam. Trzeba było czesać wełnę, prząść, budzić dzieci, pomagać im się

umyc i ubrać. Trzeba było wyrabiać mydło, prać, prasować, farbować, tkać, cerować odzież, pościel, koce, a nawet żelować buty, nie wspominając już o łożu, który musiałam topić na świecach, o zwierzętach, które należało nakarmić, i o mieszkaniu, w którym trzeba było utrzymywać porządek. Z powodów natury religijnej nie przygotowywałam posiłków. Wyręczała mnie w tym Metahebel i ubolewałam, że jej młodość upływa na pracach domowych.

Wieczorem Benjamin Cohen d'Azevedo przychodził do mansardy, gdzie spałam w łóżku z miedzianymi prętami. Muszę wyznać, że w momencie gdy się rozbierał i gdy widziałam jego woskowe i koślawe ciało, nie mogłam się powstrzymać od myślenia o umięśnionym i ciemnym ciele Johna Indiena. Żal ścisnął mi gardło i z trudem tłumiłam łkanie. Na szczęście szybko to mijało i z moim ułomnym kochankiem równie dobrze dryfowałam po morzu rozkoszy. Jednakże najśodsze chwile spędzaliśmy na pogawędkach. O nas, tylko o nas.

- Titubo, czy ty wiesz, co to znaczy być Żydem? Już w roku 629 francuscy Merowingowie skazali nas na wygnanie ze swego królestwa. Po czwartym soborze zwołanym przez papieża Innocentego III Żydzi musieli nosić okrągły znak na ubraniu i nakrywać głowę. Ryszard Lwie Serce, zanim wyruszył na krucjatę, przypuścił generalny szturm na Żydów. Wiesz, ilu z nas straciło życie w czasach inkwizycji?

Nie pozostawałam mu dłużna i przerywałam:

- A my? Czy wiesz, ilu z nas wykrwawia się w drodze z wybrzeży Afryki?

Ale on ciągnął:

- W roku 1298 Żydzi z Rottingen zostali wycięci w pień, a fala morderstw ogarnęła Bawarię i Austrię... W 1336 przelewaliśmy krew od Renu po Czechy i Morawy!

Zwyciężał na wszystkich frontach. Pewnej nocy, gdy dryfowaliśmy gwałtowniej niż zwykle, Benjamin szepnął namiętnie:

- Zawsze w głębi twoich oczu czai się jakiś cień, Titubo. Co mógłbym ci dać, abyś była całkowicie lub prawie szczęśliwa?

- Wolność!

Słowa te wyleciały mi z ust, gdyż nie mogłam się opanować. Spojrzał na mnie poruszony.

- Wolność! A na co ci ona?

- Wsiądę na jeden z twoich okrętów i od razu popłynę na mój Barbados.

Rysy mu się zaostrzyły i ledwo go rozpoznawałam.

- Nigdy, nigdy, słyszysz, bo jeśli odejdziesz, stracę Abigail po raz drugi. Nigdy więcej mi o tym nie mów.

I już o tym nie wspomnieliśmy. Rozmówki na poduszce są równie ulotne jak sny i mają tę właściwość, że łatwo się o nich zapomina. Powróciliśmy do zwykłego trybu życia. Stopniowo wrosłam w tę żydowską rodzinę. Nauczyłam się trochę mówić po portugalsku. Pasjonowały mnie sprawy naturalizacji i złościłam się, gdy małostkowość gubernatora ją utrudniała, a nawet uniemożliwiała.

Pasjonowała mnie budowa synagogi i zaczęłam uważać Rogera Williama za umysł liberalny i postępowy, za prawdziwego przyjaciela Żydów. Tak doszło do tego, że podobnie jak Cohen d'Azevedo dzieliłam świat na dwa obozy: przyjaciół Żydów i innych, i oceniałam szanse współplemieńców Benjamina na urządzenie się w Nowym Świecie.

Tymczasem któregoś popołudnia oprzytomniałam. Zaniósłam właśnie koszyk z suszonymi jabłkami żonie Jacoba Markusa, która powiła czwartą córkę, i maszerowałam żwawo, walcząc z zimnem, wietrzną Front Street, gdy usłyszałam, że ktoś woła mnie po imieniu:

- Titubo!

Miałam przed sobą młodą Murzynkę, której twarz z początku nic mi nie mówiła. W tym okresie żyła w mieście Salem, podobnie jak w Bostonie i w całej Bay Colony, duża liczba czarnych, używanych do tysiąca niewdzięcznych posług i niezwracających niczyjej uwagi. Ponieważ się wahałam, młoda dziewczyna wykrzyknęła:

- To ja, Mary Black! Czy o mnie zapomniałaś? Pamięć mi wróciła.

Mary Black była niewolnicą Nathaniela Putnama. Oskarżona podobnie jak ja przez klan małych dziwek o uprawianie czarów, została wtrącona do więzienia w Bostonie i nie wiedziałam, co się z nią stało.

- Mary!

Natychmiast przygniótł mnie ciężar bólu i upokorzeń doświadczonych w przeszłości. Przez chwilę szlochałyśmy, obejmując się. Potem spłynął do mojego ucha potok nowin:

- No tak! Dopiero teraz wychodzi na jaw wstrętna intryga! Dziewczynki były manipulowane przez swoich rodziców. W grę wchodziły ziemie, duże pieniądze, stare rywalizacje. Teraz wiatr zmienił kierunek i ludzie chcą przepędzić z wioski Samuela Parrisa, ale on się nie daje. Domaga się wypłaty zaległych pensji i drewna na opał, którego mu nie dostarczono. Wiesz, że jego żona urodziła syna?

Nie chciałam w ogóle słuchać tego wszystkiego i przerwałam jej.

- A ty? Co się z tobą dzieje? Wzruszyła ramionami.

- Jestem u Nathaniela Putnama. Wziął mnie z powrotem do siebie po amnestii gubernatora Phipsa. Pokłócił się ze swoim kuzynem Thomasem. Czy wiesz, że doktor Griggs mówi teraz, że Mary Putnam i jej córka Annę nie były przy zdrowych zmysłach?

Za późno! Za późno! Zawsze za późno dowiadujemy się prawdy, albowiem wychodzi na wierzch wolniej niż kłamstwo. Prawda posuwa się żółwim krokiem! Cisnęło mi się na usta jedno pytanie, którego dotąd nie odważyłam się zadać. W końcu nie wytrzymałam.

- A John Indien? Co się z nim stało? Zawahała się, ja zaś powtórzyłam pytanie z większym naciskiem.

- Nie mieszka już w wiosce - odrzekła krótko. Zbiło mnie to z tropu.

- No więc gdzie jest?

- W Topsfield!

W Topsfield? Chwyciłam biedną Mary za ramię, nie uświadamiając sobie, że wbijam paznokcie w jej niewinne ciało.

- Mary, na miłość boską, powiedz mi, co się z nim dzieje! Co on robi w Topsfield?

Zrezygnowana, spojrzała mi prosto w oczy.

- Czy przypominasz sobie panią Sarę Porter?

Nie lepiej niż inne! Chudzina, która nie podnosiła oczu znad książeczki do nabożeństwa w domu spotkań!

- Otóż zaczął u niej pracować, a kiedy jej mąż spadł z dachu i się zabił, wlaź do jej łóżka. Wywołało to taki skandal, że musieli się wynieść ze wsi.

Wyglądałam chyba nieszczęśliwie, bo dodała pocieszającym tonem:

- Podobno wcale się ze sobą nie zgadzają. Nie wysłuchałam jej do końca. Wydawało mi się, że oszaleję, a w uszach brzmiały mi słowa Hester: - „Życie jest zbyt łaskawe dla mężczyzn, zarówno białych, jak czarnych!”

Szubienicznica, nadwerężałam siły w niewoli, podczas gdy mój mężczyzna w skórzanych butach stąpił z triumfującą miną po swej nowej ziemi i oceniał swój majątek. Albowiem ta Porter była bogata, teraz sobie przypominałam. Figurowała razem z nieboszczykiem mężem na liście tych, co płacili najwyższe podatki.

Przyspieszyłam kroku, bo wiatr się nasilił, przenikając przez ubrania, które dał mi Benjamin Cohen i które zachowały słodki, uporczywy zapach zmarłej.

Przyspieszyłam kroku, gdyż uświadomiłam sobie również, że mam już tylko jedno schronienie: domostwo przy Essex Street.

Dotarłam tam akurat w porze minchy¹⁹. Dzieci, otoczywszy ojca, wypowiadały słowa, z którymi się w końcu oswoiłam:

„Szma Izrael: Adonaj Elohenu Ehad”.

Pognałam do mojej mansardy i pograżyłam się w bólu.

9

Tymczasem z moim bólem stało się to samo, co z wszystkim innym: ustąpił, i dzięki temu przez cztery miesiące zaznawałam spokoju, nie śmiem powiedzieć szczęścia, u boku Benjamin Cohena d'Azevedo.

Nocą szeptał mi:

- Nasz Bóg nie wie, co to rasa ani kolor skóry. Możesz, jeśli chcesz, przystać do nas i modlić się z nami.

Przerywałam mu ze śmiechem:

¹⁹ Mincha (hebr.) - modły popołudniowe (przyp. tłum.).

- Twój Bóg uznaje nawet czarownice? Całował mnie po rękach.

- Titubo, ty jesteś moją ukochaną czarownicą! A jednak chwilami znów ogarniał mnie strach.

Wiedziałam, że nieszczęście nikomu nie popuszcza. Wiedziałam, że faworyzuje pewien gatunek ludzi, i czekałam.

Czekałam.

10

Zaczęło się, gdy mezuzę, umieszczoną nad drzwiami wejściowymi domu Benjamina Cohena d'Azevedo, podobnie jak i u dwóch innych rodzin żydowskich, wyrwano i zastąpiono nieprzyzwoitym rysunkiem namalowanym czarną farbą.

Żydzi tak się przyzwyczaili do prześladowań, że Benjamin, zwierywszy, co się święci, policzył swoje dzieci i kazał im wejść do środka jak posłusznej trzódce. Minęło parę godzin, zanim znalazłam Mosesa, który naparzał się z urwisami niedaleko doków, a jego kipa niedbale wisała na puklu gęstych rudych włosów. Nazajutrz był szabat. Jak w każdą sobotę pięcioro Levych i troje Marcusów - Rebecca, żona Jacoba, jeszcze leżała w połogu - prześliznęło się do Benjamina, aby odprawić obrzędy. Ledwo rozległy się ich głosy, być może trochę bardziej drżące niż zwykle, na drzwi i okna posypały się kamienie.

Nie mając nic do stracenia, wyszłam na dwór i ujrzałam tłumek mężczyzn, a także kobiet w zgrzebnym purytańskim przyodziewku, zgromadzonych o kilka jardów od domu. Ogarnął mnie gniew i ruszyłam ku napastnikom. Jakiś mężczyzna ryknął:

- Doprawdy, o czym myślą ci, co nami rządzą? Czy po to opuściliśmy Anglię, żeby patrzeć, jak wokół nas mnożą się Żydzi i Murzyni?

Obrzucono mnie kamieniami. Nadal szłam naprzód, z wściekłością, która we mnie wzbierała i dodawała chyżości nogom.

Nagle ktoś wrzasnął:

- Nie poznajecie jej? To Tituba, jedna z czarownic z Salem!

Spadł na mnie dosłownie grad kamieni. Pociemniało mi w oczach. Poczułam się jak Ti-Jean²⁰, gdy uzbrojony jedynie w wolę zwycięstwa pustoszy wzgórze, każe się cofnąć falom morskim i zmusza słońce do wznowienia swego biegu. Nie wiem, jak długo trwała ta batalia.

Ocknęłam się o zmierzchu, cała pokierszowana, a Metahebel z płaczem zmieniała kompresy na moim czole. Gdy zapadła noc, miałam sen. Chciałam wejść do lasu, ale drzewa sprzysięgły się przeciw mnie. Z ich wierzchołków spadły czarne liany, które oplątywały moje ciało. Otworzyłam oczy: pokój był czarny od dymu.

²⁰ Młody bohater kreolskich baśni, posługujący się magią w walce o powszechne dobro i sprawiedliwość (przyp. tłum.).

Przerażona, obudziłam Benjaminą Cohena d'Azevedo, który uparł się, by spać koło mnie i zmieniać mi opatrunki. Skoczył na równe nogi i wykrztusił:

- Moje dzieci!

Było za późno. Ogień, zręcznie podłożony z czterech stron domostwa, pochłonął już parter i pierwsze piętro. Lizał mansardę. Miałam tyle przytomności umysłu, że wyrzuciłam przez okno sienniki, na których wylądowaliśmy pośród zwęglonych belek, płonących tapet i poskręcanych kawałków metalu. Ze zgliszczy wyciągnięto dziewięć trupków. Miejmy nadzieję, że zaskoczone we śnie, dzieci się nie przestraszyły i nie cierpiały. A zresztą, czy nie dołączą rychło do swojej matki?

Władze miejskie przydzieliły Benjaminowi Cohenowi d'Azevedo skrawek ziemi, aby mógł pochować swoich bliskich, i w ten sposób powstał pierwszy żydowski cmentarz w koloniach Ameryki, starszy od cmentarza w Newport.

Jakby tego jeszcze było mało, spłonęły w porcie oba okręty należące do Benjaminą i do jego przyjaciela. Sądzę jednak, że tą stratą materialną mój kochanek wcale się nie przejął. Gdy był już w stanie wydobyć z siebie jakiś dźwięk, przyszedł do mnie.

- Wszystko da się racjonalnie wytłumaczyć: chcą nas odsunąć od zyskownego handlu z Antylami. Obawiają się nas i jak zwykle nienawidzą za naszą pomysłowość. Ale ja w to nie wierzę. To Bóg mnie karze. Nie tyle za to, że zapalałem do ciebie namiętnością. Żydzi zawsze odznaczeni bardzo silnym instynktem seksualnym. Nasz ojciec Mojżesz w słusznym wieku miewał erekcję. Księga Powtórzonego Prawa mówi: „Jego popęd płciowy nie osłabł”. Abraham, Jakub, Dawid mieli nałożnice.

Bóg nie ma też do mnie żalu o to, że skorzystałem z twoich umiejętności, aby zobaczyć się z Abigail. Pamiętaj o miłości Abrahama do Sary. Karze mnie dlatego, że odmówiłem ci jedynej rzeczy, jakiej pragnęłaś: wolności! Dlatego, że zatrzymałem cię przy sobie, uciekając się do przemocy, którą potępia. Dlatego, że byłem okrutnym egoistą!

- Nie, nie! - zaprzeczyłam.

Ale on mnie nie słuchał i ciągnął:

- Teraz jesteś wolna. A oto dowód.

Podał mi pergamin opatrzony różnymi pieczęciami, na które nawet nie spojrzałam, tylko gwałtownie potrząsnęłam głową.

- Nie chcę takiej wolności. Chcę zostać z tobą. Przygarnął mnie do piersi.

- Wyjadę na Rhode Island, gdzie, przynajmniej na razie, Żyd ma prawo zarabiać na życie. Czeka tam na mnie mój współwyznawca.

- A co ja bez ciebie zrobię? - zaszlochałam.

- Wrócisz na Barbados. Przecież jest to twoje największe pragnienie!

- Nie za taką cenę! Nie za taką cenę!

- Zarezerwowałam ci miejsce na pokładzie „Bless the Lord”, który za parę dni odpływa do Bridgetown. Patrz, to jest list polecający do jednego żyda, kupca w tym mieście. Nazywa się David da

Costa. Proszę go, by w razie potrzeby służył ci pomocą.

Ponieważ wciąż protestowałam, złożył moje dłonie w swoich i zmusił mnie do powtórzenia słów Izajasza:

Tak mówi Pan:

*„Niebiosą są moim tronem,
a ziemia podnóżkiem dla nóg moich.*

Jakiż to dom chcecie mi wybudować?”²¹

Gdy się trochę uspokoiłam, szepnął mi do ucha:

- Wyświadcź mi ostatnią przysługę. Pozwól mi zobaczyć dzieci!

Zważywszy na niecierpliwość zgnębnego ojca, nie czekaliśmy do nocy. Ledwo słońce zaszło za błękitnawą dachy Salem, udaliśmy się razem do sadu jabłoniowego. Uniosłam głowę ku sękatym palcom drzew, z sercem przepelnionym goryczą, która walczyła o lepsze z moją wiarą. Pierwsza pojawiła się Metahebel z włosami we włosach, podobna do młodej bogini z pierwotnych religii. Benjamin d'Azevedo szepnął:

- Chlubno swego ojca, czy jesteś szczęśliwa? Przytaknęła i podczas gdy rodzeństwo otaczało ją kołem, spytała:

- Kiedy, kiedy do nas dołączysz? Pospiesz się, ojczy. Tak naprawdę śmierć jest największym dobrodziejstwem.

Szybko miałam się przekonać, że Murzynka, nawet zaopatrzona w akt wyzwolenia w należytej formie, nie uniknie kłopotów. Kapitan „Bless the Lord”, drab nazwiskiem Stannard, zlustrował mnie od stóp do głów i najwyraźniej nie spodobało mu się to, co ujrzał. Gdy się wahał, obracając w rękach moje papiery, jakiś marynarz przeszedł za nim i wsączył mu do ucha coś, co powinien był wiedzieć:

- Uważaj, to jedna z czarownic z Salem!

No proszę! I znów obdarzono mnie tym epitetem! Postanowiłam jednak nie dać się zastraszyć i oznajmiłam:

- Już prawie trzy lata temu rząd kolonii ogłosił powszechną amnestię. Rzekome „czarownice” zostały uniewinnione.

Marynarz zarechotał.

- Możliwe, ale ty przyznałaś się do zbrodni. Dla ciebie nie ma ułaskawienia.

Odwaga mnie opuściła i nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Tymczasem w drapieżnych źrenicach kapitana rozbłysła iskierka chytrłości.

- A więc potrafisz za pomocą magii zapobiegać chorobom i katastrofom morskim? - spytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Umiem leczyć niektóre choroby. Co do katastrof, nie mam na nie żadnego wpływu.

²¹ Izajasz, 66, 1, Biblia Tysiąclecia, Pallottinum, 2002 (przyp. tłum.).

Wyjął z ust fajkę i wypluł na ziemię czarną, cuchnącą ślinę.

- Murzynko, gdy zwracasz się do mnie, mów „panie” i spuść oczy, bo inaczej wybije ci wszystkie pieńki²². Owszem, zawiozę cię na Barbados, ale w zamian za moją dobroć będziesz dbała o zdrowie mojej załogi i zapobiegała szkwałom!

Nie odezwałam się więcej.

Wtedy zaprowadził mnie na rufę, zawałoną skrzyniami ryb, koszami wina, beczułkami oliwy, i wskazał mi miejsce wśród zwojów lin.

- Tu będziesz podróżować!

Prawdę mówiąc, nie byłam skłonna bronić się zębami i pazurami. Myślałam tylko o tragicznych wydarzeniach, w których niedawno uczestniczyłam. Man Yaya powtarzała mi przecież wielokrotnie: „Liczy się tylko to, żeby przeżyć!”

Ale ona nie miała racji, jeśli życie jest tylko kamieniem u szyi mężczyzn i kobiet. Gorzką i parzącą miksturą!

O, Benjaminie, mój słodki, kulawy kochanku! Wyruszyłeś na Rhode Island z modlitwą na ustach:

„Szma Izrael: Adonaj Elohenu, Adonaj Ehad!”

Ile mnie jeszcze czeka kamienowań? Pożarów? Jak długo będę musiała powściągać wściekłość, padać na kolana?

Zaczęłam sobie wyobrażać, że życiu można nadać inny bieg, inne znaczenie, wytyczyć sobie inny cel.

Ogień trawi wierzchołek drzewa. Buntownik zniknął w chmurze dymu. A to znaczy, że przewyciężył śmierć i że jego duch przetrwa. Krąg zalęknionych niewolników nabiera otuchy. Duch przetrwa.

Tak, wytyczyć sobie inny cel.

Na razie umieściłam, jak się dało, między linami koszyk zawierający mój skromny dobytek, owinęłam się szczelnie burką i usiłowałam napawać się chwilą obecną. Czy mimo wszystko nie spełniało się właśnie marzenie, które tak często nie pozwalało mi zasnąć? Oto miałam wrócić do rodzinnego kraju.

Tak samo płowa jest moja ziemia. Tak samo zielone jej wzgórze. Tak samo fioletowawa jej trzcina kongijska, obfitująca w lepki sok. Tak samo aksamitny szmaragdowy pas, którym jest przewiązana. Ale czasy się zmieniły. Mężczyźni i kobiety nie chcą dłużej cierpieć. Buntownik znika w chmurze dymu. Jego duch przetrwa. Lęki się rozpraszają.

Wczesnym popołudniem wyciągnięto mnie z kryjówki, żebym się zajęła chorym marynarzem. Był to przydzielony do pracy w kuchni Murzyn, który trząsał się w gorączce. Popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Mówią, że nazywasz się Tituba. Czy jesteś córką Abeny, która zabiła białego?

²² Zapomniałam powiedzieć, że w więzieniu powypadało mi wiele zębów (przyp. aut.).

Na wieść, że ktoś mnie rozpoznał po dziesięcioletniej nieobecności, łzy stanęły mi w oczach. Zapomniałam, że nasz lud potrafi przywoływać wspomnienia. O nie, nic nie umknie jego uwagi! Wszystko jest wyryte w jego pamięci!

- Tak, to moje imię! - wyjąkałam.

W spojrzeniu chorego odmalowały się czułość i szacunek.

- Zdaje się, że nieźle ci dali w kość?

Skąd wiedział? Rozplakałam się i łkając, usłyszałam, jak mnie nieporadnie pociesza:

- Żyjesz, Titubo! Czy to nie najważniejsze? Konwulsyjnie potrząsnęłam głową. Nie, nie to było najważniejsze. Życie musiało, tak, musiało zmienić smak. Ale jak to osiągnąć?

Od tej pory Deodatus, marynarz, codziennie przychodził i siadał koło mnie. Przynosił mi podwędzone ze stołu kapitana jedzenie, bez którego z pewnością nie wytrzymałabym trudów podróży. Podobnie jak Man Yaya był z plemienia Nago znad Zatoki Gwinejskiej. Krzyżował dłonie na karku i wpatrując się w zawity rysunek gwiazd, opowiadał mi dziwne:

- Czy wiesz, dlaczego niebo oddzieliło się od ziemi? Niegdyś były sobie bliskie i wieczorem, za nim poszły spać, gawędziły ze sobą jak starzy przyjaciele. Ale kobiety, przygotowując posiłki, denerwowały niebo stukaniem tłuczków, a jeszcze bardziej swymi wrzaskami. Więc umykało coraz wyżej, coraz dalej za ten bezkresny błękit, który rozciąga się nad naszymi głowami...

- A wiesz, dlaczego palma jest królową drzew? Ponieważ każda z jej części jest niezbędna do życia. Z jej owoców wyrabia się olej ofiarny, jej liśćmi pokrywa się dachy, a z łyka kobiety robią miotły, które służą do zamiatania chat i zagród.

Wygnanie, cierpienie, choroba sprzysięgły się na tyle, że niemal zapomniałam o tych naiwnych historyjkach. Dzięki Deodatusowi znów stawało mi przed oczami dzieciństwo i słuchałam, nigdy się nie nudząc.

Czasem opowiadał mi o swoim życiu. Żeglował wzdłuż brzegów afrykańskich, na służbie u Stannarda. Ów wiele lat wcześniej zajmował się handlem niewolnikami, a Deodatus służył mu za tłumacza. Chodził z nim do chat kacyków, z którymi ubijał nieczyny interes.

- Dwunastu Murzynów za baryłkę wódki, jeden lub dwa funty prochu strzelniczego i jedwabny parasol, aby osłonić Jego Królewską Mość.

Moje oczy napełniły się łzami. Tyle cierpień w zamian za trochę dóbr materialnych!

- Nie możesz sobie wyobrazić chciwości tych czarnych królików! Byliby gotowi sprzedać swoich poddanych, gdyby prawa, których nie śmiały naruszać, im tego nie zabraniały! Toteż okrutni biali z tego korzystają!

Często też mówiliśmy o przyszłości. Deodatus pierwszy zadał mi otwarcie pytanie:

- Po co wracasz do kraju? I dodał:

- Jaki sens ma twoja wolność, skoro twoi współbracia są w niewoli?

Nie znajdowałam odpowiedzi. Bo też wracałam do mojego rodzinnego kraju, tak jak dziecko

biegnie do matki, by się wtulić w jej spódnicę. Wybąkałam:

- Odnajdę moją chatę na dawnej posesji Darnella i...

Deodatus podkpiwał ze mnie.

- Bo wyobrażasz sobie, że ona tam na ciebie czeka? Dawno wyjechałaś?

Wszystkie te pytania zbijały mnie z tropu, gdyż nie umiałam na nie odpowiedzieć. Czekałam, spodziewałam się jakiegoś znaku od moich bliskich. Niestety, nic się nie wydarzyło i wciąż byłam sama. Sama. Bo jeśli woda w źródłach i rzekach przyciąga duchy, morska, w ciągłym ruchu, odstrasza je. Stoją po obu stronach tego ogromnego obszaru, wysyłając niekiedy wieści tym, których kochają, ale go nie przekraczają. Boją się zwłaszcza zawisnąć w locie nad falami.

Przekroczcie wodę, o moi ojcowie! Przekroczcie wodę, o moje matki!

Modlitwa nie skutkuje.

Czwartego dnia gorączka, którą jakoś udało mi się spędzić u Deodatusa, chwyciła innego członka załogi, potem następnego i tak dalej. Trzeba było sobie uświadomić, że wybuchła epidemia. Tyle różnych paskudnych chorób, często połączonych z wysoką temperaturą, krążyło między Afryką, Ameryką i Antylami, a brud, ciasnota i złe odżywianie sprzyjały ich rozwojowi! Na pokładzie nie brakowało rumu ani cytryn z Azorów, ani pieprzu z Kajenny. Przyrządzałam z tego wszystkiego mikstury i podawałam je gorące. Nacieralam spocone i wstrząsane dreszczami ciała chorych wiechciami słomy. Robiłam, co mogłam, niewątpliwie wspomagana przez Man Yayę, i moje wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Zmarło tylko czterech mężczyzn, których zwłoki wrzucono do morza: okryło je ono swym pofałdowanym całunem.

Sądzicie, że kapitan okazał mi choć odrobinę wdzięczności?... Ósmego dnia, gdy wiatr ucichł, a woda się wygładziła, okręt zaczął się bujać jak babciny fotel na biegunach. Stannard chwycił mnie za włosy i zaciągnął pod główny maszt.

- Murzynko, jeśli chcesz ratować swoją skórę, każ wiatrowi się zerwać! Mam tu łatwo psujący się towar i jeśli pogoda się nie zmieni, będę musiał wy rzucić go za burtę, ale ty polecisz pierwsza.

Nigdy nie myślałam, że mogę rozkazywać żywiom. W istocie ten człowiek rzucał mi wyzwanie. Oznajmiłam mu:

- Potrzebne mi są żywe zwierzęta!

Żywe zwierzęta? Przyprowadzono mi je. Na tym etapie podróży pozostało tylko trochę drobiu, który przeznaczano na stół kapitana, koza o wymionach nabrzmiąłych od mleka, które pił na śniadanie, a ponadto kilka kotów do polowania na myszy pod pokładem. i

Mleko, krew, czyż nie miałam podstawowych płynów wraz z uległymi ciałami zwierząt ofiarnych?

Wpatrzyłam się w ocean, podpalony las. Nagle z rozżarzonych węgla poderwał się jakiś ptak i poleciał prosto ku słońcu. Po czym zawisł w powietrzu, zatoczył koło, znów znieruchomiał, zanim podjął błyskawiczny lot w górę. Wiedziałam, że to znak i że modlitwy płynące z mojego serca nie pozostały bez echa.

Przez nieskończenie długi czas, gdy ptak stał się już niedostrzegalnym punkcikiem i właściwie straciłam go z oczu, wszystko było zawieszane, jakby w oczekiwaniu jakiejś tajemniczej decyzji. Następnie przestrzeń wypełnił niesamowity świst dobiegający gdzieś zza widnokregu. Niebo zmieniło barwę, przechodząc od intensywnego błękitu do bardzo delikatnej szarości. Morze się spieniło, a wiatr zawirował, skręcając żagle, rozwiązując liny i łamiąc na pół maszt, który runął, zabijając na miejscu jednego marynarza. Zrozumiałam, że moje ofiary były niewystarczające i że duch domagał się dodatkowo „bezrogiego barana”²³. O świcie szesnastego dnia na horyzoncie pojawił się Barbados.

Gdy dobiliśmy do brzegu, w zamęcie szukałam Deodatusa, by się z nim pożegnać, ale on zniknął. Zrobiło mi się smutno.

11

Mój słodki, kulawy, ułomny kochanku! Wspominam to ubożuchne szczęście, jakiego zazналиśmy, zanim cię na zawsze utraciłam!

Kiedy przychodziłeś do mojego ogromnego łóżka w mansardzie, kołysaliśmy się jak na pijanym statku podczas sztormu. Prowadziłeś mnie swymi nogami wioślarza i w końcu zawsze przybijaliśmy do lądu. Sen ofiarowywał nam łagodność plaż, a rankiem znów pełni wigoru mogliśmy się zabrać do naszych codziennych zajęć.

Mój słodki, kulawy, ułomny kochanku! W ostatnią noc, którą spędziliśmy razem, nie uprawialiśmy miłości, jak gdyby nasze ciała usuwały się w cień przed naszymi duszami. Raz jeszcze zarzucałeś sobie bezwzględność. Raz jeszcze błagałam cię, byś mi zostawił kajdany.

Hester, Hester, nie będziesz ze mnie zadowolona. Ale pod wpływem pewnych mężczyzn, których cnotą jest słabość, budzi się w nas pragnienie, żeby być niewolnicami!

12

Byli tam, wśród tłumu niewolników, marynarzy, gapiów. Niewidzialne trio przyszło mnie powitać. Duchy mają to do siebie, że się nie starzeją i zachowują wygląd z czasów młodości. Man Yaya - wysoka Murzynka Nago o olśniewających zębach. Moja matka Abena - księżniczka Aszanti o cerze czarnej jak heban i kościach policzkowych żłobionych rytualnymi nacięciami. Yao - puchowiec o szerokich i mocnych stopach.

Nie będę opisywała uczuć, jakich doznawałam, gdy cisnęli się do mnie.

Poza tym moja wyspa nie przyjmowała mnie serdecznie! Łało i zmoknięte stado dachów Bridgetown krytych dachówką tłoczyło się wokół masywnej sylwetki katedry. Po ulicach płynęła błotnista woda, w której taplali się ludzie i zwierzęta. Z pewnością jakiś statek niewolniczy dopiero co zarzucił kotwicę, bo pod słomianym okapem na rynku Anglicy, mężczyźni i kobiety, oglądali zęby,

²³ Mężczyzny (przyp. aut.).

języki, genitalia drżących z upokorzenia bossalów²⁴.

*

Jakie brzydkie było moje miasto! Małe. Nędzne. Kolonialny przysiółek bez żadnego rozmachu, buchający smrodem lukru i cierpienia.

Poszłam w górę Broad Street i niemal niechcący znalazłam się przed domem, który kiedyś zajmowała moja nieprzyjaciółka Susanna Endicott. Zamiast wszakże cieszyć się słowami Man Yai, opowiadającej mi szeptem, jak ta jęzda kiła całymi tygodniami w strumieniach gorącego moczu, zanim wyzionęła ducha, niespodziewanie poczułam, że serce mi się ściska z żalu.

Dużo bym dała, by jeszcze raz przeżyć te lata, gdy spałam co noc w ramionach mojego Johna Indie-na, z ręką na przedmiocie dostarczającym rozkoszy! Czego bym nie dała, by pojawił się w obramowaniu; niskich drzwi i powitał mnie, ironiczny i czuły, jak tylko on to potrafił.

- Ech, moja umęczona żono! Jesteś tu! Nigdzie nie zagrzałaś miejsca i wracasz z pustymi rękami!

Próbowałam połykać łzy, ale nie uszły one uwagi mojej matki Abeny, która westchnęła:

- Dobrze sobie! Ona płacze z powodu tego łajdaka!

Po tym dysonansie wszystkie trzy duchy zlały się w jedno, tworząc przezroczysty obłok, który popłynął nad domami, ale przedtem Man Yaya wyjaśniła mi:

- Gdzieś nas wzywają! Przyjdziemy jeszcze do ciebie dziś wieczór!

A moja matka Abena dodała:

- Nie daj się zawrócić z drogi! Wracaj do siebie!

Do siebie! W tych słowach była okrutna ironia. Oprócz garstki zmarłych nikt mnie na wyspie nie oczekiwał i nie wiedziałam nawet, czy chata, w której mieszkałam na dziko przed dziesięcioma laty, jeszcze stoi. W przeciwnym razie musiałabym znów zamienić się w cieślę i zbudować sobie gdzieś schronienie. Perspektywa tak mało nęcąca, że miałam pokusę odnaleźć Davida da Coste, do którego Benjamin Cohen d'Azevedo wręczył mi list polecający. Gdzie on mieszka?

Właśnie się zastanawiałam, jak postąpić, gdy ujrzałam grupkę ludzi zbliżających się do mnie, grzęznących w błocie i osłaniających się z trudem liśćmi bananowca. Rozpoznałam Deodatusa w asyście dwóch kobiet i zawołałam uradowana:

- Gdzie się podziewałeś? Wszędzie cię szukałam.

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Poszedłem uprzedzić kilku przyjaciół o twoim przyjeździe. Wiedziałem z całą pewnością, że będą zachwyceni.

Jedna z młodych kobiet pokłoniła się przede mną.

- Zaszczyc nas, matko, swoją obecnością!

Matko? Na te słowa aż podskoczyłam, zawrzałam gniewem, ponieważ tak zwracano się do

²⁴ Bossalowie - Murzyni świeżo wysadzeni na ląd i nie-ochrzczeni (przyp. aut.).

leciwych matron, którym należało okazywać szacunek. A ja miałam przecież zaledwie trzydzieści lat i nie minął miesiąc, odkąd ciepłe nasienie mężczyzny oblewało moje uda! Ukrywając niezadowolenie, wzięłam Deodatusa pod rękę i spytałam:

- A gdzie mieszkają twoi przyjaciele?

- Koło Belleplaine.

O mało się nie zachnęłam.

- Belleplaine! Ależ to na drugim końcu kraju! Jednak się opanowałam. Uświadomiłam sobie, że nikt mnie nie chce i że nie mam już dachu nad głową. No więc dlaczego nie Belleplaine?

Wyszliśmy z miasta. Nagle, jak to się często zdarza w naszych stronach, deszcz przestał padać i zaświeciło słońce, zarysowując swoim świetlistym pędzelkiem kontury pagórków. Kwitła trzcina, rozścielając na polach różowofioletowy welon. Błyszczące liście pochrzynów pięły się po tyczkach. I wesołość wyparła uczucie, które ogarnęło mnie chwilę wcześniej. Jak mogłam sądzić, że nikt na mnie nie czeka, jeśli cały kraj pałał do mnie miłością? Przecież to dla mnie ptaszek Zenaida rozvodził swoje trele! Dla mnie papaja, drzewo pomarańczowe, granatowiec uginały się pod ciężarem owoców! Podniesiona na duchu, zwróciłam się do Deodatusa, który szedł obok, respektując moje milczenie:

- Kim są twoi przyjaciele? Na jakiej plantacji pracują?

Zachichotał, a obie kobiety zawtórowały mu jak echo.

- Otóż nie pracują na żadnej plantacji! - od parł.

Przez moment nie mogłam zrozumieć, po czym spytałam niedowierzająco:

- Nie pracują na żadnej plantacji? Więc to są... maroni?

Deodatus kiwnął głową.

Maroni?

Dziesięć lat wcześniej, gdy opuszczałam Barbados, maroni należeli do rzadkości. Mówiło się tylko o niejakim Ti-Noelu i jego rodzinie, która zarządzała Farley Hill. Nikt go nigdy nie widział. Skoro od tak dawna rozpałał wyobraźnię ludzi, musiał to być sędziwy starzec. Mimo to uważano go za młodzieńca, przypisywano mu niezwykłą odwagę i podawano sobie z ust do ust opowieści o jego wyczynach: „Strzelba białego nie może zabić Ti-Noela. Jego pies nie może go ugryźć. Nie może spłonąć w ogniu podłożonym przez białego. Ojczyce Ti-Noelu, podnieś szlaban!”

Deodatus wyjaśnił mi:

- Moi przyjaciele zajęli wzgórze, gdy Francuzi kilka lat temu zaatakowali wyspę. Wtedy Anglicy chcieli siłą zaciągnąć do wojska niewolników, aby ich bronili. Ale ci sobie powiedzieli: „Coś podobnego! Umierać z powodu kłótni między białymi?”, i wzięły nogi za pas! Zaszli się w Chalky Mountain, Anglikom zaś nie udaje się ich stamtąd wykurzyć.

I znów kobiety zawtórowały mu śmiechem.

Nie bardzo wiedziałam, co myśleć. Pomimo wszystkich przejść i owej żądzy zemsty, która nigdy nie została zaspokojona, nie miałam chęci mieszać się do spraw maronów i narażać własnej skóry.

Odkryłam, że wbrew logice pragnę przede wszystkim żyć w spokoju na mojej odzyskanej wyspie. Toteż resztę drogi odbyliśmy w milczeniu. Kiedy słońce było już niemal w zenicie, kobiety skinęły na nas, żebyśmy się zatrzymali, i wyciągnęły ze swych płóciennych toreb owoce i suszone mięso. Spożyliśmy razem ten skromny posiłek, który Deodatus zakropił rumem. Potem ruszyliśmy dalej. Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma, a roślinność coraz bujniejsza i gęstsza, tak jakby pragnęła osłaniać wyjętych spod prawa. W pewnej chwili kobiety zawołały głośno:

- Ago!

Zarośla się poruszyły i wychynęli z nich trzej mężczyźni, uzbrojeni w strzelby. Pozdrowili nas serdecznie, a jednak zawiązali nam oczy, toteż do domu maronów weszliśmy pogrążeni w ciemnościach.

Maroni zasiedli w krąg i słuchali mnie. Było ich nie więcej niż piętnastoro łącznie z żonami i dziećmi. A ja przeżywałam ponownie moje cierpienia, rozprawę w sądzie, bezpodstawne oskarżenia, fałszywe zeznania, zdradę tych, których kochałam. Gdy zamilkłam, wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego:

- Ten Szatan, ile razy go spotkałaś?
- Czy jest silniejszy niż największy z czarowników?
- Czy kazał ci pisać w swojej księdze, jeśli w ogóle umiesz pisać?

Christopher, ich przywódca, mężczyzna około czterdziestki, spokojny jak rzeka, która wytrwale płynie do morza, uciszył ich gestem i powiedział tonem przepraszającym:

- Wybacz im, to są wojownicy, a nie *grangreks*²⁵, i nie zrozumieli, że oskarżono cię niesłusznie. Bo przecież byłaś niewinna, prawda?

Kiwnęłam potakująco głową. Nalegał:

- Nie masz żadnej mocy?

Nie wiem, jakie uczucie mną owładnęło. Próżność? Chęć wzbudzenia w tym człowieku jeszcze większego zainteresowania? Pragnienie szczerości? W każdym razie starałam się wyjaśnić:

- Kobieta z plemienia Nago, która mnie wy chowała, przekazała mi pewne moce. Ale służą one tylko do czynienia dobra...

Maroni przerwali mi chórem:

- Czynienia dobra? Nawet twoim wrogom?...

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Na szczęście Christopher wstał i ziewając, dał znak, że pora spać.

- Jutro będzie nowy dzień!

Przydzielono mi chatę w pobliżu tej, którą zajmował przywódca wraz ze swymi dwiema towarzyszkami, przywrócił bowiem na swoją korzyść afrykański zwyczaj poligamii, i wydawało mi się,

²⁵ Učení (przyp. aut.).

że nigdy nie spałam na miększym materacu niż siennik rozłożony na ubitej ziemi pod tą słomianą strzechą. O tak, życie mną miotało! Z Salem do Ipswich! Z Barbadosu do Ameryki i z powrotem! Ale teraz odpoczywałam i mogłam mu powiedzieć: „Nie będziesz już mną poniewierać”.

Deszcz, który ustał, znów zaczął padać i słyszałam, jak bębni niczym zniecierpliwiony gość, czekający na otwarcie drzwi. Już miałam zapaść w nieświadomość, gdy w przedśionku rozległ się hałas. Pomyślałam, że to z pewnością moje duchy przyszły mi nauragać, że je opuściłam bez pożegnania, gdy wkroczył Christopher, trzymając nad głową ogarek świecy. Usiadłam na pościeli.

- Cóż to? Twoje dwie żony ci nie wystarczają? Wzniósł oczy w górę, co mnie natychmiast boleśnie dotknęło, i odparł:

- Słuchaj, nie mam czasu zajmować się głupstwami!

Ponieważ wszystkie moje nieszczęścia nie osłabiły owego głębokiego instynktu, który sprawia, że jestem kobietą, spytałam kokieteryjnie wbrew woli:

- A na co masz czas?

Usiadł na stołku i postawił ogarek na ziemi, co wyzwoliło tysiąc roztańczonych cieni.

- Chcę wiedzieć, czy mogę na ciebie liczyć! Rozdziawiłam usta, a po chwili zawołałam:

- Ale o co chodzi, wielki Boże?! Pochylił się nade mną:

- Pamiętasz piosenkę Ti-Noela?

Ti-Noela? Przestałam w ogóle cokolwiek pojmować. Wpatrzył się we mnie wzrokiem pełnym współczucia, jak uparte dziecko, i jał nucić zadziwiająco dobrym głosem:

- Och, ojciec Ti-Noel! Strzelba białego nie może go zabić. Kule białego nie mogą go dosięgnąć i ślizgają się po jego skórze. Titubo, chcę, abyś mnie uczyniła niezwykłym!

A więc o to chodziło? O mało nie parsknęłam śmiechem, ale się powstrzymałam, w obawie że go rozdrażnię, i udało mi się odpowiedzieć ze spokojem:

- Christopherze, nie wiem, czy jestem do tego zdolna!

- Jesteś czarownicą? Tak czy nie? - warknął. Westchnęłam.

- Każdy nadaje temu słowu inne znaczenie. Każdy sądzi, że może ukształtować czarownicę po swojemu, tak aby zaspokajała jego ambicje, spełniała jego marzenia, pragnienia...

Przerwał mi.

- Daruj, ale nie będę tu warował i słuchał, jak filozofujesz! Proponuję ci ugodę. Ty mnie uczynisz niezwykłym. W zamian...

- W zamian?

Wstał. Jego głowa prawie dotykała stropu chaty, a jego cień rozciągał się na mnie niczym duch opiekuńczy.

- W zamian ja ci dam wszystko, o czym może zamarzyć kobieta.

- To znaczy? - zagadnęłam ironicznie.

Nie odpowiedział i zakręcił się na pięcie. Ledwo wyszedł z izby, usłyszałam westchnienia, które

nieomylnie rozpoznałam. Postanowiłam zignorować moją matkę Abenę i odwróciłam się do ściany, przywołując Man Yayę.

- Czy mogę mu pomóc?

Man Yaya pyknęła ze swej krótkiej fajki i wypuściła w powietrze kółko dymu.

- A w jaki sposób? Śmierć jest bramą, której nikt nie może zaryglować. Każdy musi tamtędy przejść o odpowiedniej porze, odpowiedniego dnia. Wiesz, że można ją tylko uchylić dla ludzi, których się kocha, aby choć czasem popatrzyli na tych, co ich opuścili.

Nalegałam:

- Czy nie mogę przynajmniej spróbować mu pomóc? Walczy o słuszną sprawę.

Moja matka Abena wybuchnęła śmiechem.

- Obłudnico! Czy ciebie naprawdę interesuje sprawa, o którą walczy? Akurat!

Zamknęłam oczy w ciemności. Denerwowała mnie niebezpieczna przenikliwość matki. Poza tym robiłam sobie wyrzuty. Czy już nie miałam dość mężczyzn? Czy nie miałam dość tego ciągu rozczarowań, towarzyszących namiętnościom? Ledwo wróciłam na Barbados, a już zamierzałam szukać przygód, których skutków nie mogłam przewidzieć. Nic nie wiedziałam o gromadzie maronów. Obiecałam sobie, że wypytam Deodatusa o jego przyjaciół, i zapadłam w sen.

Wielkie białe nenufary otoczyły mnie swymi brokatowymi płatkami i niebawem przed moim posłaniem przedefilowali Hester, Metahebel i mój Żyd: żywi i martwi złączeni w moim uczuciu i tęsknocie.

Mój Żyd wydawał się rozpogodzony, niemal szczęśliwy, jak gdyby tam, na Rhode Island, wolno mu było przynajmniej głośno czcić swego Boga.

W pewnej chwili łagodnie zaszemrał deszcz, zraszając kwiaty, drzewa, dachy, i prawem kontrastu przypomniałam sobie lodowate i nieprzyjazne ulewy na ziemi, którą pozostawiłam za sobą. O tak, przyroda przemawia innym językiem w zależności od nieba i, co ciekawe, jej język dostosowuje się do mowy ludzi! Okrutna przyroda - okrutni ludzie. W przyrodzie życzliwej i opiekuńczej - ludzie hojni aż do wspaniałomyślności!

Pierwsza noc na mojej wyspie!

Rechot żab i ropuch, trele księżycowych ptaków, gdakanie kur wystraszonych przez mangusty i chrapliwy ryk osłów przywiązanych do drzew kalebasowych, przyjaznych duchom, składały się na nieprzerwany koncert. Pragnęłam, aby ranek nigdy nie zaświtał, a noc przerodziła się w śmierć. Chwilami przypomiinałam sobie dni spędzone w Bostonie, w Salem, ale traciły one konsystencję, podobnie jak ci, którzy je przyćmili zgorzkniałością: Samuel Parris i inni.

Pierwsza noc!

Wyspa szemrze łagodnie:

„Ona wróciła. Jest tutaj córka Abeny, córka Man Yai. Już nas nie opuści”.

13

Nigdy nie zamierzałam prześcignąć Man Yai we władaniu siłami nadprzyrodzonymi. Nigdy zresztą nie zamierzałam obywać się bez jej rad i uważałam się za jej dziecko, za jej uczennicę. Niestety! Muszę wyznać ze wstydem, że ten punkt widzenia się zmienił: uczeń ubrdał sobie, że będzie rywalizować z mistrzem. W końcu miałam jakieś podstawy do wbicia się w dumę. Czyż na „Bless the Lord” nie rozkazywałam żywiolom? A przecież nie mogłam stwierdzić, że dokonałam tego dzięki jakiejś pomocy z zewnątrz!...

Od tej pory przeprowadzałam doświadczenia na własną rękę, przemierzając okoliczne pola, uzbrojona w nożyk, którym wycinałam rośliny z korzeniami, i zaopatrzona w przepastną torbę, do której je zbierałam. Podobnie usiłowałam znów nawiązać dialog z wodą rzeczną lub z podmuchem wiatru, aby odkryć ich tajemnice.

Rzeka płynie do morza, tak jak życie zmierza ku śmierci, i nic nie może zatrzymać jej biegu. Dlaczego?

Wiatr się zrywa. Niekiedy głaszcze. Niekiedy sieje zniszczenie. Dlaczego?

Składałam coraz więcej ofiar ze świeżych owoców, z jedzenia, z żywych zwierząt. Kładłam je na rozstajach, wśród splątanych korzeni niektórych drzew i w naturalnych grotach, w których lubią się chować duchy. Ponieważ Man Yaya nie chciała mi przyjść z pomocą, musiałam liczyć jedynie na własną inteligencję oraz intuicję. Musiałam sama zdobyć ową wyższą wiedzę. Zaczęłam więc wypytывать niewolników o magów mieszkających na plantacjach, po czym udawałam się do mężczyzn i kobiet, którzy przyjmowali mnie z wielką nieufnością. Trzeba wiedzieć, że czarownik i czarownica bardzo niechętnie odsłaniają tajniki swojej sztuki. Są podobni do kucharzy, którzy nigdy nie chcą zdradzać swoich przepisów.

Pewnego dnia trafiłam na maga, Murzyna Aszanti (tak jak moja matka Abena), który jął mi opowiadać ze szczegółami, jak go porwano na wybrzeżu afrykańskim, w pobliżu Akwapim, podczas gdy jego kobieta, też Aszanti - niewolnicy łączyli się w pary najchętniej ze swoimi współplemieńcami - obierała korzenie na kolację. Następnie zapytał trudnym do określenia tonem:

- Gdzie mieszkasz?

Ponieważ nie wolno mi było ujawniać, gdzie znajduje się obóz maronów, wyjąkałam:

- Po drugiej stronie wzgórz. Mag zachichotał.

- Czy ty nie jesteś Tituba? Ta, której biali omal nie powiesili na sznurze?

- Odpowiedziałam jak zwykle:

- Z pewnością wiesz, że nie miałam sobie nic do zarzucenia!

- Szkoda! Wielka szkoda!

Wbiłam w niego wzrok, zaskoczona, a on ciągnął:

- Gdybym był na twoim miejscu, och, zaczarowałbym cały świat: ojca, matkę, dzieci, sąsiadów...

Napuściłbym jednych na drugich i cieszyłbym się, widząc, jak się nawzajem rozszarpują. Wtedy nie oskarżono by setki osób, a dwudziestu nie stracono. Całe Massachusetts wyprawiłbym na tamten świat i przeszedłbym do historii jako Demon z Salem. A ciebie jak zwą?

Te słowa mnie dotknęły, ponieważ nasuwały mi się już takie pomysły. Ubolewałam nad tym, że w całej aferze odegrałam jedynie rolę podrzędnej statystki, której los nikogo nie obchodzi. „Tituba, niewolnica z Barbadosu, prawdopodobnie uprawiająca wudu”. Kilka linijek w opasłych tomach poświęconych wydarzeniom z Massachusetts. Dlaczego miałam być tak zlekceważona? To pytanie też mi przyszło do głowy. Czy to dlatego, że nikt się nie przejmuje Murzynką, jej cierpieniami i tarapatami? Czy to dlatego?

Szukam moich dziejów w historii „czarownic z Salem” i nie znajduję ich.

W sierpniu 1706 roku Annę Putnam stoi pośrodku kościoła w Salem i wyznaje grzechy swego dzieciństwa, kając się za ich straszne skutki. „Będę się tarzać w prochu, błagając o przebaczenie wszystkich tych, którym wyrządziłam krzywdę i zniewagę, a których krewni zostali zatrzymani i oskarżeni”.

Nie ona pierwsza i nie ostatnia tak się oskarża publicznie, toteż ofiary jedna za drugą zostaną zrehabilitowane. O mnie się nie mówi. „Tituba, niewolnica z Barbadosu, prawdopodobnie uprawiająca wudu”.

Spuściłam głowę w milczeniu. A mag, jakby odgadując, co czuję, nie chciał mnie jeszcze bardziej przygnębić i złagodniał.

- Życie to nie miska kleiku z paciorecznika, prawda?

Wstałam, odtrącając okazywaną mi litość.

- Zapada wieczór i muszę wracać.

Błysk chytryści zatarł wyraz sympatii, który przelotnie zajaśniał w jego oczach.

- To, co ci się roi w głowie, jest niemożliwe! Zapominasz, że wciąż jeszcze żyjesz?

Ruszyłam w drogę powrotną do obozu maronów, dumając nad tym ostatnim zdaniem. Czy znaczyło ono, że jedynie śmierć przynosi najwyższą wiedzę? Że jest ona nieprzekraczalnym progiem, dopóki człowiek żyje? Że powinnam się pogodzić z niedoskonałością mojej wiedzy?

Już miałam opuścić plantację, gdy podeszła do mnie grupka niewolników. Myślałam, że to chorzy: kobiety pragnące jakiegoś naparu, dzieci domagające się opatrunku na swoje rany, mężczyźni o kończynach zmiażdżonych przez młyny, albowiem bardzo szybko zyskałam na całej wyspie opinię kobiety zdolnej wydobyć z roślin to, co w nich najlepsze, i ledwie się gdzieś pojawiłam, otaczali mnie pacjenci.

Tym razem jednak chodziło o co innego.

Niewolnicy o zafrasowanych minach ostrzegli mnie:

- Uważaj, matko! Wczoraj wieczorem zebrali się plantatorzy. Chcą ci się dobrać do skóry.

Spadłam z obłoków. O jakie zbrodnie mogli mnie oskarżać? Przecież od przyjazdu zajmowałam się

jedynie leczeniem tych, o których nikt się nie troszczył.

Jeden z mężczyzn wyjaśnił mi:

- Mówią, że przekazujesz wiadomości niewolnikom na plantacjach, aby im pomóc wzniecić bunt, więc biali zastawią na ciebie pułapkę!

Skonsternowana, ruszyłam w stronę obozu.

Ci, co cały czas śledzili moją opowieść, na pewno się zżymali. Co to za czarownica, która nie potrafi nienawidzić, którą za każdym razem zadziwia ludzka nikczemność?

Po raz tysięczny postanowiłam być inna, bronić się do upadłego. Ach, zmienić moje serce! Nasmarować jego ścianki jadłem węża. Uczynić z niego zbiornik gwałtownych i zawiedzionych uczuć. Kochać zło! Tymczasem ja czułam w sobie tylko tkliwość i współczucie dla wydziedziczonych, oburzenie na niesprawiedliwość!

Słońce zachodziło za Farley Hills. Wokół słychać już było obsesyjne brzęczenie nocnych owadów. Gromada obszarpanych niewolników rozbiegała się po uliczkach murzyńskiej wioski, a nadzorcy, którym spieszno było „golnąć sobie”, kołysząc się w hamaku na werandzie, galopowali na koniach. Na mój widok strzelali z bicia, jakby tylko czekali, żeby mnie wysmagać. Jednakże żaden z nich nie ośmielił się zapuścić do osady.

Do obozu dotarłam z zapadnięciem nocy.

Pod osłoną gęsto rosnących drzew kapokowych kobiety wędziły ćwiartki mięsa, które natarły sokiem cytrynowym i pieprzem, obłożywszy je przedtem liśćmi ukęśli indyjskiej. Obie towarzyszki Christophera zerknęły na mnie krzywo, zastanawiały się bowiem, jakie stosunki łączą mnie z ich mężczyzną. Przeważnie użalałam się nad ich młodością i przysięgałam sobie, że nie zrobię nic, co mogłoby je zranić. Lecz tego wieczoru nawet na nie nie spojrzałam.

Christopher siedział w swojej chacie i skręcał cygaro z liści tytoniu, rośliny chętnie uprawianej na wyspie i przynoszącej fortunę niektórym plantatorom. Spytał drwiąco:

- Gdzieżeś ty się znów włóczyła cały dzień? Czy spodziewasz się w taki sposób znaleźć lekarstwo, o które cię prosiłem?

Wzruszyłam ramionami.

- Radziłam się ludzi o wiele mądrzejszych ode mnie. Wszyscy mówią, że na śmierć nie ma lekarstwa. Bogaty, biedny, niewolnik, pan: każdy musi przez to przejść. Ale posłuchaj mnie: późno zrozumiałam, że muszę zacząć inaczej postępować. Pozwól mi walczyć z białymi razem z tobą!

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu, a echo jego wesołości połączyło się z kłębamii dymu z cygara.

- Ty chcesz walczyć? Śmiało sobie poczynasz. Obowiązkiem kobiet, Titubo, nie jest walczyć, wojować, lecz uprawiać miłość!

Przez kilka tygodni wszystko było przepojone łagodnością.

Pomimo przestróg niewolników nie przestałam zachodzić na plantacje. Odtąd wybierałam porę, po

zmroku, kiedy to duchy ponownie biorą w posiadanie przestrzeń. Chociaż bardzo niezadowolone z mojego osiedlenia się w Farley Hills, Man Yaya i moja matka Abena odwiedzały mnie jednak codziennie, towarzysząc mi na wyboistych ścieżynach wijących się przez pola. Nie zważałam na ich połajanki:

- Co ty robisz wśród tych maronów? To są źli Murzyni, którzy myślą tylko o kradzieży i zabijaniu!

- To są niewdzięcznicy, i basta. Zostawili matki i braci w niewoli, a sami nadali sobie wolność!

Po co się spierać?

W owych dniach doznałam wielkiego szczęścia! Przywróciłam do życia dziecko, malutką dziewczynkę, dopiero co wyciągniętą z mroku macicy. Wahala się jeszcze, nie przekroczywszy progu śmierci, w ciemnym tunelu, w którym ludzie szykują się do odejścia. Przytrzymałam ją, ciepłą, pokrytą śluzem i wydaliniami, i delikatnie położyłam na piersiach matki. Jaki wyraz twarzy miała ta kobieta!

Tajemnice macierzyństwa!

Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, czy moje dziecko, które pozbawiłam życia, mimo wszystko nie nadałoby mojej egzystencji smaku i znaczenia?

Hester, pomyliłyśmy się. Czy nie powinnaś żyć dla swojej córeczki, zamiast umrzeć razem z nią?

Christopher przyzwyczał się spędzać noce w mojej chacie. Nie bardzo wiem, jak zaczęła się ta nowa przygoda. Nieco uważniejsze spojrzenie. Ogień pożądania. Chęć, by sobie udowodnić, że jeszcze się ze mnie próchno nie sypie, że nie jestem zajeżdżona jak kobyła, która nosiła na swoim grzbiecie za duże ciężary? Ale czy muszę to mówić? W tym flircie uczestniczyły tylko moje zmysły. Cała reszta mojej istoty wciąż należała do Johna Indiana, o którym, rzecz zadziwiająca, myślałam coraz częściej.

Mój Murzyn, pędziwiatr i zuchwalec, jak go niegdyś określiła Man Yaya! Mój Murzyn, wiarołomny i tchórzliwy!

Kiedy Christopher ujarzmił moje ciało, mój umysł błędził i przeżywałam na nowo rozkosze amerykańskich nocy. Na dworze szaleje zima i mróz. Posłuchajcie ich przeciągłego wycia! Ich tupotu po stwardniałej, oszronionej ziemi!

Mój Murzyn i ja nie słyszymy nic, bo dyszymy z miłości. Samuel Parris, od stóp do głów odziany w czerń, odmawia pacierze. Posłuchajcie twardej litanii, która wydobywa się z jego ust:

Licniejsi są niż włosy na mojej głowie Ci, co mnie nienawidzą bez przyczyny. Potężni są ci, co chcą mnie zgubić...

Mój Murzyn i ja nie słyszymy nic, bo zatracamy się w miłości.

Stopniowo Christopher, który współżył ze mną w milczeniu, zaczął mi się zwierzać:

- Prawdę mówiąc, nie jesteśmy zbyt liczni, a zwłaszcza wystarczająco uzbrojeni, aby zaatakować białych. Pół tuzina strzelb i pałek z drewna gwajakowego, to wszystko, co mamy. Toteż żyjemy w wiecznym strachu przed napaścią. Taka jest prawda!

Trochę rozczarowana, spytałam:

- Czy dlatego chcesz, abym cię uczyniła niezwyciężonym?

Wyczuł kpinę w moim głosie i odwrócił się do ściany.

- Nieważne, czy ci się to uda, czy nie! W każdym razie jestem nieśmiertelny. Słyszę już piosenki czarnych na plantacjach...

I zanucił przyjemnym głosem skomponowaną przez siebie pieśń, w której wysławiał własną wielkość. Dotknęłam jego ramienia.

- A ja, czy dla mnie też jest jakaś pieśń? Pieśń dla Tituby?

Udał, że nadstawia ucha w ciemnościach, po czym stwierdził:

- Nie, nie ma!

Niespodziewanie zaczął chrapać. Ja też próbowałam zasnąć.

Kiedy nie pielęgnowałam niewolników na plantacjach, przestawałam z kobietami maronów. Początkowo traktowały mnie z największym szacunkiem. Później, dowiedziawszy się, że Christopher dzieli moje łóżko i że nie jestem, w sumie, z innej gliny niż one, zaczęły mi okazywać wrogość. Teraz ta wrogość osłabła, ustępując miejsca szorstkiemu poczuciu solidarności. Poza tym potrzebowały mnie. Ta, by napełnić mlekiem pusty bukłak swej piersi. Tamta, by pozbyć się bólu, który jej wciąż dokuczał od ostatniego porodu. Słuchałam ich paplaniny, znajdując w niej rozrywkę, wytchnienie i przyjemność.

- Dawno, dawno temu, w czasach, gdy diabeł był małym chłopcem w szortach z białej wykrochmalonej serży, ziemię zaludniały tylko kobiety. Razem pracowały, razem spały, razem się kąpały w rzekach. Pewnego dnia jedna z nich skrzyknęła pozostałe i powiedziała: „Siostrzyce, gdy znikniemy, kto nas zastąpi? Nie stworzyłyśmy ani jednej osoby na swoje podobieństwo!” Te, które jej słuchały, wzruszyły ramionami: „Dlaczego ktoś miałby nas zastąpić?” Jednak niektóre uważały, że jest taka potrzeba: „Bo bez nas kto będzie uprawiał ziemię? Będzie leżała ugięta, nie wydając plonów!” Natychmiast wszystkie jęły szukać sposobu na rozmnożenie się, i tak wymyśliły mężczyznę! - śmiałam się wraz ze wszystkimi słuchaczkami.

- Dlaczego mężczyzna jest taki, jaki jest?

- Moja droga, gdyby kto wiedział!

Czasem na wyścigi zadawały zagadki.

- Co pomaga na nocne ciemności?

- Świeca!

- Co pomaga na upał za dnia?

- Woda z rzeki.

- Co pomaga na zgorzkniałość?

- Dziecko!

I dalej użalać się nade mną, że nigdy nie rodziłam. Od słowa do słowa zaczęły mnie zasypywać pytaniami:

- Kiedy sędziowie z Salem wtrącili cię do więzienia, nie mogłaś się przeistoczyć, zamienić na

przykład w mysz i smyrznąć w szparę między deskami? Mogłaś stać się rozjuszonym bykiem, by wziąć ich wszystkich na rogi!

Wzruszałam ramionami i cierpliwie tłumaczyłam, że mylą się co do mnie, wyolbrzymiając moje możliwości. Któregoś wieczoru dyskusja zaszła dalej i musiałam się bronić.

- Gdybym mogła wszystko zrobić, czybym was nie wyzwoliła? Czybym nie wygładziła zmarszczek na waszych twarzach? Czy nie zastąpiłabym waszych zepsutych pieńków okrągłymi zębami, lśniącymi jak perły?

Miny miały sceptyczne, więc zniechęcona obruszyłam się:

- Wierście mi, niewiele mogę!

Czy te słowa jakoś skomentowano? Przeinaczono? Źle rozumiano?

W każdym razie Christopher zaczął się do mnie inaczej odnosić. Wchodził do mojej chaty po ciemku, o północy, i kochał się ze mną w ubraniu, co mi przywodziło na pamięć skargę Elizabeth Parris: „Moja biedna Titubo, on ze mną spółkuje, nie rozbierając się ani na mnie nie patrząc”.

Kiedy próbowałam dowiedzieć się, jak spędził dzień, odpowiadał mi, zirytowany, monosylabami.

- Mówią, że razem z maronami z Saint James przygotowujecie wielkie powstanie?

- Kobieto, zamknij usta!

- Mówią, że atakując znienacka skład broni w Wildey, zdobyliście parę strzelb?

- Kobieto, musisz wciąż niepokoić moje uszy? Gdy któregoś wieczoru rzucił: „Jesteś tylko całkiem zwyczajną Murzynką, a chciałabyś, żeby cię traktować jak coś cennego”, zrozumiałam, że powinnam odejść, bo moja obecność nie jest już pożądana. Tuż przed świtem wezwałam Man Yayę i moją matkę Abenę, które od paru dni się nie pokazywały, tak jakby nie chciały się przyglądać mojej porażce. Długo dały się prosić, zanim spełniły moją prośbę, a gdy znalazły się przy mnie, wypełniając chatę zapachem gujawy i czapetki, poczułam na sobie ich wzrok pełen wyrzutu.

- Włosy ci już siwieją, a nie możesz się obejść bez mężczyzn?

Nic nie odpowiedziałam. Po chwili postanowiłam spojrzeć im prosto w twarz.

- Wracam na stare śmiecie!

Rzecz dziwna: gdy tylko kobiety zwiتریły mój zamiar, zgromadziły się, przygnębione. Jedna podarowała mi starannie oporzadzoną kurę, druga - trochę owoców, jeszcze inna - zawój z madrasu w brązowo-czarną kratkę. Odprowadziły mnie aż do żywopłotu z dracem smocznych, podczas gdy Christopher, który udawał, że odbywa naradę z mężczyznami, nie uznał nawet za stosowne wyjść na próg.

Odnalazłam moją chatę w takim stanie, w jakim ją opuściłam. Tylko trochę bardziej pochyloną, trochę bardziej stoczoną przez robactwo, pod dachem podobnym do wsadzonego na bakier kapelusza. Do okna zaglądała krwista poinsecja. Księżycowe ptaki, które zagnieździły się między dwiema deskami wyżłobionymi przez korniki, odfrunęły z żalnym krzykiem. Otworzyłam drzwi na oścież. Umknęły spłoszone gryzonie.

Niewolnicy, zwiędziawszy się jakimś sposobem o moim powrocie, zgotowali mi owacyjne przyjęcie. Plantacja znów przeszła w inne ręce. Najpierw należała do człowieka stale nieobecnego, ograniczającego się do zgarniania zysków, wciąż jego zdaniem niewystarczających. Nowy właściciel, niejaki Errin, sprowadził z Anglii udoskonalone narzędzia i spodziewał się w krótkim czasie zgromadzić fortunę.

Niewolnicy przyprowadzili mi jałówkę, którą ze strachem oderwali od stada swego pana i która miała na czole, niczym proroczy znak, trójkąt z ciemniejszej sierści.

Złożyłam ją w ofierze tuż przed brzaskiem i pozwoliłam, by krew rozmiękczyła ziemię, niemal równie purpurową jak ona. Następnie, nie zwlekając, wzięłam się do roboty. Posadziłam wszystkie rośliny, których potrzebowałam do praktykowania mojej sztuki, śmiało zapuszczając się w najdalsze zakątki, by się w nie zaopatrzyć. Jednocześnie założyłam warzywnik. Wkrótce niewolnicy po całym dniu pracy zaczęli przychodzić i pomagać mi w kopaniu, gracowaniu i utrzymywaniu go. Zdobywali skądś i przynosili mi: ten nasiona piżmiana i pomidorów, ów - szczepkę cytrynowca. Skrzyknęli się, wspólnymi siłami wygrzebali stos pochrzynów i niebawem ujrzałam żarłoczne pnącza owijające się wokół palików. Kiedy dostałam parę kur i nastroszonego bojowego koguta, nic mi już nie brakowało.

Mój rozkład dnia był prosty. Wstawałam o świcie, modliłam się, schodziłam na brzeg rzeki Ormonde, żeby się wykapać, zjadałam coś naprędce, a potem oddawałam się poszukiwaniom i leczeniu. W owym czasie na plantacjach regularnie wybuchały epidemie cholery i ospy, które kładły pokotem Murzynów i Murzynki. Odkryłam, jak leczyć te choroby. Odkryłam też, jak leczyć jagodicę i goić wszelkie rany, jakie nasi odnoszą każdego dnia. Umiałam zeszyć poszarpane i posiniaczone ciała. Posklejać odłamki kości i poskładać złamane kończyny. Wszystko to, oczywiście, z pomocą duchów, które mnie nigdy nie opuszczały. Przestałam gonić chimery: czynić ludzi niezwycięzonymi i nieśmiertelnymi. Pogodziłam się z ograniczeniami naszego gatunku.

Niejeden zapewne się zdziwi, że w czasach, gdy bat strzelał i spadał na nasze ramiona, mnie udawało się cieszyć taką wolnością, takim spokojem. To dlatego, że nasze kraje mają dwa oblicza. Jedno ukazuje gościńce, po których mkną kolaski panów i konie żandarmów uzbrojonych w muszkiety i ciągnących za sobą sforę wściekle rozszczekanych psów. Drugie jest tajemnicze, złożone z hasel, rad szeptanych na ucho i zmywy milczenia. Ja żyłam po tej drugiej stronie, osłaniana zgodnie przez wszystkich. Za sprawą Man Yai wokół moją chatę otoczyła bujna roślinność i mieszkłam tam jak w warownym zamku. Niewprawne oko nie dostrzegało nic oprócz gąszczu gujaw, paproci, plumerii czerwonych i sapot, tu i ówdzie poprzątykanego różowofiołkowym kwiatem hibiskusa.

Któregoś dnia wśród mechatych korzeni paproci odkryłam orchideę. Nazwałam ją Hester.

14

Już od paru tygodni nie opuszczałam domowych pieleszy, dzieląc czas między studiowanie roślin a

leczenie moich niewolników, gdy spostrzegłam, że jestem w ciąży. W ciąży!

Moją pierwszą reakcją było niedowierzanie. Czyż nie byłam starą kobietą o sflaczałych piersiach, rozplaszczonych na klatce piersiowej, i z wałkiem tłuszczu na brzuchu? Jednakże musiałam ustąpić wobec oczywistej prawdy. To, czego nie zdołała dokonać miłość mojego Żyda, rozkwitło pod wpływem brutalnych uścisków Christophera. Trzeba się z tym pogodzić: dziecko nie jest owocem miłości, lecz przypadku.

Kiedy poinformowałam Man Yayę i moją matkę Abenę o swoim stanie, odpowiedziały wymijająco, poprzestając na komentarzach:

- No cóż, tym razem nie będziesz mogła się go pozbyć!

- Twoja natura zwyciężyła!

Złożyłam te docinki na karb niechęci, jaką czuły do Christophera, i martwiłam się już tylko o siebie. Bo gdy minęły pierwsze chwile niepewności i zwątpienia, dałam się unieść, porwać, zalać potężnej fali szczęścia. Wpadłam w euforię. Wszystkie moje działania były odtąd podporządkowane życiu, które nosiłam w sobie. Żywiłam się świeżymi owocami, mlekiem białej kozy, jajkami zniesionymi przez kury karmione ziarnem kukurydzianym. Płukałam oczy wywarami z warzuchy, aby małej istotce zapewnić dobry wzrok. Myłam głowę w papce z nasion karapy, aby jej włosy były czarne i błyszczące. Oddawałam się długiej, leniwej sjeście w cieniu mangowców. Jednocześnie moje dziecko uczyniło mnie wojowniczą. To była dziewczynka, nie miałam wątpliwości! Co przyniesie jej przyszłość? Czy to samo, co moim zniewolonym braciom i siostram, wyniszczonym swoją kondycją i ciężką pracą? Może zazna losu podobnego do mojego i będzie pariaską zmuszoną ukrywać się i żyć jak samotnica na skraju kotliny?

O nie, jeśli świat ma przyjąć moje dziecko, musi się zmienić!

Przez moment miałam pokusę wrócić do Farley Hills, nie zamierzając jednak powiadomić Christophera o moim stanie, czym by się wcale nie przejął, tylko skłonić go do podjęcia jakiejś akcji. Wiedziałam, że ciasnota naszej wyspy, Barbadosu, zniechęcała wielu plantatorów, którzy odjeżdżali w poszukiwaniu ziem bardziej rozległych i bardziej sprzyjających ich ambicjom. Szczególnie upodobali sobie Jamajkę, którą angielskie wojska właśnie wydarły Hiszpanom. Kto wie, czy napędzając strachu tym obszarnikom, nie udałoby się przyspieszyć ich odjazdu i wyprzeć wszystkich do morza? Jednakże bardzo szybko porzuciłam tę myśl, nie dlatego że Christopher zachował się wobec mnie niezbyt chlubnie, lecz dlatego że przyznał się do swej słabości. Postanowiłam polegać tylko na sobie. Ale jak?

Modliłam się i składałam ofiary dwa razy częściej, spodziewając się, że świat niewidzialny da mi jakiś znak. Bez skutku. Usiłowałam wypytać Man Yayę i moją matkę Abenę. Próbowałam złapać je na błędzie, gdy jak sądziłam, nie miały się na baczności, i skłonić do wyjawienia tego, co w ich mniemaniu powinny przede mną ukrywać. Na próżno.

Obie spryciary zawsze wykręcały się sianem.

- Ten, kto chce wiedzieć, dlaczego morze jest takie niebieskie, bardzo szybko znajdzie się na dnie.

- Słońce spali skrzydła pyszałka, jeśli zechce się do niego zbliżyć.

Tyle tylko wskórałam, gdy niewolnicy przyprowadzili do mnie chłopca, którego nadzorca tak wysmagał bykowcem, że uznano go za zmarłego. Otrzymał dwieście pięćdziesiąt razy w nogi, pośladki, plecy, czego jego organizm, osłabiony pobytem w więzieniu - był to bowiem zuchwalec, recydywista, murzyński uparciuch, którego nie udało się okiełznać - po prostu nie wytrzymał. Niosąc go do dołu wykopanego na polu porośniętym prosem, niewolnicy zauważyli, że się jeszcze rusza. Wtedy postanowili zdać się na mnie.

Kazałam położyć Iphigenę (tak miał na imię) na sienniku w kącie mojej sypialni, aby ani jedno jego westchnienie nie uszło mojej uwagi. Przygotowałam bandażę i opatrunki. Na ranach, które się jąrzyły, położyłam świeżo pokrojoną wątrobę zwierzęcą, aby wchłonęła sączącą się z nich ropę i zakażoną krew. Bez przerwy zmieniałam kompresy na jego czole i zesłam aż do kotliny Codrington, aby zebrać ślinę ropuch olbrzymich, które upodobały sobie tę tłustą, brunatną ziemię i nie rozmnażają się gdzie indziej.

Po dwudziestu czterech godzinach intensywnych zabiegów zostałam wynagrodzona: Iphigen otworzył oczy. Trzeciego dnia przemówił:

- Matko, matko, wróciłaś! Myślałam, że ode szłaś na zawsze.

Wzięłam go za rękę, jeszcze ciepłą od gorączki, już zniekształconą i stwardniałą:

- Nie jestem twoją matką, Iphigene. Ale bardzo chciałabym, abyś mi o niej opowiedział.

Iphigen szeroko otworzył oczy, aby mi się lepiej przyjrzeć, uświadomił sobie swoją pomyłkę i zboląły opadł na siennik.

- Widziałem, jak umierała moja matka, gdy miałem trzy lata. Była jedną z żon Ti-Noela, bo on miał ich bez liku, rozproszonych po plantacjach, i obarczał je misją powielania jego nasienia. Jego męskiego nasienia. To z jej trzewi wyszedłem. Matka wychowywała mnie z poświęceniem. Niestety! Była piękna, na swoje nieszczęście. Pewnego dnia wracała z młyna spocona i w łachmanach, a jednak zauważył ją pan Edouard Dashby i kazał nadzorcy przyprowadzić ją o zmroku. Nie wiem, co się wydarzyło, gdy stanęła przed nim, w każdym razie nazajutrz ustawiono niewolników w koło i zachłostano ją na śmierć!

Jak bardzo jego historia przypominała moją! Uczucie, jakie wzbudził we mnie Iphigen, natychmiast się rozwinęło, znajdując w pewnym sensie racjonalną przyczynę. Z kolei ja opowiedziałam mu o swoim życiu, które zdążył już poznać we fragmentach, byłam bowiem, wbrew moim oczekiwaniom, legendą wśród niewolników. Gdy doszłam do pożaru domu Benjaminą Cohena d'Azevedo, przerwał mi, marszcząc brwi:

- Ale dlaczego? Czy on nie był białym tak jak oni?

- Niewątpliwie!

- Czy tak potrzebują nienawiści, że nienawidzą się nawzajem?

Usiłowałam mu przekazać to, co zapamiętałam z wyjaśnień Benjaminą i Metahebeł dotyczących

ich religii i sporów z gojami. Ale Iphigen, podobnie jak ja, nic z tego nie zrozumiał.

Powoli zaczął siadać na posłaniu, wstawać. Wkrótce zrobił kilka kroków na zewnątrz chaty. Jego pierwszą troską było naprawienie drzwi wejściowych, które się źle zamykały.

- Matko, bardzo potrzebowałam męskiej ręki! - powiedział z ważną miną.

Mało się nie roześmiałam, taki się wydawał przejęty tym, co mówił. Jaki piękny młody Murzyn z tego Iphigena! Czaszka o doskonałym owalu. Gęste włosy ułożone jak ziarnka pieprzu. Wystające kości policzkowe. Fioletowawe, mięsiste usta, jakby gotowe całować cały świat, gdyby chciał mu na to pozwolić, zamiast wciąż odpychać, odstraszać! Wydawało mi się, że blizny po ranach szpecące jego piersi i plecy wciąż przypominają o tym okrucieństwie. Tak więc, ilekroć smarowałam go maścią rycynową, moje serce wrzało wściekłością i oburzeniem. Pewnego ranka nie mogłam już wytrzymać.

- Iphigenie, na pewno zauważyłeś, że noszę dziecko w swoim łonie?

Wstydliwie spuścił wzrok.

- Nie śmiałem ci o tym mówić!

- Słuchaj, marzę, by oczy mojej córeczki oglądały inne słońce!

Milczał przez chwilę, jak gdyby uświadamiał sobie wagę moich słów. Następnie rzucił się ku mnie i kucnął u moich stóp, przyjmując swoją ulubioną pozycję.

- Matko, znam na każdej plantacji nazwiska tych, którzy pójdą z nami. Wystarczy, że powiemy jedno słowo.

- Nie mamy broni.

- Ogień, matko, chwalebny ogień! Ogień, który pochłania i spopiela!

- A co zrobimy, gdy ich już wyprzemy do morza? Kto będzie rządził?

- Matko, biali naprawdę namęcili ci w głowie: za dużo myślisz. Najpierw ich przegnamy!

Po południu, gdy wróciłam po codziennej kąpieli w rzece Ormonde, zastałam Iphigena prowadzącego ożywioną dyskusję z dwoma młodymi chłopakami w jego wieku, dwoma bossalami, którzy, jak mi się zdawało, pochodzili z plemienia Nago. Jednakże nie rozpoznałam melodyjnych dźwięków języka Man Yai, a Iphigen powiedział mi, że to są Mandongowie pochodzący z górzystego regionu i doskonale obeznani z wszelkimi leśnymi zasadzkami.

- To znakomici dowódcy. Gotowi walczyć do ostatniej kropli krwi.

Muszę wyznać, że skoro tylko powzięto ideę powszechnego powstania i jednogłośnie ją zaakceptowano, Iphigen już mnie więcej nie pytał o radę. Pozwoliłam mu działać, cudownie rozleniwiona ciężą: głaskałam brzuch, który zaokrąglął się pod moją dłońią, i śpiewałam piosenki mojemu dziecku. Była taka melodia, za którą przepadała moja matka Abena i która chodziła mi po głowie:

Tam wysoko w lasach

Stoi mały szłaś!

Nikt nie wie, co jest w środku,

Nikt nie wie, kto w nim mieszka.

To zombi w zawoju,

Który lubi tuczne prosięta...

Niebawem zobaczyłam, jak Iphigen układa na stos pochodnie z drewna gujawowego, owiniętego pakułami. Wyjaśnił mi:

- Każdy z naszych ludzi będzie trzymał jedną w ręku, zapali ją, i jak na komendę w tej samej chwili wszyscy ruszymy ku dworom. Ach, jakie piękne ogniska rozpalimy!

Spuściłam głowę i spytałam ze smutkiem:

- Czy dzieci też zginą? Dzieci karmione piersią? Dzieci z zębami mlecznymi? I dziewczynki dojrzewające do małżeństwa?

Odwrócił się na pięcie, tak wielki był jego gniew.

- Sama mnie do tego nakłoniłaś. Czy oni się zlitowali nad Dorcas Good? Czy zlitowali się nad dziećmi Benjamina Cohena d'Azevedo?

Pochyliłam głowę jeszcze niżej i szepnęłam:

- Czy mamy się do nich upodobnić? Odszedł wielkimi krokami, nie udzielając odpowiedzi.

Wezwałam Man Yayę, która usiadła po turecku wśród gałęzi drzewa kalebasowego, i powiedziałam z pasją:

- Wiesz, co przygotowujemy. Otóż przypominam sobie, co mi mówiłaś w chwili, gdy miałam przystąpić do działania, chcąc się zemścić na Susannie Endicott: „Nie deprawuj swojego serca, nie upodabniaj się do nich!” Czy za wolność trzeba płacić tak wysoką cenę?

Ale zamiast mi odpowiedzieć z powagą, jak się spodziewałam, Man Yaya zaczęła skakać z gałęzi na gałąź. Gdy się znalazła na wierzchołku, rzuciła:

- Mówisz o wolności. A czy ty w ogóle wiesz, co to jest wolność?

Po czym zniknęła, zanim zdążyłam zadać jej następne pytanie. Wpadłam w zły humor. Czy musiała przyganiać każdemu mężczyźnie, który żył u mego boku? Nawet jeśli był to tylko chłopiec? Dlaczego chciała, żebym pędziła samotne życie? Postanowiłam obejść się bez jej rad i zostawić Iphigenowi wolną rękę. Któregoś wieczoru usiadł koło mnie.

- Matko, musisz wrócić do obozu maronów. Musisz się zobaczyć z Christopherem!

- Nigdy! Przenigdy! - zachnęłam się. Nalegał, okazując szacunek, a zarazem upór:

- Musisz to zrobić, matko! Nie wiesz, kim na prawdę są maroni. Między panami a nimi stanęła cicha umowa. Jeśli chcą, by panowie pozwolili im cieszyć się drogocenną wolnością, muszą donosić o wszelkich przygotowaniach, wszelkich próbach wszczęcia buntu, jakie tylko wyniuchają na wyspie. Toteż wszędzie mają szpiegów. Ty jedna możesz wpłynąć na Christophera.

Wzruszyłam ramionami.

- Tak sądzisz?

- Czy to nie jego dziecko nosisz w swoim łonie? - spytał z zakłopotaniem.

Nic nie odpowiedziałam.

Jednakże uświadomiłam sobie, że jego uwagi są uzasadnione, i wyruszyłam z powrotem do Farley Hills.

- Czy obiecał ci, że nie będzie donosił?

- Obiecał.

- Czy mówił szczerze?

- Tak mi się wydaje. W końcu nie znam go zbyt dobrze.

- Nosisz dziecko tego mężczyzny w swoim łonie i mówisz, że go nie znasz?

Upokorzona, nie odezwałam się słowem. Iphigen wstał.

- Postanowiliśmy przypuścić atak za cztery noce!

Zaprotestowałam.

- Za cztery noce! Po co ten pośpiech? Pozwól mi przynajmniej spytać świat niewidzialny, czy to jest sprzyjający moment.

Zaśmiał się, a jego przybocznicy natychmiast mu zawtórowali. Rzucił:

- Do tej pory, matko, świat niewidzialny za dobrze cię nie traktował. Inaczej nie byłoby cię tutaj, gdzie jesteś. Ta noc jest sprzyjająca, bo wtedy księżyc znajdzie się w nowiu i nie wzejdzie przed północą. Nasi ludzie skorzystają z ciemności. W tej samej chwili zadną w rogi na alarm i z pochodniami w rękach ruszą na dwory.

Tamtej nocy miałam sen.

Do mojego pokoju wchodzili mężczyźni przypominający wielkie drapieżne ptaki. Naciągnęli na głowę czarne kominiarki, które im zupełnie zakrywały twarz, a jednak wiedziałam, że jeden z nich to Samuel Parris, drugi - John Indien, trzeci zaś - Christopher. Zbliżyli się do mnie, a każdy trzymał w ręku gruby, zaostrzony na końcu kij. Wrzasnęłam:

- Nie! Nie! Czy ja już tego wszystkiego raz nie przeżyłam?

Nie zważając na moje krzyki, podciągnęli mi spódnicę i przeszyli mnie straszliwy ból. Wrzasnęłam jeszcze głośniejsze.

W tym momencie ktoś położył rękę na moim czole. To był Iphigen. Oprzytomniałam i usiadłam na posłaniu, jeszcze przerażona i cierpiąca. A on spytał:

- Co się stało? Przecież jestem tu przy tobie! Sen był tak sugestywny, że przez dłuższą chwilę nie odzywałam się, przeżywając na nowo tę potworną noc, która poprzedziła moje aresztowanie. Potem powiedziałam błagalnie:

- Iphigenie, daj mi trochę czasu, żebym się po modliła, złożyła ofiarę i spróbowała zjednać dla nas wszystkie moce...

Przerwał mi:

- Titubo... (po raz pierwszy mnie tak nazwał, jakbym nie była już jego matką, lecz naiwnym i nie rozumnym dzieckiem)... szanuję twoje talenty znachorki. Czy to nie dzięki tobie jestem przy życiu i

wdycham zapach słońca? Ale nie żądam za dużo. Przyszłość należy do tych, co potrafią ją kształtować, i wierz mi, nie osiągają tego zaklęciami i ofiarami ze zwierząt, lecz działaniem.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

Postanowiłam więcej nie dyskutować i przedsięwziąć środki ostrożności, które uważałam za konieczne. Jednakże rozgrywka, do jakiej miało dojść, była tak doniosła, że musiałam zasięgnąć rady. Udałam się na brzeg rzeki Ormonde i wezwałam Man Yayę, moją matkę Abenę oraz Yao. Zjawili się, a odprężenie i szczęście malujące się na ich obliczach uznałam za doskonałą wróżbę. Powiedziałam:

- Wiecie, co się szykuje. Co mi radzicie zrobić?

Yao, który, po śmierci podobnie jak za życia, był mrukliwy, zabrał jednak głos:

- Przypomina mi to bunt w czasach mojego dzieciństwa. Zorganizował go Ti-Noel, który jeszcze nie uciekł w góry i pracował wciąż do siódmego po tu na plantacji Belleplaine. Porozstawiał wszędzie czaty i na umówiony sygnał jego ludzie mieli obrócić w popiół dwory.

W jego głosie wyczułam ostrzeżenie i zagadnęłam dość sucho:

- No i jak się to wszystko skończyło? Zaczął skręcać cygaro z liści tytoniu, jakby chciał zyskać na czasie, po czym spojrzał mi prosto w twarz.

- Krwawo, tak jak zawsze się to kończy! Jeszcze nie nadeszła pora naszego wyzwolenia.

Spytałam ochryple:

- Kiedy, kiedy nadejdzie? Ile jeszcze krwi trze ba przelać i dlaczego?

Trzy duchy zachowały milczenie, jak gdybym znów chciała wprawić je w ambaras, naruszając reguły. Yao podjął:

- Nasza pamięć musi utonąć we krwi. Nasze wspomnienia muszą unosić się na jej powierzchni jak nenufary.

- Słowem, jak długo to potrwa? - nalegałam. Man Yaya pokiwała głową.

- Niedola Murzyna nie ma końca.

Przywykłam do jej fatalistycznych wypowiedzi, więc tylko wzruszyłam ramionami z irytacją. Po co się spierać?

*Panie Czasu,
Nocy i Wód,
Ty, który sprawiasz,
że dziecko porusza się w brzuchu
swojej matki,
Ty, który sprawiasz,
że rośnie trzcina cukrowa,
I napętniasz ją lepkiem sokiem,
Panie Czasu,
Słońca i Gwiazd...*

Nigdy nie modliłam się równie żarliwie. Wokół panował gęsty mrok przesycony wonią krwi ofiar leżących bezładnie u moich stóp.

Panie Teraźniejszości, Przeszłości i Przyszłości, Ty, bez którego ziemia niczego by nie rodziła, Ani ikaki, ani śliwca żółtego, Ani marakui, ani rozpestlina, Ani nikli indyjskiej...

Pograżyłam się w modlitwie. Tuż przed północą słabowity księżyc ułożył się na poduszce z chmur.

15

Czy muszę koniecznie dokończyć moją historię? Czy ci, co do tej pory śledzili jej tok, nie domyśla się końca?

Łatwego do przewidzenia, tak łatwego do przewidzenia?

A ponadto, czy opowiadając ją, nie przeżywam na nowo moich cierpień? I czy mam cierpieć dwukrotnie?

Iphigen i jego przyjaciele niczego nie zaniedbali. Nie wiem, jak zdobyli strzelby. Czy złupili jakiś skład amunicji, na przykład w Oistins albo w Saint James? Składów amunicji nie brakowało na naszej wyspie, która w przeszłości służyła za punkt wypadowy do szturmów na posiadłości hiszpańskie i która nadal żyła w strachu przed Francuzami. Tak czy inaczej zobaczyłam, jak przed domem rosną stosy strzelb, prochu i kul, którymi Iphigen i jego przybocznicy dzielili się sprawiedliwie. Nie wiem, jak policzyli posesje: osiemset czterdzieści cztery w sumie, i ludzi, których mogli być pewni. Słyszałam, jak wymieniają nazwy i liczby:

- Ti-Roro z Bois Debout: trzy strzelby i trzy funty prochu.
- Nevis z Castelridge: dwanaście strzelb.
- Bois Sans Soif z Pumpkitt: siedem strzelb i cztery funty prochu.

I we wszystkich kierunkach kursowali wysłannicy, kryjąc się pod drzewami i w wysokich trawach. W pewnej chwili ujrzałam Iphigena tak zmęczonego, że poprosiłam:

- Odpocznij trochę! Co ci z tego przyjdzie, jeśli umrzesz, zanim odniesiesz zwycięstwo?

Niecierpliwie machnął ręką, posłuchał jednak i usiadł koło mnie. Poglaskałam jego wełniste włosy, szorstkie i zrudziałe od słońca.

- Często mówiłam ci o moim życiu. Ale jedno przed tobą ukryłam. Kiedyś byłam w ciąży, musiałam jednak pozbyć się dziecka i wydaje mi się, że odnajduję je w tobie.

Wzruszył ramionami.

- Czasem aż dziw bierze, skąd wy, kobiety, macie takie urojenia.

Po tym stwierdzeniu wstał i rzucił:

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że pragnąłbym, abyś mnie nie traktowała jak syna?

Wyszedł.

Wolałam nie roztrząsać znaczenia jego słów. Zresztą czy miałam na to czas? Zaczęło się odliczanie: już tylko jedna noc przed szturmem. Właściwie nie przejmowałam się wynikiem spisku.

Prawdę mówiąc, starałam się o tym nie myśleć. Bujałam w krainie kolorowych marzeń i myślałam przede wszystkim o córeczce. Zaczęła już się poruszać w moim brzuchu; było to coś w rodzaju delikatnego, powolnego pełzania, jakby chciała zbadać swoją niewielką przestrzeń. Wyobrażałam ją sobie - ślepą i owłosioną kijankę, unoszącą się, pływającą, daremnie usiłującą odwrócić się na plecy, lecz uparcie ponawiającą próby. Jeszcze trochę, a popatrzymy na siebie: ja, zawstydzona moimi zmarszczkami i popsutymi zębami pod jej świeżutkim spojrzeniem. Ona mnie pomści, moja córka! Będzie umiała zyskać miłość jakiegoś Murzyna o sercu gorącym jak chleb kukurydziany. On będzie jej wierny. Będą mieli dzieci, które nauczą się dostrzegać piękno w samych sobie. Dzieci, które będą piąć się wysoko, coraz wyżej.

Okolo piątej Iphigen przyniósł mi królika, którego ukradł z jakiejś klatki i trzymał za uszy. Ja, choć bez skrupułów zabijam zwierzęta ofiarne, wzdragam się przed zgładzeniem tych niewinnych stworzeń, którymi żywią się ludzie. Ani jednej kurze nie poderżnęłam gardła, ani jednej ryby nie wypatroszyłam, nie przepraszałam za krzywdę, jaką im wyrządzam. Usiadłam ciężko, gdyż moje ruchy zrobiły się niezręczne, pod okapem, który mi służył za kuchnię, i zaczęłam oporządzać zwierzę. Gdy rozcięłam brzuch, strumień czarnej, śmierdzącej krwi trysnął mi w twarz, a na ziemię potoczyły się, otoczone zielonkawą błoną, dwie kule gnijącego mięsa. Odór był taki straszny, że się cofnęłam. Wtedy nóż wyleciał mi z ręki i wbił się w moją lewą stopę. Krzyknęłam przeraźliwie. Iphigen odłożył strzelbę, którą oliwił, i pospieszył na ratunek.

To on wyrwał nóż z mojego ciała i próbował zatamować krew, która ciekła, ciekła bez przerwy. Miałam wrażenie, że się zupełnie wykrwawię przez tę maleńką ranę: krew utworzyła już małą kałużę, która przywiodła mi na myśl słowa Yao:

- Nasza pamięć utonie we krwi. Nasze wspomnienia będą się unosić na jej powierzchni jak lilie wodne.

Podawszy na strzępy wszystkie ubrania, które mu wpadły w ręce, Iphigen zdołał zatamować krwotok i zaniósł mnie do chaty, owiniętą jak osesek.

- Nie ruszaj się. Zajmę się wszystkim. Myślisz, że nie umiem gotować?

Cierpki zapach krwi szybko zaczął drażnić moje nozdrza, a wówczas stanęła mi przed oczami Susanna Endicott. Ohydna jęzda! Czy nie trzymałam jej tak opatulonej całymi miesiącami, latami, pływającej we własnych wydzielinach, i czy to nie ona mściła się teraz, jak mi obiecała? Krew za mocz. Która z nas była groźniejsza? Chciałam się modlić, ale umysł odmówił mi posłuszeństwa. Leżałam jak kłoda, wpatrując się bezmyślnie w splot żerdzi podtrzymujących dach.

Wkrótce potem odwiedzili mnie Man Yaya, moja matka Abena i Yao. Gdy pojęli, co mi się przydarzyło, przebywali akurat w North Point, dokąd podążyli na wezwanie pewnego maga. Man Yaya poklepała mnie po ramieniu.

- To głupstwo. Szybko o tym zapomnisz. Moja matka Abena nie mogła się oczywiście powstrzymać od zrzędzenia. Westchnęła:

- Jeśli istnieje dar, którego ty nie masz, to jest nim umiejętność wybierania sobie mężczyzn. No, ale rychło wszystko wróci do normy.

Najeżyłam się.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Ale ona nagle zmieniła zdanie.

- Czy zamierzasz wyhodować sobie gromadę bękartów? Spójrz na swoje włosy: istny biały puch drzewa kapokowego.

Natomiast Yao pocałował mnie tylko w czoło i szepnął:

- Do zobaczenia. Będziemy przy tobie, gdy zajdzie potrzeba.

Zniknęli.

Około ósmej Iphigen przyniósł mi tykwę z jedzeniem. Nie wysilił się: ugotował świński ogon z ryżem i fasolą o czarnych oczkach. Zmienił mi opatrunki i najwyraźniej wcale się nie zaniepokoił, widząc, że znów są przesiąknięte krwią.

W ostatnią noc przed rozpoczęciem akcji targały mną na zmianę zwątpienie, strach i tchórzostwo: po co to wszystko? Czy życie nie ma żadnego uroku? Po co się narażać na stratę tych okrucich szczęścia, którymi nas obdarza mimo swego skąpstwa? Ostatnia noc przed generalnym szturmem! Drżałam, nie miałam odwagi zgasić świecy i widziałam, jak tańczy na ścianie monstrualny cień mego ciała. Iphigen przytulił się do mnie. Obejmowałam jego szczupły, a zarazem krzepki tors i czułam, że serce wali mu jak młot. Szepnęłam:

- Czy ty też się boisz?

Nie odpowiedział, szukając czegoś po omacku w ciemnościach. Wtedy uświadomiłam sobie ze zdumieniem, czego pragnął. Może to był lęk? Może chęć pocieszenia mnie? Pocieszenia siebie? Chęć doznania rozkoszy po raz ostatni? Niewątpliwie wszystkie te uczucia połączyły się w jedno, gwałtowne i gorące. Kiedy to młode i rozpalone ciało przylgnęło do mnie, najpierw się skuliłam. Wstyd mi było wystawić na pokaz moją starość i przyjmować jego pieszczoty, toteż odepchnęłam go z całej siły, bo w dodatku nagle zaświtała mi nedorzeczna myśl, że popełniam kazirodztwo. Potem udzieliło mi się jego pożądanie. Poczułam, że gdzieś w głębi mojej istoty wznosi się fala, która rośnie, potężnieje, a następnie rozbija się, zalewając mnie, zalewając jego, zalewając nas, i turla nas parokrotnie tak, że tracimy oddech, dyszymy i błagamy o litość, przerażeni i wycieńczeni, aż wreszcie wyrzuca nas na brzeg porośnięty migdałowcami, w spokojnej zatoczce. Pocałowaliśmy się namiętnie, a on szepnął:

- Gdybyś wiedziała, jak bardzo cierpiałem, widząc, że nosisz w łonie dziecko, które nie jest moje, dziecko człowieka, którym pogardzam. Wiesz, kim naprawdę jest Christopher i jaką rolę odgrywa? Ale nie będziemy o nim mówić, gdy śmierć może już wymachuje kosą.

- Sądzisz, że zwyciężymy? Wzruszył ramionami.

- Mniejsza o to! Najważniejsze, że podejmujemy próbę, że z góry nie zakładamy porażki.

Westchnęłam, a on znów mnie objął.

Błogosławiona niech będzie miłość, która daje człowiekowi zapomnienie. Pozwala zapomnieć o niewolniczym stanie. Rozprasza lęk i trwogę. Iphigen i ja, uspokojeni, pograżyliśmy się w dobroczynnych wodach snu. Płynęliśmy pod prąd, przyglądając się, jak raki umizgują się do belon. Wysuszyliśmy włosy w świetle księżyca. Jednakże ten sen nie trwał długo. Wyznaję, że gdy minęło upojenie, zawstydyłam się. Przecież ten chłopak mógł być moim synem! Czy miałam jeszcze poczucie własnej godności? Ponadto po co ten korowód mężczyzn w moim łóżku? Hester miała rację, gdy mówiła:

- Za bardzo lubisz miłość, Titubo!

I zastanawiałam się, czy to nie jest jakaś skaza na mojej duszy, jakaś ułomność, z której za wszelką cenę powinnam się wyleczyć.

Na dworze koń nocy pędził galopem. Patataj, patataj. Mój syn-kochanek spał tuż obok mnie. Ja nie mogłam zasnąć. Z wyjątkową intensywnością przychodziły mi na pamięć wszystkie wydarzenia z mojego życia, a przy moim sienniku gromadziły się postaci wszystkich tych, których kochałam, nienawidziłam. Och, rozpoznawałam ich! Nie było ani jednej twarzy, której nie umiałabym nadać imienia. Betsey. Abigail. Annę Putnam. Pani Parris. Samuel Parris. Wreszcie John Indian. I oto w chwili gdy moje ciało dało dowód lekkomyślności, serce przypomniało mi, że nigdy nie należało do nikogo innego niż on.

Co się z nim działo w tej zimnej, okropnej Ameryce?

Wiedziałam, że coraz liczniejsze okręty z niewolnikami przybijają do jej brzegów i że Ameryka szykuje się do podboju świata dzięki towarom wytwarzanym przez nas w pocie czoła. Wiedziałam, że Indianie zostali wymazani z mapy globu, skazani na tułaczkę po ziemiach, które kiedyś do nich należały. Co robił John Indian w kraju tak twardym dla naszych współplemieńców? Tak twardym dla słabych? Dla marzycieli, dla tych, którzy nie oceniają człowieka po jego dobytku?

Koń nocy pędził galopem. Patataj, patataj. I wszystkie postaci zawirowały wokół z wyrazistością, jaka cechuje tylko nocne stworzenia.

Czy to Susanna Endicott mściła się na mnie i czy jej moce były potężniejsze od moich?

Na zewnątrz zerwał się wiatr. Usłyszałam, jak z drzewa spada grad mango. Słyszałam, jak wicher szamoce drzewem kalebasowym, którego owoce głucho uderzają jedno o drugie. Ogarnął mnie strach. Zrobiło mi się zimno. Pragnęłam wrócić do brzucha mojej matki. Ale właśnie w tym momencie moja córeczka poruszyła się, jakby chcąc mi o sobie przypomnieć. Położyłam dłoń na brzuchu i stopniowo ogarnął mnie dziwny spokój. Zyskałam jakąś dziwną jasność umysłu, tak jakbym przyjmowała z rezygnacją ostatni dramat, jaki miałam przeżyć. Z wyostrzonymi zmysłami usłyszałam, że wiatr cichnie. W zagrodzie zagdakała kura wystraszona przez mangustę. Wreszcie zapanowała cisza. A ja w końcu zasnęłam.

Ledwo zamknęłam oczy, miałam sen. Chciałam wejść do lasu, ale drzewa sprzysięgły się przeciwko mnie. Z wierzchołków spadły czarne liany, które mnie oplątywały. Otworzyłam oczy. Pokój

był czarny od dymu. Już miałam zawołać:

- Ależ ja to już raz przeżyłam!

Po chwili zrozumiałam i potrząsnęłam Iphigenem, który spał jak dziecko z promiennym uśmiechem na ustach. Otworzył oczy, przymglone wspomnieniem rozkoszy. Jednakże bardzo szybko uświadomił sobie, co się stało, i zerwał się na równe nogi. Uczyniłam to samo, ale moje ruchy krępowała rana i krew, która bez przerwy ciekła.

Wyszliśmy na dwór. Chata była otoczona przez żołnierzy, którzy wycelowali w nas broń.

Kto nas zdradził?

Plantatorzy postanowili dać nam nauczkę, ponieważ w ciągu trzech lat była to już druga wielka rebelia. Zapewnili sobie wydajną pomoc oddziałów angielskich przybyłych na wyspę, aby bronić jej przed atakami sąsiadów. Niczego nie zaniedbano. Przeczesano plantacje, a podejrzanych niewolników zgromadzono pod puchowcem. Po czym z bagnietami na ostro zapędzono całą tę czeredę na obszerną polanę, gdzie wznosiły się już dziesiątki szubienic.

Errin, z przepaską na oku, otoczony swymi kompanami, przemierzał teren egzekucji. Podszedł do mnie i zarechotał:

- No cóż, czarownico! To, co powinno było cię spotkać w Salem, spotka cię tutaj! I dołączysz do swoich sióstr, które odeszły przed tobą. Będzie tam niezły sabat!

Nie odpowiedziałam. Patrzyłam na Iphigena. To on był podżegaczem, więc tak go zbito, że ledwo się trzymał na nogach i na pewno runąłby na ziemię, gdyby jeden z nadzorców co rusz nie okładał go batem. Iphigen miał tak spuchniętą twarz, że chyba prawie nic nie widział i szukał słońca jak ślepiec, który bardziej pragnie jego ciepła niż światła. Zawołałam do niego:

- Nie bój się! Przede wszystkim się nie bój! Niedługo znów się zobaczymy.

Odwrócił się w stronę, skąd dobiegał mój głos, a że nie mógł mówić, pomachał mi ręką.

Jego ciało pierwsze zakołysało się w powietrzu, powieszono na solidnej belce. Mnie ostatnią zaprowadzono na szubienicę, ja bowiem zasłużyłam na specjalne traktowanie. Karę, od której się „wywinęłam” w Salem, należało wymierzyć mi teraz. Mężczyzna w szykownym czarno-czerwonym stroju przypomniał wszystkie moje zbrodnie, dawniejsze i obecne. Rzuciłam urok na mieszkańców spokojnej, bogobojnej wioski. Nasłałam na nich Szatana, podjudzając jednych przeciw drugim, omamionych i wściekłych. Podpaliłam dom porządnego kupca, który zechciał puścić w niepamięć moje przewiny i zapłacił za to śmiercią swoich dzieci. W tym miejscu mowy oskarżycielskiej o mało nie wrzasnęłam, że to nieprawda, że wszystko to są kłamstwa, okrutne i podłe kłamstwa. Ale się opanowałam. Po co? Wkrótce dotrę do królestwa, gdzie światło prawdy jarzy się niepodzielnie. Man Yaya, moja matka Abena i Yao, siedząc okrakiem na belce szubienicy, czekali, żeby mnie wziąć za rękę.

Mnie ostatnią zaprowadzono na szubienicę, wokół której dziwne drzewa były obwieszane dziwnymi owocami.

epilog

Oto historia mojego życia. Gorzka. Tak gorzka.

Moja prawdziwa historia zaczyna się tu, gdzie kończy się ta historia, i nie będzie miała końca. Christopher się mylił albo też po prostu chciał mi dokuczyć: przecież piosenka Tituby istnieje! Słyszę ją od krańca do krańca wyspy, od North Point po Silver Sands, od Bridgetown po Bottom Bay. Biegnie szczytami wzgórz. Kołysze się na płatkach paciorecznika. Pewnego dnia słyszałam, jak nuci ją cztero- lub pięcioletni chłopiec. Z radości zrzuciłam mu trzy bardzo dojrzałe owoce mango, a on stanął jak wryty i przyglądał się drzewu, które poza sezonem zrobiło mu taki prezent. Wczoraj mruczała ją pod nosem jakaś kobieta, piorąca swoje łachmany na skałkach nad rzeką. Z wdzięczności owinęłam się wokół jej szyi. Przywróciłam jej urodę, o której dawno zapomniała i którą ponownie odkryła, przeglądając się w wodzie.

Tę śpiewkę słyszę co chwila.

Gdy spieszę do łoża konającego. Gdy biorę pod swoje skrzydła jeszcze wylękniony umysł zmarłego. Gdy pozwalam istotom ludzkim zobaczyć na krótko tych, których w swoim mniemaniu utracili.

Bo żywa czy martwa, widzialna czy niewidzialna, nadal opatruję rany, leczę. Ale przede wszystkim wyznaczyłam sobie inne zadanie, wspomagana w tym przez Iphigena, mojego syna-kochanka, towarzysza na wieczność. Zahartować ludzkie serce. Wzniecić w nim pragnienie wolności. Wolę zwycięstwa. Nie było buntu, do którego bym nie podburzała. Ani żadnego powstania. Ani żadnego nieposłuszeństwa.

Od czasu wielkiej nieudanej rewolty w 17** nie ma miesiąca, by nie zabłysła łuna pożaru, by jakieś zatrucie nie zdziesiątkowało mieszkańców tego czy innego dworu. Errin pożeglował z powrotem za morze, wytracony z równowagi przez duchy tych, których zgładził, a które na mój rozkaz przychodziły co noc walić w bębny przy jego łożku. Odprowadziłam go aż na pokład brygu „Faith” i widziałam, jak pije tęgo w złudnej nadziei, że zapadnie w sen bez marzeń.

Christopher też przewraca się z boku na bok na pościeli i nie pociągają go już kobiety. Ja powstrzymuję się, żeby mu więcej nie szkodzić, bo czyż nie jest ojcem mojej nienarodzonej córki, zmarłej, zanim zdążyła zakosztować życia?

Nie przekroczyłam oceanu, aby prześladować Samuela Parrisa, sędziów i kaznodziejów. Wiem, że zajęli się tym inni. Że syn Samuela Parrisa, przedmiot jego względów i dumy, umrze szalony. Że Cotton Mather zostanie zniesławiony i wytknięty palcem przez jakąś małą dziwkę. Że wszyscy sędziowie wyzbędą się buty. Że zgodnie ze słowami Rebeki Nurse nadejdzie czas innego sądu. Jeśli mnie nie zrehabilituje, mniejsza o to.

Nie należę do cywilizacji Księgi i nienawiści. Moi bliscy zachowują pamięć o mnie w swoich sercach: wcale nie potrzebują znaków graficznych. Wszystko mają w głowie. W sercu i w głowie.

Ponieważ zmarłam, nie mogąc urodzić dziecka, duchy pozwoliły mi wybrać sobie potomkinię. Długo szukałam. Chodziłam na przeszpiegi do chat. Przyglądałam się praczkom karmiącym piersią „Holowniczkom”, układającym na stosach maneli niemowlęta, które były zmuszone zabierać ze sobą w pole. Porównywałam, rozważałam, badałam, i w końcu znalazłam ją, tę najbardziej odpowiednią: Samanthę.

A to dzięki temu, że widziałam, jak przyszła na świat.

Pielęgnowałam Delices, jej matkę, Murzynkę kreolską, zamieszkałą w Bottom Bay na plantacji Willoughby. Ponieważ dwoje lub troje jej dzieci zmarło tuż po urodzeniu, pośpiesznie wezwała mnie do siebie. Aby zagłuszyć niepokój, jej towarzysz opróżniał na werandzie jeden kieliszek po drugim. Poród trwał parę godzin. Płód był ułożony pośladkowo. Matka obficie krwawiła, tracąc siły, a jej biedna wyczerpana dusza pragnęła już tylko przeniesieć się w zaświaty. Płód się na to nie godził. Zaciekle walczył, aby wydostać się na ten padół, od którego oddzielał go jedynie delikatny, cielesny zawór. W końcu odniósł zwycięstwo, a ja chwyciłam w ręce malutką dziewczynkę o zaciekawionym spojrzeniu, rezolutnej buzi. Patrzyłam, jak rośnie, poznaje zamknięte piekło plantacji, drepcząc niepewnie na krzywych nóżkach i mimo wszystko znajdując szczęście w kształcie jakiejś chmury, w rozpuszczonych warkoczach jagodlinu wonnego lub orzeźwiająjącym smaku pomarańczy o grubej skórce. Skoro tylko nauczyła się mówić, spytała:

- Dlaczego Zamba²⁶ jest taki głupi? I dlaczego pozwala, żeby Królik siadał mu na grzbiecie?
- Dlaczego my jesteśmy niewolnikami, a oni panami?
- Dlaczego istnieje tylko jeden bóg? Czy niewolnicy nie powinni mieć swojego? A panowie swojego?

Ponieważ odpowiedzi dorosłych jej nie zadowalały, znajdowała inne, na swój użytek. Po raz pierwszy, gdy się jej ukazałam, a wiedziała o mojej śmierci z wieści niosących się po całej wyspie, wcale się nie zdziwiła, jak gdyby szybko pojęła, że pisany jest jej wyjątkowy los. Teraz chodzi za mną jak cień. Wyjawiam jej dozwolone sekrety, ukrytą moc roślin i mowę zwierząt. Uczę ją odkrywać niewidzialny kształt świata, sieć powiązań, która go oplata, i znaki-symbole. Kiedy zasną jej rodzice, przychodzi do mnie o zmroku, bo nauczyłam ją kochać noc.

Dziecko, którego nie nosiłam w swoim łonie, lecz które wyznaczyłam! O ileż szlachetniejsze macierzyństwo!

Iphigen, mój syn-kochanek, dotrzymuje mi kroku. Próbuje doprowadzić do końca rewoltę, której nie mógł sfinalizować za życia. Wybrał sobie syna. Małego Murzynka z plemienia Kongo o wysmukłych łydkach, lecz nadzorcy mają już chłopca na oku. Czy przed paroma dniami nie uparł się, żeby śpiewać piosenkę Tituby?

Nigdy nie jestem sama. Man Yaya, moja matka Abena, Yao, Iphigen, Samantha są ze mną.

²⁶ Zamba (Słoń), podobnie jak Królik, to postać z karaibskiego świata baśni (przyp. tłum.).

Poza tym mam moją wyspę. Utożsamiam się z nią. Wydeptałam tu wszystkie ścieżki. Kąpałam się we wszystkich strumieniach. Huśtałam na gałęziach wszystkich puchowców. Ta nieustająca i nadzwyczajna symbioza wynagradza mi długie osamotnienie na pustkowiach Ameryki. Rozległej, okrutnej ziemi, gdzie w umysłach rodzi się tylko zło! Niebawem nikczemnicy ukryją twarze pod kominiarkami, aby nas tym skuteczniej tortuować. Zamkną nasze dzieci za ciężką bramą gett. Będą nam odmawiać wszelkich praw, a krew zostanie okupiona krwią.

Jednego tylko żałuję, bo duchy też różnych rzeczy żałują, aby tym bardziej doceniać swoją część szczęścia: tego, że mnie rozdzielono z Hester. Oczywiście, kontaktujemy się ze sobą. Wącham zapach suszonych migdałów, jaki rozsiewa jej oddech. Dociera do mnie echo jej śmiechu. Ale pozostajemy na przeciwnych brzegach oceanu, którego nie przekraczamy. Wiem, że wciąż pragnie spełnić swoje największe marzenie: stworzyć świat kobiet, który będzie sprawiedliwy i bardziej ludzki. Ja zaś za bardzo kochałam mężczyzn, i nadal Kocham. Czasem bierze mnie chętka wśliznąć się na czyjeś posłanie, aby zaspokoić jeszcze nie całkiem wygasłą żądzę, a wtedy mój zachwycony, przypadkowy kochanek zaznaje samotniczej rozkoszy.

Tak, teraz jestem szczęśliwa. Rozumiem przeszłość. Odczytuję teraźniejszość. Znam przyszłość. Teraz wiem, dlaczego jest tyle cierpienia, dlaczego oczy Murzynów i Murzynek błyszczą od wody i soli. Wiem też, że wszystko to się kiedyś skończy. Kiedy? Czy to ważne? Nie spieszy mi się, wyzwoliłam się bowiem z niecierpliwości, jaka cechuje istoty ludzkie. Cóż znaczy jedno życie wobec ogromu czasu?

W zeszłym tygodniu popełniła samobójstwo młoda bossalka pochodząca, podobnie jak moja matka, z plemienia Aszanti. Ksiądz ochrzcił ją imieniem Laetitia, a ona wzdrygała się, ilekroć słyszała to imię, dziwaczne i barbarzyńskie. Trzykrotnie próbowała skończyć ze sobą, połykając swój język. Trzykrotnie ją odratowano. Chodziłam za nią krok w krok i zsyłałam jej piękne sny. Niestety, rano wpadała w tym większą rozpacz. Skorzystała z mojej nieuwagi, aby wyrwać garść liści manioku, które pogryzła razem z trującymi korzeniami, i niewolnicy znaleźli ją sztywną, z pianą na ustach, straszliwie już śmierdzącą. Ale to odosobniony przypadek; znacznie częściej powstrzymuję niewolnika na skraju rozpacz, szepcząc mu do ucha:

- Spójrz, jaka wspaniała jest nasza ziemia. Wkrótce cała będzie należała do nas. Cała! Pola pokrzyw i trzciny cukrowej, pagórki porośnięte pochrzynem i zagony manioku.

Niekiedy, rzecz dziwna, przychodzi mi fantazja przybrać śmiertelną postać. Wtedy się przeistaczam. Zamieniam się w *anoli* i wyciągam nóż, gdy zbliżają się do mnie dzieci uzbrojone w małe słomiane lassa. Czasem staję się czupurnym kogutem na arenie i bardziej upajam się wrzaskami niż rumem. Och, jak bardzo lubię podniecenie niewolnika, któremu pozwalam wygrać walkę. Odchodzi tanecznym krokiem, wymachując pięścią w geście, który wkrótce będzie symbolizował inne zwycięstwa. Niekiedy zmieniam się w ptaka i wcale się nie boję urwisów strzelających z procy i krzyczących:

- Trafiony!

Odlatuję z szelestem skrzydeł i śmieję się z ich zawiedzionych min. Czasem wreszcie zmieniam się w kozę i podskakuję gdzieś w pobliżu Samantha, która się wcale nie daje nabrać. Bo to dziecko, które uznałam za swoje, nauczyło się wyczuwać moją obecność w drzeniu sierści zwierzęcia, w trzasku ognia między czterema kamieniami, w opalizującym nurcie rzeki i powiewie wiatru, który targa wielkimi drzewami na wzgórzach.

nota historyczna

Procesy „czarownic z Salem” zaczęły się w marcu 1692 roku wraz z aresztowaniem Sary Good, Sary Osborne i Tituby, która przyznała się do swojej „zbrodni”. Sara Osborne zmarła w więzieniu w maju tego samego roku.

Dziewiętnaście osób powieszono, a jeden mężczyzna, Gilles Corey, został skazany na ciężką karę (zmiądzono go na śmierć).

Dwudziestego pierwszego lutego 1693 roku Sir William Phips, królewski gubernator Bay Colony, wysłał do Londynu raport o czarownictwie. Opisał los pięćdziesięciu kobiet, które przebywały jeszcze w więzieniach kolonii, i prosił, by zezwolono mu skrócić ich cierpienia. Co też się stało w maju tegoż roku, gdy ostatnie oskarżone skorzystały z powszechnej amnestii i zostały wypuszczone na wolność.

Wielebny Samuel Parris opuścił wioskę Salem w 1697 roku po długim sporze z jej mieszkańcami o zaległe pensje i niedostarczone drewno na opał. Jego żona zmarła rok wcześniej, wydając na świat syna Noyesa.

Okolo roku 1693 Tituba, nasza bohaterka, została sprzedana za równowartość kosztów jej „utrzymania” w więzieniu, łańcuchów i kajdan. Komu? Świadomy czy nieświadomy rasizm historyków jest tak daleko posunięty, że żaden z nich się o to nie troszczy. Według Anne Petry, czarnoskórej powieściopisarki amerykańskiej, którą też zafascynowała ta postać, wykupił ją pewien tkacz i zakończyła swój żywot w Bostonie.

Niejasna tradycja podaje, że została sprzedana jakiemuś handlarzowi niewolników, który zawiózł ją z powrotem na Barbados.

Ja natomiast podarowałam jej koniec zgodny z moim życzeniem.

Trzeba zaznaczyć, że wioska Salem nosi dzisiaj nazwę Danvers i że to miastu Salem, gdzie odbyła się większość rozpraw, lecz gdzie nie wybuchła zbiorowa histeria, czarownictwo przyniosło rozgłos.

M.C.